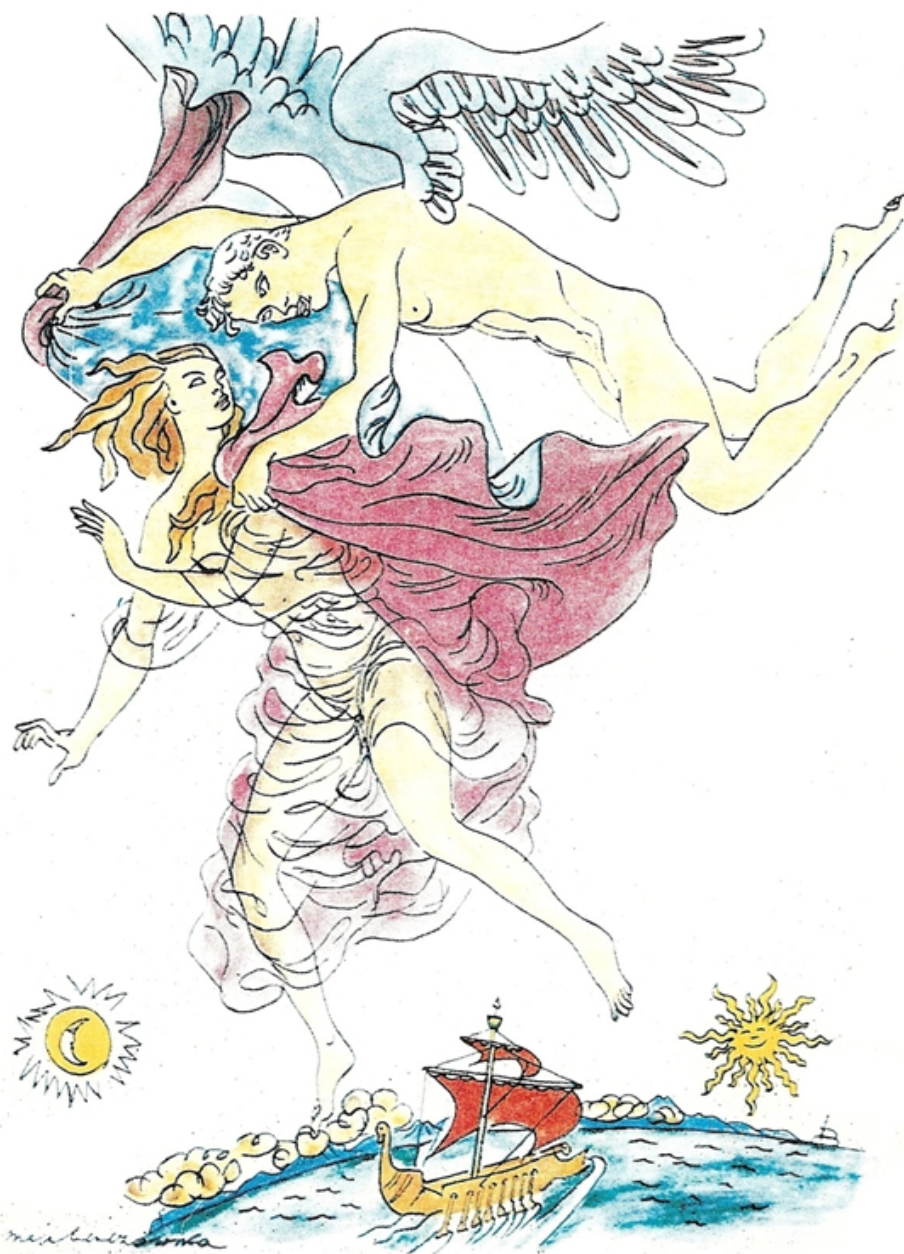


Milan  
Kundera

# ŚMIESZNE MIŁOŚCI



**Milan Kundera**

**SMIESZNE  
MIŁOŚCI**

Tłumaczyła EMILIA WITWICKA



& po40

# Nikt nie będzie się śmiał



**1** - Naley mi jeszcze śliwowicy - powiedziała Klara.

Nie miałem nic przeciwko temu. Pretekst do otworzenia butelki nie był bynajmniej jakiś nadzwyczajny, ale był. Dostałem tego dnia dość duże honorarium za ostatnią część swojej pracy, która była drukowana w odcinkach w czasopiśmie poświęconym plastyce.

Już sam fakt, że moja praca ukazała się w druku, to nie było co. To, co napisałem, pełne było jadu i polemiki. Dlatego mi tę pracę najpierw odrzucono w czasopiśmie „Myśl Plastyczna”, gdzie redakcja ma dłuższą brodę i więcej przezorności, a dopiero później wydrukowano ją w mniejszym, konkurencyjnym piśmie, gdzie redaktorzy są młodszy i bardziej lekkomyślni.

Honorarium przyniósł mi listonosz na wydział, a do pieniędzy dołączony był jeszcze jakiś list, nieważny list, w swoim świeżo zrodzonym poczuciu pychy ledwo go przeczytałem. Jednakże teraz, w domu, gdy wskazówki zegara zbliżały się do północy, a poziom śliwowicy w butelce - do dna, wziąłem go ze stołu, żeby się zabawić.

- „Szanowny Panie - a jeśli pozwoli Pan, że użyję tego zwrotu - Kolego! - przeczytałem Klarze. - Proszę wybaczyć, że ja, człowiek, z którym Pan nigdy w życiu nie rozmawiał, piszę te słowa. Zwracam się do Pana z prośbą o łaskawe przeczytanie załączonego artykułu. Wprawdzie nie znam Pana osobiście, ale cenię Go jako człowieka, którego sądy, uwagi i wnioski do tego stopnia zadziwiły mnie swoją zgodnością z wynikami moich własnych badań, że czuję się tym wręcz skonsternowany. I tak na przykład, chociaż chylę czoła przed Pańskimi wnioskami i analizą porównawczą, w której - być może - Pan mnie wyprzedza, niemniej podkreślam z naciskiem, że tezę, iż sztuka czeska zawsze bliska była ludowi, wyraziłem, zanim jeszcze przeczytałem pańską rozprawę. Mogę tego dowieść z łatwością, posiadam bowiem na to świadków. To jednak tylko na marginesie, albowiem praca pańska...” Tu następowały dalsze wyrazy uwielbienia dla mego geniuszu i wreszcie prośba, czy nie byłbym łaskaw napisać oceny jego artykułu, to znaczy recenzji dla pisma „Myśl Plastyczna”, gdzie rozprawę jego już od ponad sześciu miesięcy odrzucają i oceniają negatywnie. Powiedziano mu, że moja recenzja będzie decydująca, tak więc ja jestem teraz jedyną nadzieją autora, jedynym światełkiem w uporczywych ciemnościach.

Pokpiwaliśmy sobie z pana Zatureckiego, którego dostojne nazwisko nas fascynowało, oczywiście pokpiwaliśmy zupełnie niezłośliwie, ponieważ wyrazy uwielbienia, jakimi mnie zasypał, w połączeniu ze znakomitą śliwowicą - roztkliwiły mnie. Roztkliwiły do tego

stopnia, że w owych niezapomnianych chwilach kochałem cały świat. Oczywiście z całego świata na pierwszym miejscu Klarę, już choćby dlatego, że siedziała naprzeciw mnie, podczas gdy reszta świata ukryta była za ścianami mojej mansardy na Vrszovicach. A ponieważ nie miałem nic, czym mógłbym obdarować świat, obdarowywałem Klarę. Przynajmniej obietnicami.

Klara była dwudziestoletnią panną z dobrej rodziny, co ja mówię z dobrej - z doskonałej! Jej ojciec był dawniej dyrektorem banku, a gdzieś w pięćdziesiątym roku jako przedstawiciel wielkiej burżuazji został wysiedlony do wsi Czelakovice, spory kawałek od Pragi. Córeczka miała więc złe pochodzenie społeczne i pracowała jako szwaczka przy maszynie do szycia w dużej pracowni praskiego domu mody.

Nie znoszę przesądów. Nie wierzę, że wielkość majątku ojca wycisnęła piętno na genach, które odziedziczył jego potomek. Moi drodzy, kto właściwie jest dzisiaj plebejuszem, a kto patrycjuszem? Wszystko się przemieszało i poplątało tak dokładnie, że czasami w niektórych pojęciach socjologicznych trudno się połąpać. Nie miałem absolutnie uczucia, że siedzę naprzeciw wroga klasowego, wprost przeciwnie, siedziałem naprzeciwko ładnej szwaczki i usiłowałem spotęgować jej skłonność do mojej osoby w ten sposób, że lekkomyślnie wyliczałem zalety posady, którą przyrzekłem jej znaleźć przy pomocy moich przyjaciół. Twierdziłem, że to niemożliwe, aby taka śliczna dziewczyna marnowała swoją urodę przy maszynie do szycia, i zadecydowałem, że musi zostać modelką.

Klara nie protestowała i przeżyliśmy tę noc w pełnym szczęścia wzajemnym zrozumieniu.

**2** Człowiek idzie przez teraźniejszość z zawiązanymi oczyma. Może jedynie przeczuwać i odgadywać, co właściwie przeżywa. Dopiero później odwiązuje mu się chusteczkę z oczu, a on spojrzawszy w przeszłość stwierdza, co przeżył i jaki to miało sens.

Tego wieczora sądziłem, że oblewam swoje sukcesy, i nie przeczuwałem wcale, że jest to uroczysty wernisaż mego upadku.

A ponieważ nic nie przeczuwałem, zbudziłem się następnego dnia w świetnym humorze i podczas gdy Klara błogo oddychała jeszcze u mego boku, wziąłem sobie do łóżka artykuł, który był dołączony do listu, i z wesołą obojętnością przeczytałem go.

Zatytułowane to było „Mikołaj Alesz, mistrz czeskiego rysunku” i nie zasługiwało doprawdy nawet na te pół godziny nieuwagi, jaką owej rzeczy poświęciłem. Był to zbiór oczywistych, ogólnie znanych stwierdzeń, spiętrzonych na kupę bez najmniejszych względów dla wzajemnej współzależności i bez najmniejszej ambicji rozszerzenia ich jakąś własną myślą.

Było rzeczą absolutnie jasną, że to bzdura. Doktor Kalousek, redaktor „Myśli Plastycznej” (skądinąd człowiek bardzo antypatyczny) potwierdził moje zdanie jeszcze tego samego dnia w rozmowie telefonicznej. Zadzwonił na wydział:

- Jak tam, dostałeś traktat od tego Zatureckiego?... No to napisz. Już mu to zjechało pięciu recenzentów, a on wciąż nudzi, teraz sobie ubrał, że jedynym prawdziwym autorytetem jesteś ty. Napisz w dwóch zdaniach, że to do niczego, już ty to potrafisz, zjadliwości ci nie brak, no i wszyscy będziemy mieli spokój.

Ale we mnie coś się zbuntowało. Dlaczego właśnie ja mam być katem pana Zatureckiego? Czy mnie za to płacą w redakcji? Zresztą pamiętałem bardzo dobrze, że w „Myśli Plastycznej” przez ostrożność odrzucili i mój artykuł; natomiast nazwisko pana Zatureckiego kojarzyło mi się bardzo mocno ze wspomnieniem o Klarze, śliwowicy i pięknym wieczorze. A w końcu - nie będę się tego wypierał, to przecież czysto ludzkie - czy mógłbym znaleźć więcej niż jednego człowieka, który uważałby mnie za „prawdziwy autorytet”; dlaczego właśnie tego jednego miałbym utracić?

Rozmowę z Kalouskiem zakończyłem jakimś dowcipnym ogólnikiem, który on mógł uważać za obietnicę, a ja za wykręt - i odłożyłem słuchawkę z niezłomnym postanowieniem, że recenzji o panu Zatureckim nigdy nie napiszę.

Zamiast tego wyciągnąłem z szuflady arkusz papieru i napisałem do pana Zatureckiego list, w którym tłumaczyłem, że moje poglądy na malarstwo dziewiętnastego wieku są powszechnie uważane za błędne i ekscentryczne, i że wobec tego pochlebna opinia z mojej strony - zwłaszcza w środowisku redakcji „Myśli Plastycznej” - mogłaby mu bardziej zaszkodzić niż pomóc; zasypałem przy tym pana Zatureckiego mnóstwem przyjemnych słówek, z których nie sposób było nie wyczytać mojej życzliwości. Ledwie wrzuciłem list do skrzynki, natychmiast zapomniałem o panu Zatureckim. Ale pan Zaturecki nie zapomniał o mnie.

**3** Któregoś dnia, kiedy właśnie skończyłem wykład - wykładam w wyższej szkole plastycznej historię malarstwa - do drzwi klasy zapukała nasza sekretarka, pani Maria, uprzejma starsza pani, która czasami robi mi kawę i na niepożądane telefony kobiece odpowiada, że mnie nie ma. Zajrzała przez uchylone drzwi i oświadczyła, że czeka na mnie jakiś pan.

Mężczyzn się nie lękam, pożegnałem się więc ze słuchaczami i w pogodnym nastroju wyszedłem na korytarz. Tam ukłonił mi się niepozorny człowieczek w zniszczonym czarnym ubraniu i białej koszuli. Z ogromnym szacunkiem oświadczył mi, że jest panem Zatureckim.

Poprosiłem gościa do wolnego pokoju, podsunąłem mu krzesło i jowialnie zacząłem z nim rozmawiać o czym popadło, o tym, jakie mamy kiepskie lato i jakie są w Pradze wystawy. Pan Zaturecki grzecznie przyświadczał wszystkim moim bredniom, każdą moją uwagę jednakże usiłował odnieść do swojej rozprawy o Mikołaju Aleszu, która nagle legła między nami w swojej niewidzialnej substancji niczym nieubłagany magnes.

- Nic nie sprawiłoby mi większej przyjemności niż napisanie recenzji z pańskiego artykułu - rzekłem w końcu - ale w liście wyjaśniłem panu, że nigdzie nie jestem uważany za specjalistę od dziewiętnastego wieku w Czechach i że poza tym jestem trochę na bakier z redakcją „Myśli Plastycznej”, gdzie mają mnie za zatwardziałego modernistę, tak że moja pozytywna ocena mogłaby panu tylko i wyłącznie zaszkodzić.

- O, pan jest zbyt skromny! - powiedział Zaturecki. - Pan, taki znawca, jak pan może w takich czarnych barwach widzieć swoją pozycję! W redakcji powiedzieli mi, że wszystko będzie zależało wyłącznie od pańskiej recenzji. Jeśli stanie pan w obronie mego artykułu, wydrukują go. Jest pan moim jedynym ratunkiem. Ta rozprawa to owoc trzech lat studiów i trzyletniej pracy. Teraz wszystko w pana rękach.

Jak lekkomyślnie i z jak podłego budulca buduje człowiek swoje wykręty! Nie wiedziałem, co panu Zatureckiemu odpowiedzieć. Mimo woli spojrzełem mu w twarz i spostrzegłem, że patrzą na mnie nie tylko małe, staroświeckie, niewinne okulary, ale i mocna, głęboka, pionowa zmarszczka na czole. W krótkim błysku jasnowidzenia mróz przeszedł mi po kościach. Ta zmarszczka, skupiona i uparta, zdradzała bowiem nie tylko męki intelektu, jakie jej właściciel przecierpiał nad rysunkami Alesza, lecz również nieprzeciętną siłę woli. Straciłem koncept i nie znalazłem żadnej zręcznej wymówki. Wiedziałem, że recenzji nie napiszę, ale wiedziałem również, że brak mi siły, by powiedzieć to temu żaloszemu człowieczkowi prosto w oczy. Zacząłem się więc uśmiechać i coś tam niejasno obiecywać. Pan Zaturecki dziękował i oświadczył, że niedługo znów przyjdzie się dowiedzieć. Pożegnałem się z nim cały w uśmiechach.

Po kilku dniach rzeczywiście przyszedł. Zręcznie mu się wymknąłem, ale następnego dnia znów mnie szukał na wydziale. Zrozumiałem, że jest źle. Szybko poszedłem do pani Marii, by podjąć stosowne środki ostrożności.

- Marzenko, bardzo panią proszę, gdyby jeszcze kiedyś szukał mnie tamten pan, niech mu pani powie, że wyjechałem służbowo do Niemiec i że wrócę dopiero za miesiąc. I jeszcze jedno: jak pani wiadomo, wszystkie swoje wykłady mam we wtorki i środy. Teraz w tajemnicy przełożę je na czwartki i piątki. Będą o tym wiedzieć tylko studenci, niech pani nic nikomu nie mówi i nie zmienia rozkładu zajęć. Muszę zejść do podziemia.

**4** Pan Zaturecki znów wkrótce przyszedł do mnie na wydział i był zrozpaczony, kiedy sekretarka oznajmiła mu, że wyjechałem do Niemiec.

- To chyba niemożliwe. Pan Klima ma przecież napisać o mnie recenzję! Jak mógł w ten sposób wyjechać?

- Nie wiem - rzekła pani Maria - ale on za miesiąc wraca.

- Jeszcze jeden miesiąc... - westchnął pan Zaturecki. - A nie zna pani czasem jego adresu w Niemczech?

- Nie znam - odparła pani Maria.

Tak więc przez miesiąc miałem spokój.

Ale miesiąc przeleciał szybciej, niż sądziłem, i pan Zaturecki znowu stał w kancelarii.

- Nie, jeszcze nie wrócił - powiedziała mu pani Maria, a kiedy mnie spotkała, rzekła błagalnie:

- Ten człowiek znów tu był, co ja mu mam, na litość boską, powiedzieć?

- Niech mu pani powie, Marzenko, że dostałem w Niemczech żółtaczkę i że leżę w Jenie w szpitalu.

- W szpitalu! - krzyknął pan Zaturecki, kiedy w parę dni później Marzenka mu to powtórzyła. - To niemożliwe! Pan Klima musi przecież napisać o mnie recenzję!

- Panie Zaturecki - rzekła sekretarka z wyrzutem. - Pan Klima leży ciężko chory gdzieś w obcym kraju, a pan myśli tylko o swojej recenzji!

Pan Zaturecki zgarbił się, odszedł, ale w dwa tygodnie później znów stał w kancelarii.

- Wysłałem do pana Klimy do Jeny list polecony. To jest małe miasto, szpital może być tam tylko jeden, a list przyszedł z powrotem.

- Ja przez tego pańskiego Zatureckiego zwariuję - oświadczyła mi nazajutrz pani Maria. - Niech się pan na mnie nie gniewa, ale co miałam zrobić? Powiedziałam mu, że pan już wrócił. Musi pan sam sobie z nim poradzić.

Nie gniewałem się na panią Marię. Robiła, co mogła. Zresztą nie czułem się jeszcze bynajmniej pokonany. Wiedziałem, że jestem nieuchwytny. Żyłem w absolutnej konspiracji. Po kryjomu wykladałem w czwartki i piątki, i po kryjomu zawsze we wtorki i środy stałem przyczajony w bramie domu naprzeciwko szkoły i syciłem się widokiem pana Zatureckiego, który tkwił na warcie przed szkołą i czekał, aż wyjdę. Marzyłem, żeby włożyć melonik i przylepić sobie brodę. Czułem się jak Sherlock Holmes, jak zamaskowany Jack, jak Niewidzialny kroczący przez miasto, czułem się jak sztubak.

Pewnego dnia panu Zatureckiemu znudziło się ciągle wystawanie na czatach i ostro natarł na panią Marię:

- Kiedy właściwie pan Klima ma wykłady?

- Tam wisi rozkład zajęć - wskazała pani Maria na ścianę, gdzie na dużej pokratkowanej tablicy z idealną przejrzystością wypisane były wszystkie godziny wykładów.

- Wiem o tym - odpowiedział nie zbity z tropu pan Zaturecki - tylko, że pan Klima nigdy tu ani we wtorki, ani w środy nie wykłada. Czy zawiadomiono, że jest chory?

- Nie, nie zawiadomiono - rzekła zakłopotana pani Maria.

I wtedy człowieczek zaczął ją besztuć. Wymyślał jej, jakie to ona ma porządki w rozkładzie. Zapytał ironicznie, jak to się dzieje, że nie wie, gdzie i kiedy który pedagog

wykłada. Oświadczył, że złoży na nią zażalenie. Krzychał. Oznajmił, że poskarży się na nią i na asystenta, który nie wykłada, chociaż powinien wykładać. Zapytał, czy jest rektor.

Rektor na nieszczęście był. Pan Zaturecki zapukał do jego drzwi i wszedł. Po jakichś dziesięciu minutach wrócił do gabinetu pani Marii i ostro zapytał o mój prywatny adres.

- Litomyśl, Skalníkova 20 - rzekła pani Maria.

- Jak to, Litomyśl?

- W Pradze pan Klima mieszka tylko chwilowo i nie życzy sobie, żeby podawać jego adres.

- Żądam podania mi praskiego adresu pana Klimy! - krzychał człowieczek drżącym głosem.

Pani Maria do reszty straciła głowę. Dała mu adres mojej mansardy, mojego ubożuchnego azylu, mojej słodkiej kryjówki, w której miano mnie dopaść.

**5** Tak, moje stałe miejsce zamieszkania to Litomyśl; mam tam matkę, kolegów i wspomnienia o ojcu; kiedy tylko mogę, wyjeżdżam z Pragi, uczę się i piszę w domu, w małym mieszkanku mamy. Tak więc się złożyło, że formalnie zostawiłem sobie dom matki jako miejsce stałego zamieszkania, a w Pradze nie byłem nawet w stanie wystarać się o porządną garsonierę, jakby należało i jak być powinno, ale mieszkałem gdzieś na Vrszovicach, jako sublokator, w małej, zupełnie samodzielnej mansardce na strychu, której istnienie trzymałem w miarę możliwości w tajemnicy, i nigdzie tego nie rozgłaszałem, już choćby dlatego, żeby nie dochodziło do niepotrzebnych spotkań niepożądanych gości z moimi chwilowymi współmieszkankami lub odwiedzającymi mnie paniami.

Nie będę ukrywać, że z tych właśnie przyczyn cieszyłem się w domu nie najlepszą reputacją. Kilkakrotnie na czas moich pobytów w Litomyślu wypożyczałem też pokoik kolegom, którzy bawili się tam aż za dobrze i przez całe noce nie dawali zmużyć oka nikomu z lokatorów. Wszystko to gorszyło niektórych mieszkańców domu, tak że prowadzili ze mną cichą wojnę, która od czasu do czasu przejawiała się w opiniach, jakie wyrażał na mój temat komitet blokowy, a nawet w jednej skardze złożonej do urzędu mieszkaniowego.

W okresie, o którym mowa, dojazdy do pracy gdzieś z Czelačovic wydały się Klarze już zbyt uciążliwe i zaczęła zostawać u mnie na noc. Z początku nieśmiało i tylko wyjątkowo: raz zostawiła jedną sukienkę, potem kilka, aż wkrótce dwa moje ubrania kuliły się w kąciaku szafy, cały zaś pokój zamienił się w damski buduar.

Do Klary miałem słabość: była śliczna, cieszyło mnie, że ludzie się za nami oglądają, kiedy idziemy razem, była co najmniej o trzynaście lat młodsza ode mnie, co podnosiło mój autorytet u studentów, jednym słowem, miałem tysiące powodów, żeby jej się trzymać. Nie chciałem jednak, żeby wiadano, że u mnie mieszka. Bałem się opinii i plotek w domu, bałem się, żeby ktoś nie zaczął nagabywać mojego pocziwego gospodarza, który przebywał przeważnie poza Pragą, był dyskretny i nie interesował się moją osobą; bałem się, żeby pewnego dnia niechętnie i z ciężkim sercem nie przyszedł do mnie z prośbą, bym ze względu na jego dobre imię wyrzucił dziewczynę. Dlatego też Klara miała surowo nakazane nikomu nie otwierać.

Tego dnia była sama w domu. Był słoneczny dzień i w mansardzie panował upał. Leżała więc sobie nago na moim tapczanie, zajęta kontemplowaniem sufitu.

I wtedy nagle rozległo się walenie do drzwi.

Nie było w tym nic niepokojącego. Nie miałem przy mojej mansardzie dzwonka, tak że każdy, kto przyszedł, musiał pukać. Klara nie speszyła się hałasem i nie zamierzała bynajmniej zaprzestać kontemplacji sufitu. Ale walenie do drzwi nie ustawało; trwało nadal z jakąś spokojną, niepojętą wytrwałością. Klara zaczęła się denerwować: wyobraziła sobie, że za drzwiami stoi człowiek, który powoli, wymownym gestem odchyli klapę płaszcza,

człowiek, który wrzaśnie na nią, dlaczego nie otwiera, co ukrywa, co zataja i czy jest tu meldowana. Poczula się jak przestępca; oderwała wzrok od sufitu i szybko zaczęła się rozglądać, gdzie rzuciła ubranie. Ale walenie do drzwi rozlegało się z takim uporem, że w popłochu nie znalazła nic poza moim prochowcem, wiszącym w przedpokoju. Zarzuciła go na siebie i otworzyła drzwi. Tam jednakże zamiast złej, węszącej twarzy ujrzała tylko niskiego człowieczka, który się grzecznie uklonił.

- Czy zastałem pana Klimę?

- Nie, nie ma go...

- A to szkoda - rzekł człowieczek i uprzejmie przeprosił, że przeszkadza.

- Bo widzi pani, pan Klima ma napisać o mnie recenzję. Obiecał mi to, a sprawa jest bardzo pilna. Jeśli pani pozwoli, zostawię przynajmniej wiadomość.

Klara dała mu papier i ołówek, a ja wieczorem przeczytałem, że los artykułu o Mikołaju Aleszu spoczywa wyłącznie w moich rękach, że pan Zaturecki z głębokim szacunkiem czeka na moją recenzję i że spróbuje znowu odszukać mnie na wydziale.

**6** Nazajutrz pani Maria opowiedziała mi o pogrózkach, jakimi zasypał ją pan Zaturecki, o tym, jak krzyczał i jak poszedł złożyć na nią skargę; głos jej się trząsał i była bliska płaczu; wściekłem się. Rozumiałem doskonale, że sekretarka, która do tej pory śmiała się z mojej zabawy w chowanego (choć dam głowę, że robiła to raczej z sympatii dla mnie niż ze szczerzej ochoty), czuje się teraz pokrzywdzona i prawdopodobnie we mnie widzi przyczynę nieprzyjemności, jakie ją spotkały. A kiedy dodałem do tego zdekonspirowanie mansardy, dziesięciominutowe walenie w drzwi i przestrach Klary - moja wściekłość przeszła w szaleństwo.

I kiedy tak chodzę tam i z powrotem po gabinecie pani Marii, kiedy zagryzam usta, kiedy tak kipię i wrę, i obmyślam zemstę, otwierają się drzwi i ukazują się w nich pan Zaturecki. Gdy mnie zobaczył, w jego twarzy zaświecił blask szczęścia.

Uklonił się i przywitał. Przyszedł trochę za wcześnie, przyszedł, zanim zdążyłem obmyślić swoją zemstę. Zapytał, czy otrzymałem wczoraj jego liścik. Milczałem. Powtórzył pytanie.

- Otrzymałem - mówię.

- I napisze pan tę recenzję?

Widziałem go przed sobą: cheralawego, upartego, błagającego, widziałem pionową zmarszczkę, która kreśliła na jego czole linię jedynej namiętności; obserwowałem tę zmarszczkę i rozumiałem, że jest to linia prosta, ograniczona dwoma punktami: moją recenzją i jego artykułem, że oprócz występności tej maniackiej linii nie istnieje w jego życiu nic poza świętą ascezą. I naraz przyszedł mi do głowy zbawienny złośliwy pomysł.

- Sądzę, iż rozumie pan, że po tym, co zaszło wczoraj, nie mam już z panem o czym mówić.

- Nie rozumiem pana.

- Niech pan nie udaje. Powiedziała mi wszystko. Nie ma sensu zaprzeczać.

- Nie rozumiem - powtórzył znowu mały człowieczek, ale tym razem już bardziej zdecydowanie.

Przybrałem jowialny, przyjacielski niemal ton.

- Wie pan co, panie Zaturecki, nie będę panu robił wyrzutów. Sam przecież jestem babiarz i rozumiem pana. Ja na pana miejscu też bym się zabrał do ładnej dziewczyny, gdybym się z nią znalazł sam na sam w mieszkaniu, a ona nie miałaby na sobie nic poza męskim płaszczem.

- Pan mnie obraża! - zbladł niski człowieczek.

- Nie, to jest prawda, panie Zaturecki!



- I to powiedziała panu ta pani?
- Nie ma przede mną tajemnic.
- Panie asystencie, to jest obelga! Jestem człowiekiem żonatym. Mam żonę! Mam dzieci!
- Zaturecki zrobił krok naprzód, tak że musiałem się cofnąć.
- Tym gorzej, panie Zaturecki.
- Co pan chciał powiedzieć przez to „tym gorzej”?
- Chciałem powiedzieć, że jeśli pan ma żonę, to jest to przy pana dziwkarskich skłonnościach okoliczność obciążająca.
- Pan to odwoła - powiedział z pogroźką w głosie Zaturecki.
- W porządku - zgodziłem się. - Posiadanie żony nie zawsze musi być dla dziwkarza okolicznością obciążającą. Niekiedy - wprost przeciwnie - może nawet pewne rzeczy usprawiedliwiać. Ale nie o to chodzi. Powiedziałem przecież, że nie mam do pana żalu i w zupełności pana rozumiem. Nie rozumiem tylko jednego: jak może pan od człowieka, któremu podrywa pan dziewczynę, żądać jeszcze recenzji.
- Panie asystencie! O tę recenzję prosi pana doktor Kalousek, redaktor czasopisma Akademii Nauk „Myśl Plastyczna”. I pan tę recenzję musi napisać!
- Recenzja albo dziewczyna. Jednego i drugiego nie może pan ode mnie wymagać.
- Na co pan sobie pozwala! - huknął na mnie nieprzytomny ze złości Zaturecki.
- Dziwna rzecz, nagle doznałem uczucia, że pan Zaturecki rzeczywiście chciał uwieść Klarę.
- Pan jeszcze ośmiela się mnie strofować? Pan, który powinien mnie tu w obecności sekretarki pokornie przeprosić? - zawołałem w uniesieniu. Odwróciłem się tyłem do pana Zatureckiego, a on, całkowicie wytracony z równowagi, opuścił pokój.
- No - odetchnąłem niby po ciężkiej, ale zwycięskiej walce - teraz już chyba recenzji ode mnie żądać nie będzie.
- Pani Maria uśmiechnęła się, a po chwili spytała nieśmiało:
- A właściwie dlaczego pan nie chce tej recenzji napisać?
- Bo to, co on napisał, Marzenko to straszliwa chała.
- No to czemu nie napisze pan, że to chała?
- A po co mam to pisać? Po co mam sobie robić wrogów?
- Pani Maria przyglądała mi się z pobłażliwym uśmiechem, gdy nagle otworzyły się drzwi, stał w nich pan Zaturecki z podniesioną ręką.
- Nie ja! To pan mnie będzie musiał przeprosić! - Wykrzyknął to drżącym głosem i znowu zniknął.

**7** Nie pamiętam dokładnie, czy tego samego dnia, czy w parę dni później znaleźliśmy w mojej skrzynce pocztowej list bez adresu. Wewnątrz napisane było topornym, niemal nieporadnym pismem: „Szanowna Pani. Proszę przyjść do mnie w niedzielę w sprawie obrazy mojego męża. Cały dzień będę w domu. Jeżeli Pani nie przyjdzie, będę zmuszona poczynić odpowiednie kroki. Anna Zaturecka, Praga 4, Dalimilova 14.”

Klara się przestraszyła i zaczęła coś mówić o mojej winie. Machnąłem ręką i oświadczyłem, że sensem życia jest bawić się życiem, a jeżeli życie jest zbyt leniwe, nie pozostaje nic innego jak dać mu lekkiego szturchańca. Człowiek musi nieustannie okiełznywać przypadki, te rączonogie rumaki, bez których włóklby się w pyłe niczym utrudzony piechur. Kiedy Klara mi zakomunikowała, że żadnych przypadków okiełznywać nie ma ochoty: zapewniłem ją, że ani z panią Zaturecką, ani z panem Zatureckim nigdy się nie spotka i że przypadek, któremu wskoczyłem na siodło, poskromię z łatwością sam.

Rano, kiedy wychodziliśmy z domu, zatrzymał mnie nagle dozorca. Dozorca nie jest moim wrogiem. Przekupiłem go kiedyś rozsądnie pięćdziesięcioma koronami i od tej pory

żyłem w miłym przeświadczeniu, że „nic o mnie nie wie” i że nie dolewa oliwy do ognia, który rozniecają przeciw mnie moi domowi wrogowie.

- Szukała tu wczoraj pana jakaś para.

- Co za para?

- Taki jeden nieduży z kobietą.

- Jak wyglądała ta kobieta?

- O dwie głowy wyższa. Okropnie energiczna. Groźna baba. O wszystko się wypytywała. - Zwrócił się teraz do Klary: - Głównie o panią. Kto pani jest i jak się nazywa.

- Jezus Maria, i co jej pan powiedział? - jęknęła Klara.

- Co miałem mówić. A bo to ja wiem, kto do pana Klimy przychodzi? Powiedziałem jej, że co wieczór sprowadza sobie inną.

- Doskonale - roześmiałem się i wyciągnąłem z kieszeni dziesięć koron. - Niech pan tak mówi dalej.

- Nie bój się - powiedziałem potem do Klary - w niedzielę nigdzie nie pójdziesz i nikt cię nie wyśledzi.

Przyszła niedziela, po niedzieli poniedziałek, wtorek, środa - nic się nie stało.

- No widzisz - powiedziałem Klarze.

Ale potem przyszedł czwartek. Na zwykłym tajnym wykładzie opowiadałem słuchaczom, jak to młodzi fowiści z zapalem i bezinteresowną jednomyślnością uwalniali barwę od jej wcześniejszej, impresjonistycznej opisowości, gdy nagle otworzyła drzwi pani Maria i powiedziała szeptem:

- Przyszła żona tego Zatureckiego.

- Przecież mnie nie ma - powiadam. - Niech jej pani pokaże rozkład. - Ale pani Maria pokręciła głową.

- Powiedziałam jej już, ale ona zerknęła do pana gabinetu i zobaczyła pański płaszcz na wieszaku. Więc siedzi teraz na korytarzu i czeka.

Ślepa uliczka to dla mnie miejsce największej inspiracji. Powiedziałem do mego ulubionego studenta:

- Niech pan będzie taki dobry i wyświadczy mi małą przysługę. Proszę pójść do mego gabinetu, włożyć mój płaszcz i wyjść w nim z gmachu. Pewna pani będzie usiłowała dowieść panu, że jest pan mną, a pańskim zadaniem jest za żadną cenę nie dać się przekonać.

Student wyszedł i wrócił mniej więcej po kwadransie. Oświadczył mi, że zadanie zostało wykonane, droga wolna, a kobieta znajduje się poza gmachem Akademii. Tym razem wygrałem. Ale potem przyszedł piątek i po południu Klara wróciła z pracy całkiem roztrzęsiona. Uprzejmy pan, który w wytwornym salonie domu mody przyjmuje klientki, otworzył dziś nieoczekiwanie drzwi wiodące do pracowni, gdzie wraz z piętnastoma innymi szwaczkami siedzi również moja Klara, i zawołał:

- Czy któraś z was mieszka na ulicy Puszkina pięć?

Klara dobrze wiedziała, że chodzi o nią, ponieważ Puszkina 5 to mój adres. Ale nabyta ostrożność sprawiła, że się nie odezwała, ponieważ mieszka u mnie nielegalnie i w ogóle co komu do tego.

- Przecież jej mówiłem - powiedział elegancki pan, kiedy żadna z szyjących się nie zgłosiła, i wyszedł.

Klara dowiedziała się potem, że jakiś ostry kobiecy głos w telefonie zmusił go do przejrzenia adresów pracownic i przekonywał go przez piętnaście minut, że w zakładzie z pewnością jest zatrudniona osoba zamieszkała na Puszkina pod piątym. Ciężki pan Zatureckiej padł na nasze idylliczne gniazdko.

- Ale jak ona wyśledziła, gdzie ty pracujesz? Przecież u nas w domu nikt o tobie nie wie! - krzychałem. Tak, rzeczywiście byłem przekonany, że nikt o nas nie wie. Żyłem jak dziwak, który sądzi, że pędzi żywot nie widziany przez nikogo, za wysokim murem, podczas gdy

przez cały czas nie dostrzega jednego drobnego szczegółu: że ten mur jest z przezroczystego szkła. Przekupiłem dozorcę, żeby nie zdradził, że Klara u mnie mieszka, zmuszałem też Klarę do jak najbardziej spokojnego, dyskretnego zachowania, a tymczasem wiedział o niej cały dom. Wystarczyło, że wdała się kiedyś nieopatrznie w rozmowę z lokatorką z drugiego piętra - a już wiadomo było, gdzie pracuje. Nic nie przeczuwając, żyliśmy od dawna całkowicie zdekspirowani. Tajemnicą dla naszych prześladowców pozostało tylko nazwisko Klary. Owa tajemnica to było ostatnie schronienie, do którego mogliśmy uciec przed panią Zaturecką, lecz ta przystąpiła do walki z dokładnością i metodycznością, które napęliły mnie przerażeniem. Zrozumiałem, że gra idzie na całego, że rumak mojego przypadku został chyba osiodłany przez moce piekielne.

**8** To było w piątek. A kiedy Klara wróciła z pracy w sobotę, znowu cała się trzęsła. A oto co się stało: pani Zaturecka wybrała się wraz ze swym małżonkiem do zakładu, gdzie dzień wcześniej telefonowała, i poprosiła kierownika, by pozwolił jej i mężowi wejść do szwalni i obejrzeć twarze wszystkich obecnych tam pracowników. Życzenie to zdziwiło wprawdzie kierownika, ale pani Zaturecka miała taką minę, że niepodobieństwem było jej odmówić. Plotła coś niejasno o jakiejś obeldze, o złamanym życiu i o sądzie. Pan Zaturecki stał z ponurą miną obok niej i milczał. Wprowadzono ich więc do pracowni. Szwaczki obojętnie podniosły głowy, a Klara poznała niskiego człowieczka; zbladła i szybko, z rzucającą się w oczy chęcią nie rzucania się w oczy, zabrała się znowu do szycia.

- Proszę - skinął kierownik z pełną ironii uprzejmością na stojącą nieruchomo parę.

Pani Zaturecka zrozumiała, że musi wziąć inicjatywę w swoje ręce.

- No patrz! - ponaglała męża.

Pan Zaturecki podniósł chmurny wzrok i rozejrzał się.

- Czy to któraś z nich? - zapytała szeptem pani Zaturecka.

Pan Zaturecki najwidoczniej nawet przez okulary nie widział wystarczająco ostro, by mógł ogarnąć wzrokiem duże pomieszczenie, pełne stosów szmat i sukien zwisających z długich poziomych drągów; ruchliwe szwaczki nie siedziały grzecznie zwrócone twarzą do drzwi, ale uplasowały się w najróżniejszy sposób: kręciły się, wierciły, wstawały i mimo woli odwracały tyłem. Musiał więc ruszyć w obchód, by żadnej nie pominąć.

Kiedy kobiety zrozumiały, że ktoś dokonuje ich przeglądu, i to na dodatek ktoś tak niepozorny i antypatyczny, w głębi ich duszy zrodziło się niejasne poczucie obrazy i zaczęły przejawiać cichy bunt uśmieszkami i szeptami. Jedna z nich, młoda, rosła dziewczyna nie wytrzymała i palnęła:

- On po całej Pradze szuka tej wydry, co mu zrobiła dziecko.

Rozległ się głośny śmiech i posypały się niewybredne żarty, a małżonkowie stali pod ich gradem onieśmieleni, lecz zawzięci, z jakąś przedziwną godnością.

- Paniusiu! - zawołała znowu ta pyskata dziewczyna do pani Zatureckiej - kiepsko pani pilnuje swego synalka. Ja takiego ładnego chłopaka to w ogóle bym nie puszczała z domu!

- No, oglądaj dalej! - szepnęła Zaturecka mężowi, a on ponuro i nieśmiało posuwał się naprzód krok za krokiem, jakby szedł drogą hańby i ciosów, szedł jednak niezłomnie i nie pomijał żadnej twarzy. Kierownik przez cały ten czas uśmiechał się neutralnie; znał swoje pracownice i wiedział, że nikt z nimi nie wygra; udawał więc, że nie słyszy ich okrzyków, i spytał pana Zatureckiego:

- A jak właściwie ma wyglądać ta kobieta?

Pan Zaturecki odwrócił się do kierownika i rzekł wolno, z powagą:

- Była ładna... bardzo ładna...

Tymczasem Klara kulila się w kąciu odbijając swoim niepokojem, pochyloną głową i zawziętością w robocie od wszystkich rozbrykanych koleżanek. Ach, jak kiepsko starała się

być niezauważalna i niepozorna! A pan Zaturecki był już o krok od niej i lada chwila musiał zajrzeć jej w twarz.

- To trochę mało, jeśli pamięta pan jedynie, że była ładna - rzekł grzecznie kierownik do pana Zatureckiego. - Ładnych kobiet jest dużo. Czy była niska, czy wysoka?

- Wysoka.

- Brunetka czy blondynka?

Pan Zaturecki zamyślił się.

- Blondynka - powiedział wreszcie.

Ta część zdarzenia mogłaby posłużyć jako egzemplifikacja siły piękna.

Kiedy pan Zaturecki ujrzał u mnie Klarę po raz pierwszy, był tak olśniony, że jej właściwie nie widział. Piękno przesłoniło mu oczy jakimś gęstym woalem, woalem światła, pod którym Klara była ukryta niby za zasłoną.

Klara bowiem nie jest wysoka ani nie jest blondynką. To wewnętrzna potęga jej urody użyczyła jej w oczach pana Zatureckiego pozorów fizycznego ogromu. A światłość, którą promieniuje piękno, użyczyła jej włosom pozorów złocistości.

Tak więc, kiedy niski człowieczek dotarł w końcu w kąt pokoju, gdzie Klara w swoim brązowym fartuszkach pochylała się desperacko nad jakąś pociętą spódnicą, nie poznał jej, ponieważ nigdy jej nie widział.

**9** Kiedy Klara skończyła chaotycznie i bez najmniejszego daru precyzji opowiadać tę historię, powiedziałem:

- No widzisz, mamy szczęście.

Ale ona oburzyła się na mnie z płaczem:

- Co za szczęście? Nie odkryli mnie dzisiaj, to odkryją jutro.

- Ciekaw jestem, w jaki sposób.

- Przyjdą tutaj do ciebie.

- Nikogo nie wpuszczę.

- A co będzie, jak naślą na mnie milicję? Albo jeśli przyprą cię do muru i wyciągną od ciebie moje nazwisko? Ta baba mówiła przecież o sądzie, chce mnie zaskarżyć za obrazę męża.

- Moja droga, wyśmieją ich, przecież to był żart.

- Teraz nie są czasy do żartów, teraz wszystko się bierze na serio: powiedzą, że chciałam go rozmyślnie oczernić. Kiedy na niego spojrzą, no, sam powiedz, czy mogą uwierzyć, że napastował dziewczynę?

- Masz rację - powiedziałem. - Pewnie cię przymkną.

- Nie gadaj głupstw - uniosła się Klara. - Wiesz dobrze, że mają na mnie haka, wystarczy, że się dostanę przed komisję karną, a zaraz mi to wpiszą do ankiety personalnej, i już nigdy nie wygrzebię się z tej szwalni. A propos, chciałabym wiedzieć, co jest z tą moją posadą modelki, którą mi obiecywałeś, a spać już u ciebie nie mogę, boję się, że po mnie przyjdą, pojedą z powrotem do Czelakovic.

To była jedna rozmowa.

A po południu tegoż dnia po zebraniu pracowników naukowych miałem drugą. Kierownik katedry, siwowłósy historyk sztuki i mądry człowiek, wezwał mnie do swego gabinetu.

- Że tą pracą, którą panu właśnie wydrukowano, pan się sobie nie przysłużył, to pan chyba wie.

- Tak, wiem - powiadam.

- Każdy z profesorów bierze to do siebie, a rektor uważa, że to był atak na jego poglądy.

- Co robić - powiedziałem.

- Nic - odparł profesor - ale kończy się trzyletni okres pańskiej asystentury i na ten etat rozpisany został konkurs. Jest wprawdzie taki zwyczaj, że komisja przyznaje pierwszeństwo temu, kto już w naszej szkole uczył, ale czy jest pan taki pewny, że zwyczaj ten zostanie utrzymany i w pańskim przypadku? Ale nie o tym chciałem mówić. Do tej pory mówiono o panu zawsze, że pan dobrze wykląda, był pan lubiany przez studentów i coś niecoś ich pan nauczył. Tylko że nawet na tym nie może pan bazować. Rektor powiedział mi, że już (t)dziesięciu trzech miesięcy w ogóle nie ma pan wykładów. I to bez żadnego usprawiedliwienia. Już to jedno wystarczyłoby, żeby dostał pan natychmiast wypowiedzenie.

Wy tłumaczyłem profesorowi, że nie opuściłem ani jednego wykładu, że wszystko to tylko żart, i opowiedziałem mu całą historię o panu Zatureckim i Klarze.

- W porządku, wierzę panu - rzekł profesor - ale co z tego, że ja panu wierzę? Dziś cała szkoła mówi o tym, że pan nie ma wykładów i w ogóle nic nie robi. Była już o tym mowa na radzie zakładowej, a wczoraj poruszono tę sprawę na kolegium rektorskim.

- Ale dlaczego nie rozmawiali najpierw ze mną?

- O czym mają z panem mówić? Wszystko jest dla nich jasne. Teraz już tylko patrzą wstecz na całą pana dotychczasową działalność na wydziale i szukają związku między pana przeszłością a teraźniejszością.

- A co złego mogą znaleźć w mojej przeszłości? Sam pan przecież wie, jak lubię swoją pracę! Nigdy nie bumelowałem. Mam czyste sumienie.

- Każde życie ludzkie jest wieloznaczne - rzekł profesor. - Z przeszłości każdego z nas można równie dobrze wykroić życiorys wielbionego męża stanu, jak i przestępcy. Niech pan się uważnie przyjrzy samemu sobie. Nikt nie neguje, że lubił pan swoją pracę- Ale nieczęsto można było widzieć pana na zebraniach, a kiedy pan już przychodził, przeważnie pan milczał. Nikt dokładnie nie wiedział, co pan właściwie myśli. Sam sobie przypominam, że parę razy, kiedy szło o dość ważne sprawy, ni z tego, ni z owego rzucał pan jakiś żart, który wzbudzał zakłopotanie. Te momenty szły oczywiście w niepamięć, ale dzisiaj, wyciągnięte z przeszłości, nabierają nagle określonej wymowy. Albo niech pan sobie przypomni, jak na wydziale szukały pana różne niewiasty i jak się pan przed nimi ukrywał. Albo pański ostatni artykuł, o którym każdy, komu przyjdzie ochota, może twierdzić, że został napisany z podejrzanych pozycji. To oczywiście wszystko tylko drobiazgi, ale wystarczy spojrzeć na nie w świetle pańskiego dzisiejszego przewinienia, aby nagle połączyły się w całość, wymownie świadcząca o pańskim charakterze i postawie.

- Jakie znowu przewinienie? - krzyknąłem. - Przede wszystkim wyjaśnię przebieg całej sprawy: jeśli ludzie są ludźmi, muszą się przecież z tego śmiać.

- Jak pan chce. Ale dojdzie pan do wniosku, że albo ludzie nie są ludźmi, albo też, że nie wiedział pan, czym są. Nie będą się śmiać. Jeśli opowie im pan wszystko, tak jak wyglądało, okaże się, że nie tylko nie spełniał pan swoich obowiązków tak, jak to nakazywał rozkład zajęć, a więc nie robił pan tego, co do pana należy, ale że ponadto wyklądał pan nielegalnie, to znaczy, że robił pan to, czego pan robić nie powinien. Okaże się, że obraził pan człowieka, który prosił pana o pomoc. Okaże się, że pańskie życie prywatne pozostawia wiele do życzenia, że mieszka u pana bez meldowania jakaś młoda dziewczyna, co zrobi bardzo złe wrażenie na przewodniczącej radzie zakładowej. Sprawa się rozrośnie i kto wie, czy nie powstaną z tego dalsze plotki, które będą z pewnością na rękę tym wszystkim, których irytują pańskie poglądy, ale którzy wstydzą się z ich powodu pana atakować.

Wiedziałem, że profesor nie zamierza mnie ani straszyć, ani okłamywać, uważałem go jednak za dziwaka i nie chciałem ulec jego sceptycyzmowi. Przecież to ja sam osiodłałem tego konia, nie mogę zatem dopuścić, aby wyrwał mi cugle z rąk i poniósł, gdzie mu się podoba. Byłem gotów stoczyć z nim walkę.

A koń nie uchylał się od walki. Kiedy wróciłem do domu, czekało na mnie w skrytce pocztowej wezwanie na zebranie komitetu blokowego.

**10** Komitet blokowy, zasiadał w jakimś dawnym sklepi-X vF ku wokół długiego stołu. Szpakowaty mężczyzna w okularach i z cofniętą brodą wskazał mi krzesło. Powiedziałem „dziękuję”, usiadłem, a ów pan zabrał głos. Oznajmił mi, że komitet blokowy obserwuje mnie już od dłuższego czasu, że wie bardzo dobrze, że mam nieuporządkowane życie prywatne, że nie robi to dobrego wrażenia na otoczeniu, że lokatorzy z mojego domu już raz się na mnie skarżyli, kiedy z powodu hałasów w moim mieszkaniu nie mogli spać przez całą noc, że wszystko to wystarczy, żeby komitet wyrobił sobie o mnie właściwe zdanie. I że na domiar wszystkiego zwróciła się do nich niejaka pani Zaturecka, żona pracownika naukowego. Podobno już pół roku temu miałem napisać jakoby recenzję z jego pracy naukowej i nie zrobiłem tego, chociaż wiedziałem dobrze, że ód mojej recenzji zależą losy wspomnianego dzieła.

- Co za praca naukowa! - przerwałem mężczyźnie z cofniętą brodą. - To przecież kompilacyjny zlepek powszechnie znanych twierdzeń.

- Ciekawe - włączyła się do dyskusji modnie ubrana trzydziestoletnia mniej więcej blondyna, która miała (prawdopodobnie raz na zawsze) przylepiony do warg promienny uśmiech. - Pozwólcie, towarzyszu, zadać sobie pytanie: Jaka jest wasza specjalność?

- Jestem teoretykiem sztuki.

- A pan Zaturecki?

- Nie wiem, prawdopodobnie usiłuje robić to samo.

- No proszę, towarzysze - z entuzjazmem zwróciła się blondyna do zebranych - w pracowniku tej samej specjalności towarzysz Klima widzi nie kolegę, ale konkurenta.

- Jeszcze nie skończyłem - rzekł mężczyzna z cofniętą brodą. - Pani Zaturecka powiedziała nam, że jej mąż przyszedł do waszego mieszkania i zastał tam jakąś kobietę. Ta jakoby oszkalowała go potem przed wami, twierdząc, że pan Zaturecki usiłował napastować ją w celach seksualnych. Pani Zaturecka posiada w ręku dowody na to, że małżonek jej do niczego podobnego nie jest zdolny. Chce ona dowiedzieć się nazwiska tej kobiety, która obwiniła jej męża, i przekazać sprawę karnej komisji rady narodowej, albowiem na skutek fałszywego oskarżenia ucierpiała sytuacja życiowa jej małżonka.

Raz jeszcze spróbowałem utrać niepotrzebne ostrze tej śmiesznej aferze.

- Pomyślcie, towarzysze - powiadam - przecież w ogóle nie ma o czym mówić. Ta praca jest tak słaba, że i tak ani ja, ani nikt inny nie mógłby jej polecić do wydania. A jeśli doszło do jakiegoś nieporozumienia pomiędzy tą kobietą a panem Zatureckim, to jeszcze nie powód do zwoływania zebrania.

- O naszych zebraniach na szczęście nie wy, towarzyszu, decydujecie - powiedział mężczyzna z cofniętą brodą. - A jeśli twierdzicie, że praca pana Zatureckiego jest zła, to musimy traktować to jako zemstę z waszej strony. Pani Zaturecka dała nam do przeczytania list, który napisaliście do jej męża po zapoznaniu się z jego pracą.

- Tak. Tylko że w tym liście nie ma ani słowa o tym, jaka jest ta praca.

- To prawda. Ale piszecie, że chcielibyście mu pomóc. Z waszego listu wynika, że pracę pana Zatureckiego oceniacie wysoko. A teraz oświadczacie, że to kompilacja. Dlaczego nie napisaliście mu tego już wtedy? Dlaczego nie powiedzieliście mu tego prosto w oczy?

- Towarzysz Klima jest dwulicowy - orzekła blondyna.

W tej chwili do rozmowy włączyła się starsza pani z trwałą ondulacją i od razu przeszła do sedna sprawy:

- My chcielibyśmy się od was, towarzyszu, dowiedzieć, kto to była ta kobieta, którą pan Zaturecki u was zastał.

Zrozumiałem, że nie jest najwidoczniej w mojej mocy odjąć całej tej aferze absurdalną wagę i że pozostaje mi tylko jedno - zmylić trop, odciągnąć ich od Klary, odwieść od niej, jak

kuropatwa odwodzi psa myśliwskiego od swego gniazda, ofiarowując mu własne ciało w zamian za ciała swoich piskląt.

- Kiepska sprawa - powiedziałem - nie pamiętam jej nazwiska.

- Jak to, nie pamiętacie, jak się nazywa kobieta, z którą żyjecie? - zdumiała się pani z trwałą ondulacją.

- Wy, towarzyszu Klima, macie godny podziwu stosunek do kobiet - powiedziała blondyna.

- Może bym sobie i przypomniał, ale musiałbym pomyśleć. Nie wiecie, towarzyszu, kiedy to było, jak pan Zaturecki do mnie przyszedł?

- To było... - mężczyzna z cofniętą brodą zajął do papierów - czternastego, w środę po południu.

- W środę... czternastego... chwileczkę... - ścisnąłem dłońmi skronie i zamyśliłem się. - Tak, już sobie przypominam. To była Helena. - Widziałem, jak wszystkie spojrzenia w napięciu zawisły na moich wargach.

- Helena... a jak dalej?

- Jak dalej? Tego niestety nie wiem. Nie chciałem jej o to pytać. Właściwie, jeśli mam być szczery, to nie jestem nawet pewny, czy miała na imię Helena. Nazwałem ją tak tylko dlatego, że jej mąż wydawał mi się rzyć jak Menelaus. To było we wtorek wieczorem, poznałem ją w jakiejś winiarni i udało mi się z nią zamienić parę słów, kiedy jej Menelaus odszedł do baru na kieliszek. Następnego dnia przyszła do mnie i została przez całe popołudnie. Tylko wieczorem musiałem ją na dwie godziny opuścić, ponieważ miałem zebranie na wydziale. Kiedy wróciłem, była w złym humorze, ponieważ napastował ją jakiś niski mężczyzna, sądziła, że byłem z nim w zмовie, obraziła się i nie chciała mnie więcej znać. Tak więc, jak towarzysze widzicie, nie zdążyłem już nawet dowiedzieć się jej prawdziwego imienia.

- Towarzyszu Klima, bez względu na to, czy to, co mówicie, jest prawdą, czy nie - odezwała się blondyna - wydaje mi się wręcz niepojęte, jak możecie wychowywać naszą młodzież. Czy doprawdy życie nie podsuwa wam innych celów jak pijatyka i uwodzenie kobiet? Możecie być pewni, że zakomunikujemy swoją opinię właściwym osobom.

- Dozorca nic nie wspominał o żadnej Helenie - zauważyła teraz starsza pani z ondulacją. - Ale poinformował nas, że już od miesiąca mieszka u was nie meldowana jakaś dziewczyna z domu mody. Nie zapominajcie, towarzyszu, że jesteście podnajemcą. Jakim prawem ktoś może u was mieszkać? Myślicie, że wasz dom to burdel? Jeżeli nie chcecie nam zdradzić nazwiska tej... to milicja już je ustali.

**11** Grunt całkowicie usuwał mi się spod nóg. Atmosferę wrogości, o której mówił profesor, zacząłem już odczuwać na wydziale. Na razie nikt wprawdzie nie wzywał mnie na żadną rozmowę, ale tu i tam słyszałem czasem jakąś aluzję, tu i tam coś mi ze współczuciem zdradziła pani Maria, u której w gabinecie profesorowie popijali kawę i nie krępowali się w rozmowach. Za parę dni miała się zebrać komisja konkursowa, która teraz ze wszystkich możliwych stron ściągała referencje; wyobraziłem sobie, jak jej członkowie czytają opinię komitetu blokowego, opinię, o której wiem jedynie, że jest tajna i że nie mogę nic na nią poradzić.

Są w życiu chwile, kiedy człowiek przechodzi do defensywy, kiedy musi się cofać. Kiedy musi poddawać mniej ważne pozycje, aby ocalić te ważniejsze. Wydało mi się, że tą jedyną i najważniejszą pozycją jest moja miłość. Tak, w tych burzliwych dniach zacząłem sobie nagle uprzytamniać, że kocham moją szwaczkę i że lgnę do niej całym sercem.

Tego dnia spotkałem się z Klarą koło muzeum. Nie, nie w domu. Czyż mój dom był jeszcze w ogóle domem? Czy jest domem gmach o szklanych ścianach? Gmach pod obrzuceniem lornetek, gdzie musicie ukrywać tę, którą kochacie, ostrożniej niżli kontrabandę?

Dom nie był domem. Czuliśmy się tam jak ktoś, kto zakradł się na obce terytorium i w każdej chwili może zostać schwytany: wprawiały nas w zdenerwowanie byle kroki na korytarzu, wciąż czekaliśmy, że ktoś zapuka do drzwi i będzie w nie walił z uporem. Klara znowu dojeżdżała do Czelakovic, a w tym naszym domu, który stał się obcy, nie mieliśmy ochoty się spotykać nawet przelotnie. Dlatego też poprosiłem swego kolegę malarza, żeby mi pożyczył na wieczór swoje atelier. Tego dnia po raz pierwszy dostałem klucz.

Tak więc znaleźliśmy się pod wysokim dachem na Vinohradach, w ogromnym pokoju z jednym małym tapczanem i wielkim ukośnym oknem, z którego roztaczał się widok na pogrążoną w wieczornym mroku Pragę. Wśród mnóstwa obrazów opartych o ścianę, wśród bałaganu i beztroskiego artystycznego nieładu, wróciło mi dawne poczucie cudownej swobody. Wyciągnąłem się na tapczanie, wbiłem korkociąg w korek i otworzyłem butelkę wina. Paplałem beztrosko i wesoło i cieszyłem się na uroczy wieczór i noc.

Ale smutek, który opadł ze mnie, całym ciężarem zwałił się na Klarę.

Wspominałem już o tym, jak to Klara bez jakichkolwiek skrupułów, ba, w najbardziej naturalny sposób, zadomowiła się niegdyś w mojej mansardzie. Jednakże teraz, kiedy na chwilę znaleźliśmy się w cudzym atelier, czuła się nieswojo. Więcej niż nieswojo.

- Mnie to poniża - powiedziała.

- Co cię poniża?

- Że musieliśmy wypożyczyć mieszkanie.

- Dlaczego poniża cię, że musieliśmy wypożyczyć mieszkanie?

- Ponieważ jest w tym coś poniżającego - odparła.

- Nic innego nie mogliśmy przecież zrobić.

- Tak - odpowiedziała - ale w cudzym mieszkaniu czuję się jak kobieta lekkich obyczajów.

- Na litość boską, dlaczego miałabyś się czuć jak kobieta lekkich obyczajów akurat w cudzym mieszkaniu? Kobiety lekkich obyczajów uprawiają swój zawód przeważnie we własnych, a nie cudzych mieszkaniach.

Nie miało celu szturmować rozumem mocnej twierdzy irracjonalnych odczuć, z których ponoć ulepiona jest dusza kobieca. Nasza rozmowa od początku nie wróżyła nic dobrego. Powtórzyłem więc Klarze, co mi mówił profesor, opowiedziałem jej, co było w Komitecie blokowym, i usiłowałem ją przekonać, że w końcu wszystko przezwyciężymy. Klara chwilę milczała, po czym oświadczyła, że ja sam wszystkiemu jestem winien.

- A będziesz mógł przynajmniej wyciągnąć mnie od tych szwaczek?

Powiedziałem jej, że być może będzie musiała mieć trochę cierpliwości.

- No widzisz - rzekła Klara - obiecanki cacanki i w końcu nic nie robisz. A sama się stamtąd nie wyrwę, nawet gdyby ktoś inny chciał mi pomóc, bo przez ciebie będę miała zepsutą opinię.

Dałem Klarze słowo, że przygoda z panem Zatureckim w żadnym wypadku jej nie może zaszkodzić.

- Nie rozumiem zresztą - rzekła Klara - dlaczego nie napiszesz tej recenzji. Raz byś napisał i byłby spokój.

- Już za późno, Klaro - rzekłem. - Jeśli napiszę recenzję, powiedzą, że zjechałem tę pracę przez zemstę, i będą jeszcze bardziej wściekli.

- A dlaczego miałbyś ją zjechać? Napisz recenzję pozytywną.

- Nie mogę, Klaro. Ta praca jest do niczego.

- No i? Od kiedy zrobiłeś się nagle taki prawdomówny? A to nie było kłamstwo, jak napisałeś temu człowiekowi, że w „Myśli Plastycznej” nie liczą się z twoim zdaniem? A to



nie było kłamstwo, kiedy powiedziałeś mi, że mnie chciał uwieść? A to nie było kłamstwo, jak wymyśliłeś sobie tę Helenę? No więc, skoro już tyle nałgałeś, to co ci szkodzi zełgać jeszcze raz i napisać pozytywną recenzję? Tylko w ten sposób możesz wszystko załagodzić.

- Widzisz, Klaro - powiedziałem - ty uważasz, że kłamstwo to kłamstwo, i wydawałoby się, że masz rację. Ale tak nie jest. Mogę sobie wymyślić, co mi się podoba, robić ludzi w konia, urządzać mistyfikacje i płatać psikusy - nie czuję się przy tym jak oszust ani nie mam wyrzutów sumienia: te kłamstwa - jak to nazywasz - to jestem ja sam, taki jaki jestem, kłamiąc w ten sposób nic nie udaję, kłamiąc w ten sposób mówię właściwie prawdę. Ale są sprawy, w których kłamać nie mogę. Są sprawy, na których się znam, których sens zgłębiłem, które kocham i traktuję poważnie. I tu się żartować nie da. Tu, gdybym kłamał, poniżyłbym jakoś samego siebie, a tego ode mnie nie wymagaj, tego nie zrobię.

Nie rozumieliśmy się. Ale ja Klarę naprawdę kochałem i zdecydowany byłem zrobić wszystko, żeby nie musiała czynić mi wyrzutów. Następnego dnia napisałem list do pani Zatureckiej, że pojutrze o godzinie trzeciej czekam na nią w swoim gabinecie.

**12** Wierna swojej przerażającej systematyczności, pani Zaturecka zapukała punktualnie o oznaczonej porze. Otworzyłem drzwi i poprosiłem, żeby weszła. A więc w końcu ją zobaczyłem. Była to wysoka kobieta, bardzo wysoka, o dużej, chudej twarzy wieśniaczki, z której spoglądały jasnoniebieskie oczy.

- Niech pani się rozbierze - powiedziałem, a ona niezgrabnymi ruchami zdjęła jakiś długi, ciemny płaszcz, wcięty w talii i dziwacznie skrojony, płaszcz, który - nie wiadomo czemu - przypomniał mi staromodne szynele wojskowe.

Nie chciałem pierwszy ruszyć do ataku, chciałem, żeby najpierw odkrył karty przeciwnik. Kiedy pani Zaturecka usiadła, po wymianie paru zdań skłoniłem ją do mówienia.

- Panie Klima - rzekła z powagą, bez jakiegokolwiek agresywności - wie pan dobrze, dlaczego pana szukałam. Mój mąż zawsze bardzo pana cenił jako wybitnego specjalistę i człowieka z charakterem. Wszystko zależało od pana recenzji. Ale pan nie chciał mu jej dać. Mój mąż pisał tę pracę przez całe trzy lata. On miał cięższe życie niż pan. Był nauczycielem, dojeżdżał codziennie trzydzieści kilometrów do Pragi. W zeszłym roku sama go namówiłam, żeby to rzucił i poświęcił się tylko nauce.

- To pan Zaturecki nigdzie nie pracuje? - spytałem.

- Nie...

- Az czego państwo żyjecie?

- Tymczasem muszę wszystko ciągnąć sama. Ta nauka, panie Klima, to jest pasja mojego męża. Żeby pan wiedział, co on już przestudiował. Żeby pan wiedział, ile on zapisał papieru. Mówi zawsze, że prawdziwy naukowiec musi napisać trzysta stron, żeby mu z tego zostało trzydzieści. A potem przyszła historia z tą kobietą. Niech mi pan wierzy, panie Klima, ja go przecież znam, on na pewno nie zrobił tego, o co ona go oskarżyła, ja w to nie wierzę, ale niech ona to powtórzy przede mną i przed nim! Ja znam kobiety, możliwe, że ona pana kocha, a pan jej nie. Może chciała wzbudzić pańską zazdrość. Ale może mi pan wierzyć, panie Klima, mój mąż nigdy by sobie na to nie pozwolił!

Słuchałem pani Zatureckiej i naraz stało się ze mną coś dziwnego: przestałem myśleć o tym, że to jest ta kobieta, przez którą będę musiał opuścić wydział, że to jest kobieta, z powodu której padł cień na mój stosunek z Klarą, kobieta, przez którą straciłem tyle dni, zszarpałem sobie tyle nerwów, tyle miałem nieprzyjemności. Związek między nią a wydarzeniem, w którym oboje odgrywaliśmy teraz jakąś smutną rolę, wydał mi się nagle niejasny, przypadkowy, niezawiniony. Zrozumiałem nagle, że to było tylko moje złudzenie, kiedy sądziłem, że sami nakładamy cudłe zdarzeniom i kierujemy ich biegiem; że to w ogóle nie są nasze zdarzenia, że zostają nam raczej podsunięte gdzieś z zewnątrz; że w żaden

sposób nas nie określają; że nie jesteśmy odpowiedzialni za ich przedziwne drogi; że unoszą nas, a rządzą nimi jakieś obce siły. Zresztą, kiedy patrzyłem w oczy pani Zatureckiej, miałem wrażenie, że te oczy nie mogą widzieć spraw do końca - miałem wrażenie, że te oczy w ogóle nie patrzą, że tylko pływają ot tak w jej twarzy, że tylko są.

- Może pani ma rację, pani Zaturecka - rzekłem pojednawczo. - Możliwe, że moja dziewczyna rzeczywiście nie mówiła prawdy, ale wie pani, jak to bywa, kiedy mężczyzna jest zazdrosny; uwierzyłem jej i nerwy trochę mnie poniosły. Każdemu się zdarza.

- Oczywiście, no pewnie - przytaknęła pani Zaturecka i widać było, że kamień spadł jej z serca. - Skoro sam pan to przyznaje, to dobrze. Myśmy się bali, że pan jej wierzy. Przecież ta kobieta mogłaby mojemu mężowi złamać życie. Nie mówię już o tym, jakie światło rzuca to na jego moralność. Z tym jakoś już byśmy się pogodzili. Ale po pańskiej recenzji mój mąż wiele sobie obiecuje. W redakcji zapewnili go, że wszystko zależy tylko od pana. Mój mąż jest przekonany, że gdyby wydrukowali jego pracę, zostałby w końcu uznany za naukowca. Proszę pana, teraz, kiedy wszystko się już wyjaśniło, napisze pan tę recenzję, prawda? I jeśli, to możliwie, jak najszybciej?

Oto nadeszła chwila, by zemścić się za wszystko i wyładować swoją wściekłość, tylko że ja w tej chwili żadnej wściekłości nie czułem, a to, co teraz powiedziałem, powiedziałem jedynie dlatego, że nie miałem innego wyjścia:

- Proszę pani, z tą recenzją jest kłopot. Przyznam się pani, jak to wszystko było. Nie lubię ludziom w oczy mówić przykrych rzeczy. Ukrywałem się przed panem Zatureckim i sądziłem, że się domyśli, dlaczego go unikam. Bo widzi pani, jego praca jest słaba. Nie ma żadnej wartości naukowej. Wierzy mi pani?

- Trudno mi w to uwierzyć. Nie mogę w to uwierzyć - rzekła pani Zaturecka.

- Ta praca przede wszystkim jest zupełnie nieoryginalna. Niech pani zrozumie, że naukowiec musi zawsze znaleźć coś nowego, naukowiec nie może tylko przepisywać tego, co jest znane, co już napisali inni.

- Mój mąż z całą pewnością tej pracy nie odpisał.

- Proszę pani, pani na pewno czytała tę pracę.

Chciałem mówić dalej, ale pani Zaturecka mi przerwała.

- Nie, nie czytałam.

Byłem zaskoczony.

- Niech więc ją pani przeczyta.

- Ja źle widzę - powiedziała - mam chore oczy. Już od pięciu lat nie przeczytałam ani słowa, ale ja nie potrzebuję czytać, żeby wiedzieć, czy mój mąż jest uczciwy, czy nie. Takie rzeczy poznaje się w inny sposób. Ja znam swego męża jak matka dziecko, wiem o nim wszystko. I wiem, że cokolwiek robi, zawsze robi uczciwie.

Musiałem uciec się do najgorszego. Przeczytałem pani Zatureckiej niektóre ustępy z artykułu jej małżonka, przytaczając jednocześnie odpowiednie fragmenty prac różnych autorów, od których pan Zaturecki zapożyczył swoje tezy i sformułowania. Nie chodziło tu naturalnie o zdecydowany plagiat, raczej o nieświadome uleganie autorytetom, dla których pan Zaturecki żywił szczerą i bezgraniczną szacunek. Ale każdy, kto usłyszałby porównywane fragmenty, musiałby zrozumieć, że pracy Zatureckiego nie może wydrukować żadne poważne pismo naukowe.

Nie wiem, jak dalece uważnie słuchała pani Zaturecka mojego wykładu, na ile go śledziła i rozumiała, ale siedziała pokornie w fotelu, posłusznie niczym żołnierz, który wie, że nie wolno mu zejść z posterunku.

Trwało chyba z pół godziny, nim skończyliśmy. Pani Zaturecka wstała z fotela, utkwiała we mnie swoje przezroczyście oczy i bezbarwnym głosem poprosiła o wybaczenie. Ja jednakże wiedziałem, że nie utraciła wiary w swego męża, a jeśli coś komuś wyrzucała, to tylko sobie, że nie potrafiła stawić czoła moim argumentom, które wydawały jej się mętne i

niezrozumiałe. Włożyła swój wojskowy płaszcz, a ja już wiedziałem, że ta kobieta to żołnierz, żołnierz ciałem i duszą, smutny, wierny żołnierz, utrudzony długimi marszami, żołnierz, który nie jest w stanie zrozumieć sensu rozkazów, ale bez protestu będzie je wypełniać, wojak, który teraz odchodzi pokonany, ale nie skalany zdradą.

**13** Zostało po niej w moim gabinecie coś z jej zmęczenia, z jej wierności, z jej smutku. Zapomniałem nagle o sobie i o swoich zmartwieniach. Smutek, jaki mnie ogarnął w tej chwili, był jakiś lepszy i czystszy, ponieważ nie płynął ze mnie, ale skądś z zewnątrz, z daleka.

- No, teraz nie musisz się już niczego bać - powiedziałem do Klary, kiedy w winiarni „Dalmatyńskiej” powtórzyłem jej swoją rozmowę z panią Zaturecką.

- Ja przecież nie miałam się czego bać - odparła Klara z pewnością siebie, która mnie zdumiała.

- Jak to? Przecież żeby nie ty, to w ogóle nie byłbym się z tą Zaturecką spotkał.

- Że się z nią spotkałeś, to dobrze, ponieważ to, co im zrobiłeś, było bardzo nieprzyjemne. Doktor Kalousek mówi, że inteligentnemu człowiekowi trudno to pojąć.

- Kiedy się widziałaś z Kalouskiem?

- Widziałam się - rzekła Klara.

- I wszystko mu opowiedziałaś?

- No i co z tego? Czy to tajemnica? Ja już dzisiaj wiem dobrze, kto ty jesteś.

- Hm.

- Mam ci powiedzieć, kto ty jesteś?

- Słucham.

- Stereotypowy cynik.

- Powtarzasz po Kalousku.

- Dlaczego po Kalousku? Uważasz, że nie mogłam tego wymyślić sama? Ty w ogóle sobie wyobrażasz, że ja cię nie potrafię rozgryźć. Lubisz wodzić ludzi za nos. Panu Zatureckiemu obiecywałeś recenzję...

- Nie obiecywałem mu recenzji.

- Wszystko jedno. A mnie obiecywałeś posadę. Przed Zatureckim wygadywałeś na mnie, a przede mną na Zatureckiego. Ale żebyś wiedział, ja tę posadę będę miała.

- Przez Kalouska? - usiłowałem być uszczypliwy.

- W każdym razie nie przez ciebie. Ty jesteś w ogóle taki przegrany, że nawet sam nie wiesz.

- A ty wiesz?

- Wiem. W tym konkursie nie przejdiesz i będziesz zadowolony, jeśli w jakiejś galerii przyjmą cię na urzędnika. Ale musisz sobie uświadomić, że to był wyłącznie twój błąd. Jeśli mogę udzielić ci rady, to bądź na przyszłość uczciwszy i nie kłam, bo człowieka, który kłamie, żadna kobieta nie jest w stanie szanować.

Wstała, podała mi (na pewno po raz ostatni) rękę, odwróciła się i odeszła.

Dopiero po chwili uprzytomniłem sobie, że (na przekór lodowatej ciszy, jaka mnie otoczyła) moja przygoda nie należy do przygód tragicznych, ale raczej komicznych.

Sprawiło mi to pewną ulgę.

# Złote jabłko wiecznej tęsknoty



*wiecznej tęsknoty ...nie wiedzą, że szukają jeno łowów, nie zdobyczy.*

*Blaise Pascal*

## **Marcin**

Marcin umie to, czego ja nie potrafię: zaczepić pierwszą lepszą kobietę na pierwszej lepszej ulicy. Muszę przyznać, że przez cały ten długi czas, od kiedy znamy się z Marcinem, czerpałem poważne korzyści z tego jego talentu, ponieważ lubię kobiety nie mniej niż on, brak mi jednakże jego desperackiego tupetu. Natomiast błędem Marcina było zawsze to, że samo tzw. „namotanie” dziewczyny stawało się czasem dla niego jakąś samoistną wirtuozerią, na której niekiedy poprzestawał. Mawiał więc nie bez pewnej goryczy, że przypomina gracza w ataku, który niepostrzeżenie wystawia „murowane” piłki koledze, a ten strzela potem łatwe bramki i zbiera laury.

W tym tygodniu w poniedziałek po południu czekałem na niego po pracy w kawiarni na Placu Waława, przeglądając przy tym grubą niemiecką książkę o starej kulturze etruskiej. Trwało kilka miesięcy, zanim biblioteka uniwersytecka uzyskała dla mnie wypożyczenie jej z Niemiec, a kiedy owego dnia wreszcie ją dostałem, niosłem ją z sobą niczym relikwią i właściwie byłem zadowolony, że Marcin każe na siebie czekać i że mogę tę wymarzoną książkę przerzucać przy kawiarnianym stoliku.

Ilekróć pomyślę o starych kulturach antycznych, ogarnia mnie smutek. Może poza wszystkim innym jest to także smętna zazdrość o tę senną, słodką powolność ówczesnej historii: epoka kultury staroegipskiej trwała kilka tysięcy lat, epoka greckiego antyku - prawie całe tysiąclecie. Pod tym względem życie pojedynczego człowieka przypomina dzieje ludzkości: z początku pogrążone jest niemal w bezruchu i dopiero później powoli nabiera tempa. Marcin właśnie dwa miesiące temu skończył czterdzieści lat.

## Historia się zaczyna

On to wyrwał mnie z mojej zadumy. Zjawił się nagle w oszklonych drzwiach kawiarni i szedł w moją stronę, robiąc wymowne miny i grymasy w kierunku jednego ze stolików, przy którym nad filiżanką kawy siedziała kobieta. Nie spuszczać z niej wzroku, usiadł koło mnie.

- I co ty na to? - spytał.

Czułem się zawstydzony: byłem rzeczywiście tak zapatrzony w swoje grube tomisko, że dopiero teraz zauważyłem tę dziewczynę. Musiałem przyznać, że jest bardzo ładna.

W tej samej chwili dziewczyna wyprostowała się i zawołała w stronę pana z czarną muszką, że chce płacić.

- Zapłać i ty - rozkazał Marcin.

Myśleliśmy już, że będziemy musieli biec za dziewczyną,

ale na szczęście zatrzymała się jeszcze w szatni. Zostawiła tam torbę na zakupy i szatniarka długo szukała, zanim położyła ją przed nią na kontuarze. Dziewczyna podała jej trochę drobnych i w tej samej chwili Marcin wyszarpnął mi z ręki moją niemiecką książkę.

- Włóżmy ją lepiej tutaj - powiedział z brawurową prostotą i pieczołowicie zaczął wsuwać książkę do torby dziewczyny. Zrobiła zdziwioną minę, ale nie wiedziała, co powiedzieć.

- W ręku niewygodnie to nosić - powiedział jeszcze Marcin, a kiedy dziewczyna sama chciała wziąć torbę, zwymyślał mnie, że nie jestem dżentelmenem.

Panna była pielęgniarką z prowincjonalnego szpitala, do Pragi wpadła tylko na krótko i spieszyła się teraz na Florenc do autobusu. Wystarczył mały kawałek drogi do przystanku tramwajowego, żebyśmy dowiedzieli się wszystkich rzeczy zasadniczych i byśmy umówili się, że w sobotę przyjedziemy do B., do tej uroczej panienki, która - jak Marcin znacząco napomknął - z pewnością będzie przecież miała jakąś sympatyczną koleżankę.

Tramwaj nadszedł, podałem dziewczynie torbę, a ona chciała wyciągnąć z niej książkę, przeszkodził temu jednak Marcin wspaniałomyślnym gestem: w sobotę przecież po nią przyjedziemy, niech tymczasem panienka ją sobie przejrzy...

Dziewczyna śmiała się zakłopotana, tramwaj ją unosił, a myśmy machali rękami.

Co robić, książka, na którą tak długo się cieszyłem, znalazła się nagle w sienie dali; rzecz jako taka była dosyć przykra, ale jakieś szaleństwo przenosiło mnie szczęśliwie ponad tym faktem na swoich naprędce skleconych skrzydłach.

Marcin natychmiast zaczął się zastanawiać, jak będzie mógł się wykręcić na sobotnie popołudnie i noc od swojej młodziutkiej żony. (Bo naprawdę to jest tak: ma w domu młodą żonę i co gorsza kocha ją, a co jeszcze gorsze - boi się jej, a co jeszcze tysiąc razy gorsze - boi się o nią.)

## Udana rejestracja

Wypożyczyłem na naszą wyprawę pięknego fiata i w sobotę o godzinie drugiej zajęchałem przed dom Marcina. Marcin już czekał i pojechaliśmy. Był lipiec i straszliwy upał.

Chcieliśmy znaleźć się w B. jak najszybciej, ale kiedy w jednej z wsi, przez którą przejeżdżaliśmy, zobaczyliśmy dwóch chłopców w szortach i z wymownie mokrymi włosami, zatrzymałem auto. Staw był rzeczywiście niedaleko, pięć kroków od nas, za gumnem. Nie potrafię już sypiać tak jak dawniej, ostatniej nocy przewracałem się z boku na

bok, gnębiony jakimiś tam zmartwieniami, aż do trzeciej nad ranem; chciałem się trochę odświeżyć. Marcinowi też to odpowiadało.

Rozebraliśmy się i w majteczkach kąpielowych wskoczyliśmy do wody. Płynąłem szybko pod wodą do przeciwległego brzegu. Marcin zamoczył się tylko ot tak, ochlapał się i wyszedł na brzeg: zauważyłem, że jest czymś mocno zaabsorbowany. Na brzegu wrzeszczała chmara dzieciaków, gdzieś niedaleko grała w piłkę miejscowa młodzież, ale Marcin wpatrywał się w zgrabną figurkę dziewczyny stojącej o jakieś piętnaście metrów od nas, obróconej do nas plecami i nieruchomo zapatrzonej w wodę.

- Popatrz! - rzekł Marcin.

- Patrzę.

- No i co powiesz?

- Co mam mówić?

- Ty nie wiesz, co powiedzieć?

- Musimy poczekać, aż się odwróci - zauważyłem.

- Wcale nie musimy czekać. To, co pokazuje mi z tej strony, zupełnie mi wystarcza.

- No dobrze - powiedziałem - ale niestety nie mamy czasu nic z tym zrobić.

- Przynajmniej zarejestrować, zarejestrować - rzekł Marcin i zwrócił się do jakiegoś chłopaczka, który nieopodal wciągał spodni.

- Chłopczyku, nie wiesz przypadkiem, jak się nazywa ta panienka? - I wskazał na dziewczynę, która z jakąś dziwną apatią trwała w swojej pozie.

- Tamta?

- Tak, ta.

- Ona nietutejsza - rzekł chłopak.

Marcin zwrócił się do dwunastoletniej może dziewczynki, która opalała się tuż obok.

- Nie wiesz, kto to jest ta panienka, co tam stoi na brzegu?

Dziewczynka podniosła się posłusznie.

- Tamta?

- Tak, ta.

- To jest Mania.

- Mania? A jak dalej?

- Mania Pankówna z... z Traplic...

A dziewczyna wciąż stała nad wodą, zwrócona do nas plecami. Teraz schyliła się po czepek kąpielowy, a kiedy wyprostowała się, wciągając go na włosy, Marcin stał już przy mnie.

- To niejaka Mania Pankówna z Traplic. Możemy jechać.

Był zadowolony, spokojny i myślał już wyłącznie o dalszej drodze.

Trochę teorii

Marcin nazywa to „rejestracją”. Opiera się na swoich bogatych doświadczeniach, które doprowadziły go do konkluzji, że nie tak ważne jest dziewczynę uwieść, jak - mając pod tym względem dość wysokie wymagania jakościowe - znać zawsze wystarczającą ilość dziewcząt, których dotychczas nie uwiedliśmy.

Dlatego też twierdzi, że należy stale, wszędzie i przy każdej okazji prowadzić szeroko zakrojoną rejestrację, zapisywać w notesie czy w pamięci (Marcin polega głównie na pamięci) imiona kobiet, które nas zainteresowały i z którymi moglibyśmy się skontaktować.

Kontaktacja - to już wyższa faza działania i oznacza, że z daną kobietą spotkamy się, nawiążemy znajomość i potrafimy pozyskać sobie jej względy.

Kto lubi z dumą spoglądać w przeszłość, przywiązuje wagę do imion kobiet zdobytych, ale kto patrzy naprzód, w przyszłość, musi starać się przede wszystkim o to, żeby mieć pod dostatkiem kobiet zarejestrowanych i skontaktowanych.

Wyżej niż kontakcja bowiem stoi już tylko ostatni etap działania, a ja chętnie podkreślałam - aby zasłużyć na uznanie Marcina - że ci, którzy dążą wyłącznie do tego ostatniego etapu, to mężczyźni prymitywni i niewiele warci, którzy przypominają mi wsiowych futbolistów, rzucających się bezmyślnie na bramkę przeciwnika i zapominających, że do gola, i wielu następnych goli, nie wiedzie jedynie zwariowana chęć strzelenia bramki, ale przede wszystkim precyzyjna i solidna gra na boisku.

- Myślisz, że pojedziesz kiedyś do tych Traplic? - spytał Marcina, gdy znowu siedzieliśmy w aucie.

- Nigdy nie wiadomo... - odparł.

- W każdym razie - rzekłem - dzień zaczyna się nam szczęśliwie.

## Zabawa i konieczność

Dotarliśmy do szpitala w B. w doskonałych humorach. Było mniej więcej wpół do czwartej. Wywołaliśmy telefonicznie naszą pielęgniarkę do portierni. Po chwili zeszła na dół w białym czepeczku i fartuchu, dostrzegłem, że się zaczerwieniła, i wziąłem to za dobry znak.

Marcin natychmiast nawiązał rozmowę, a dziewczyna oświadczyła nam, że o siódmej kończy dyżur i żebyśmy o tej porze czekali na nią przed szpitalem.

- Czy rozmawiała już pani z koleżanką? - spytał Marcin, a dziewczyna kiwnęła głową.

- Przyjdziemy obie.

- Dobrze - rzekł Marcin - ale nie możemy mego kolegi stawiać wobec wielkiej niewiadomej.

- W porządku - rzekła dziewczyna - możemy ją obejrzeć. Bożena jest na internie.

Szliśmy powoli przez dziedziniec szpitalny, a ja bąknąłem nieśmiało:

- Czy ma pani jeszcze tę grubą książkę?

Siostrzyczka kiwnęła głową, że tak, ma ją, i to nawet tutaj

w szpitalu. Spadł mi kamień z serca i uparłem się, że najpierw musimy iść po tę książkę.

Marcin oczywiście uważał za nietakt z mojej strony, że tak ostentacyjnie daję pierwszeństwo książce przed kobietą, która ma zostać mi przedstawiona, ale nic na to nie mogłem poradzić.

Muszę się bowiem przyznać, że cierpiałem bardzo przez tych kilka dr.i, kiedy dzieło o kulturze Etrusków znajdowało się poza moim polem widzenia. I był to z mojej strony dowód ogromnej samodyscypliny, że cierpiałem bez mrugnięcia okiem, nie chcąc w żadnym wypadku psuć zabawy. Jest to dla mnie cnota, którą od dziecka uczyłem się szanować i podporządkowywać jej wszystkie swoje osobiste interesy i zachcianki.

Podczas gdy ze wzruszeniem witałem się ze swą książką, Marcin kontynuował rozmowę z siostrzyczką i doszedł już do tego, że dziewczyna obiecała wypożyczyć na wieczór od swego kolegi domek nad pobliskim jeziorem Hoterskim. Byliśmy wszyscy w najwyższym stopniu zadowoleni i ruszyliśmy wreszcie przez dziedziniec szpitalny do małego zielonego budynku, gdzie mieścił się oddział wewnętrzny.

Naprzeciw nam nadchodziła właśnie jakaś pielęgniarka z lekarzem. Ten lekarz był to komiczny dryblas z odstającymi uszami, co mnie zafrapowało, tym bardziej że nasza siostra w tej samej chwili trąciła mnie łokciem. Uśmiechnąłem się. Kiedy nas minęli, zwrócił się do mnie Marcin:

- No, masz, chłopie, szczęście. Nie zasłużyłeś sobie na taką śliczną dziewczynę.

Nie śmiałem przyznać, że patrzyłem tylko na tego drąga, toteż wymamrotałem jakąś pochlebną uwagę. Nie była to zresztą z mojej strony hipokryzja. Wierzę bowiem w gust

Marcina bardziej niż we własny, ponieważ wiem, że jego ocena podbudowana jest dużo większym zainteresowaniem niż moja. Lubię obiektywizm i ład we wszystkim, toteż cenię zawsze wyżej znawcę od dyletanta.

Ktoś mógłby wziąć za hipokryzję to, że nazywam dyletantem siebie, mężczyznę rozwiedzionego, który właśnie opowiada o jednej ze swoich (i to wcale nie sporadycznych) awanturek. A jednak jestem dyletantem. Można by powiedzieć, że bawię się w coś, czym Marcin żyje. Czasami mam wrażenie, że cały mój poligamiczny żywot wynika nie z czego innego, jak z chęci naśladowania innych mężczyzn; nie twierdzę, żebym w tym naśladownictwie nie znajdował upodobania. Ale nie mogę wyzbyć się uczucia, że w owym upodobaniu jest mimo wszystko coś z absolutnej swobody, zabawy i ulotności, charakterystycznych przy zwiedzaniu wystaw obrazów czy obcych krajów, coś, co nie jest podporządkowane w żaden sposób jakiemuś imperatywowi kategorycznemu, jaki wyczuwałem za życia erotycznym Marcina. Właśnie obecność tego kategorycznego imperatywu podnosiła Marcina w moich oczach. Wydawało mi się, że sąd o kobietach wyraża poprzez jego usta sama Natura, sama Konieczność.

## Promyk życia rodzinnego

Kiedy znaleźliśmy się poza szpitalem, Marcin stwierdził, że wszystko się nam fantastycznie udaje, i dodał:

- Ale wieczorem musimy się pospieszyć. O dziewiątej chciałbym być w domu.

Zdębiałem.

- O dziewiątej? To znaczy wyjechać stąd o ósmej. W takim razie niepotrzebnie w ogóle tu przyjeżdżaliśmy! Liczyłem na to, że mamy do dyspozycji całą noc.

- Dlaczego chcesz szafować czasem?

- Ale co za sens przyjeżdżać tutaj dla jednej godziny? Co chcesz zdziałać od siódmej do ósmej?

- Wszystko! Jak widziałeś, załatwiłem chatę, pójdzie więc jak po maśle. Od ciebie tylko zależy, żebyś działał w sposób zdecydowany.

- A dlaczego musisz o dziewiątej być w domu?

- Obiecałem Irence. Zawsze w sobotę przed pójściem spać grywamy w „bezika”.

- O Boże! - westchnąłem.

- Irenka miała wczoraj znów jakieś przykrości w biurze, no to czy mogę pozbawić ją tej małej sobotniej przyjemności? Widzisz, to jest najlepsza żona, jaką kiedykolwiek miałem. Zresztą - dodał - ty też będziesz zadowolony, że masz w Pradze jeszcze całą noc przed sobą.

Zrozumiałem, że wszelkie protesty będą tu daremne. Obawy Marcina o spokój ogniska domowego nie można było niczym rozproszyć, a jego wiara w nieograniczone możliwości erotyczne każdej godziny czy minuty była nie do obalenia.

- Chodź - powiedział Marcin. - Do siódmej mamy jeszcze trzy godziny. Nie traćmy czasu.



## Szalbierstwo

Ruszyliśmy przed siebie ścieżką miejskiego parku, który służył tutejszym mieszkańcom jako korso. Obserwowaliśmy dziewczęta, które po dwie przechodziły obok nas albo siedziały na ławkach, ale ich walory nie odpowiadały naszym wymaganiom.

Marcin wprawdzie zagadnął dwie z nich, wdał się z nimi w rozmowę i umówił się nawet na randkę, ale wiedziałem, że nie traktuje tego poważnie. Była to tzw. kontaktacja treningowa, którą Marcin czasem przeprowadzał, żeby nie wyjść z wprawy.

Niezadowoleni wyszliśmy z parku na ulice ziejące małomiasteczkową pustką i nudą.

- Chodźmy się czegoś napić, mam pragnienie - powiedziałem do Marcina.

Znaleźliśmy jakiś dom, na którym widniał napis „Kawiarnia”.

Weszliśmy, ale w środku był tylko bar samoobsługowy; lokal wyłożony kafelkami tchnął chłodem i obcością. Stanęliśmy przy kontuarze i kupiliśmy u nieprzyjaźnie nastawionej niewiasty zabarwioną wodę, po czym zanieśliśmy szklanki do stolika, który zachlapany był sosem i zachęcał do rychłego odejścia.

- Nic sobie z tego nie rób - rzekł Marcin - brzydota ma w naszym świecie swoją funkcję pozytywną. Nikt nie ma ochoty nigdzie dłużej się zatrzymywać, ludzie szybko zewsząd wychodzą i w ten sposób powstaje pożądane tempo życia. Ale my nie damy się sprowokować. Możemy teraz w zaciszu tego szkaradnego lokalu pogadać sobie o tym i owym. - Napił się lemoniady i zapytał:

- Nawiązałeś już kontakt z tą medyczką?

- Oczywiście - odparłem.

- No i jaka ona jest? Opisz mi ją dokładnie.

Opisałem mu medyczkę. Nie sprawiało mi to wielkiej trudności, mimo że żadna medyczka nie istniała. Tak. Może rzuci to na mnie niekorzystne światło, ale tak właśnie jest: wymyśliłem ją sobie.

Daję słowo, że nie zrobiłem tego z niskich pobudek, na przykład żeby przechwalać się wobec Marcina czy oszukiwać go. Wymyśliłem sobie tę medyczkę po prostu dlatego, że nie mogłem już znieść nagabywań Marcina.

Jego wymagania odnośnie mojej aktywności były ogromne. Był przekonany, że dzień w dzień spotykam coraz to nowe kobiety. Widział mnie innym, niż jestem, i gdybym mu otwarcie wyznał, że przez cały tydzień nie tylko nie posiadałem nowej kobiety, ale nawet o żadną nie zawadziłem - uważałby mnie za hipokrytę.

Toteż zmuszony byłem gdzieś tydzień temu zmyślić „rejestrację” jakiejś medyczki. Marcin był zadowolony i liczył, że wejść z nią w „kontakt”. Dziś właśnie kontrolował moje postępy.

- A jaka to mniej więcej klasa? Czy na przykład jak... - zamknął oczy i z ciemności wyławiał jakieś kryterium porównawcze. Nagle przypomniał sobie wspólną znajomą - ...Czy to klasa na przykład Małgosi?

- Ta jest dużo lepsza - stwierdziłem.

- Nie mów... - zdziwił się Marcin.

- Klasa twojej Ireny.

Własna żona reprezentuje dla Marcina najwyższą miarę. Był bardzo szczęśliwy z mego raportu i rozmarzył się.

## Udana kontaktacja

Po chwili do lokalu weszła jakaś dziewczyna w welwetowych spodniach i wiatrówce. Podeszła do lady, zaczęła na barwioną wodę i odeszła, by ją wypić. Stała przy sąsiednim stoliku, podniosła szklankę do ust i piła na stojąco.

Marcin odwrócił się w jej stronę.

- Przepraszam - powiedział - jesteśmy nietutejsi i chcielibyśmy panią o coś zapytać...

Dziewczyna się uśmiechnęła. Była całkiem ładna.

- Strasznie nam jest gorąco i nie wiemy, co robić.

- Idźcie się wykapać.

- Właśnie o to chodzi. Nie wiemy, gdzie tu jest jakiś basen.

- Nie ma żadnego.

- Jak to możliwe?

- Jeden basen jest, ale miesiąc temu wypuścili z niego wodę.

A - Śmieszne miłości

- A rzeka?

- Pogłębiają ją.

- Więc gdzie się pani chodzi kąpać?

- Chyba żeby do jeziora Hoterskiego, ale to co najmniej siedem kilometrów stąd.

- Drogiazg, mamy auto, wystarczy, jeśli nam pani wskaże drogę.

- Jako nawigator naszej łodzi.

- Raczej nawigator naszego auta - poprawił mnie Marcin.

- Jeżeli już, to kapitan - dodałem.

- Z czterema gwiazdkami - rzekł Marcin.

- W przypadku pani co najmniej z pięcioma - rzekłem ja z kolei.

- Jest pani po prostu naszą gwiazdką przewodnią i musi pani jechać z nami - rzekł Marcin.

Dziewczyna była zmieszana naszą bzdurną paplaniną, w końcu jednak oświadczyła, że pojechałaby, ale musi jeszcze coś załatwić, a potem wpaść po kostium kąpielowy, więc żebyśmy na nią zczekali dokładnie za godzinę w tym samym miejscu.

Byliśmy zadowoleni. Patrzyliśmy na nią, kiedy wychodziła, jak ładnie kręci tyłeczkiem i potrząsa czarnymi kędziorami.

- Widzisz - odezwał się Marcin - życie jest krótkie. Trzeba korzystać z każdej minuty.

## Pochwała przyjaźni

Poszliśmy znowu do parku. Znowu przyglądaliśmy się dziewczętom siedzącym po dwie na ławkach; czasem któraś z nich była niczego sobie, ale wtedy zawsze jej towarzyszyła była do niczego.

- Jest w tym jakaś dziwna reguła - powiedziałem do Marcina - brzydka kobieta ma nadzieję, że zyska trochę

w blasku ładnej przyjaciółki, ładna zaś wierzy, że jeszcze korzystniej będzie odbijać na tle brzyduli, a dla nas wypływa z tego wniosek, że nasza przyjaźń wечно będzie poddawana próbom. Ale ja cenię właśnie to, że nigdy nie pozostawiamy wyboru biegowi wypadków czy nawet jakiejś wzajemnej rywalizacji, wybór jest u nas zawsze sprawą kurtuazji, ofiarujemy sobie nawzajem tę ładniejszą dziewczynę, niczym dwaj staroświeccy panowie, którzy nigdy

nie mogą wejść do pokoju tymi samymi drzwiami, ponieważ nie chcą dopuścić, by jeden z nich wszedł pierwszy.

- Tak - powiedział Marcin roztkliwiony i wzruszony.

- Jesteś fajny kumpel. Chodź, siądziemy na chwilę, bolą mnie nogi.

I tak siedzieliśmy sobie miło, wystawiając twarze do słońca i pozwalając, by wokół toczyło się życie, na które nie zwracaliśmy uwagi.

## Dziewczyna w bieli

Nagle Marcin się wyprostował (tknięty najwyraźniej jakimś tajemniczym instynktem) i utkwiał wzrok w prowadzącej pod górę opustoszałej alei parku. Nadchodziła nią dziewczyna w białej sukni. Już z daleka, kiedy nie można było jeszcze dokładnie dojrzeć proporcji ciała ani rysów twarzy, uderzał w niej szczególny, trudny do uchwycenia wdzięk, jakaś czystość czy subtelność...

Kiedy panienka była już całkiem blisko, mogliśmy się zorientować, że jest jeszcze bardzo młodziotka, coś między dzieckiem a dziewczyną, i to wprowadziło nas nagle w stan absolutnego podniecenia, tak że Marcina aż poderwało z ławki.

- Przepraszam panią! Moje nazwisko Forman. Reżyser filmowy. Musi nam pani pomóc.

Podał jej rękę, a dziewczątka z bezgranicznie zdumionym wzrokiem uściśnęło mu dłoń.

Marcin skinął ku mnie głową.

- To mój operator.

- Ondrzciczek - powiedziałem podając panience rękę.

Dygnęła.

- Jesteśmy w krytycznej sytuacji. Szukam plenerów do swego filmu, miał tu na mnie czekać mój asystent, który dobrze się tutaj orientuje, ale nie przyjechał i właśnie zastanawiamy się, jak się połapać w tym mieście i całej okolicy. Kolega operator - zażartował Marcin - studiuje ciągle tę grubą niemiecką księgę, ale niestety tego w niej nie znajdzie.

Aluzja do książki, do której przez cały tydzień nie mogłem zajrzeć, nagle mnie jakoś zirytowała.

- Szkoda, że nie poświęca pan tej książce większej uwagi

- zaatakowałem swego reżysera. - Gdyby pan przeprowadził solidne studia przygotowawcze, a nie pozostawiał tego swoim operatorom, pańskie filmy byłyby może mniej powierzchowne i nie byłoby w nich tylu błędów rzeczowych... Proszę wybaczyć - zwróciłem się w formie usprawiedliwienia do panienki - nie będziemy przecież zwracać pani głowy sprzeczkami dotyczącymi naszej pracy, bo widzi pani, to ma być film historyczny i między innymi wiąże się również z kulturą etruską w Czechach...

- Tak... - dygnęła panienka.

- To całkiem interesująca książka, niech pani spojrzy. - Podałem panience książkę, wzięła ją w rękę z jakimś pobożnym lękiem, a spostrzegłszy, że tego pragnę, przerzuciła parę kartek.

- Gdzieś niedaleko stąd musi się znajdować zamek Pchaczek - ciągnąłem dalej. - Było to centrum czeskich Etrusków... ale jak się tam dostać?

- To kawałeczek stąd - rzekła panienka i cała się rozpromieniła, ponieważ dokładna znajomość drogi na Pchaczek dostarczyła jej wreszcie odrobiny pewnego gruntu w owej nieco mętnej rozmowie, jaką z nią prowadziliśmy.

- Tak? Pani wie, gdzie to jest? - zapytał Marcin udając ogromną ulgę.
- No pewnie - rzekła panienka. - To godzinka drogi.
- Pieszko? - zapytał Marcin.
- Tak, pieszo.
- My mamy przecież auto - wtrąciłem.
- Nie zechciałaby pani być naszym nawigatorem? - spytał Marcin, ale ja nie kontynuowałem naszego zwykłego rytuału żarcików, ponieważ jestem lepszym psychologiem niż Marcin i uznałem, że jego niepoważne dowcipkowanie mogłoby nam w tym wypadku raczej zaszkodzić i że naszą bronią musi być teraz absolutna powaga.
- Nie chcielibyśmy absolutnie zabierać pani czasu - rzekłem - ale gdyby była pani tak uprzejma i zechciała poświęcić parę chwil, by pokazać nam pewne miejsca, których szukamy, bardzo by nam pani pomogła i byłibyśmy pani ogromnie wdzięczni.
- Ależ tak - dygnęła znowu panienka - bardzo chętnie... Ja tylko... - Dopiero teraz zauważyliśmy, że ma w ręku siatkę, a w niej dwie główki sałaty - ...muszę zanieść mamusi sałatę, ale to tutaj niedaleko, zaraz mogłabym wrócić...
- Sałatę musi pani oczywiście dostarczyć mamusi w porządku i na czas - powiedziałem - a my chętnie tutaj zaczekamy.
- Dobrze. To potrwa najwyżej dziesięć minut - rzekła panienka, dygnęła jeszcze raz i zaczęła się oddalać z gorliwym pośpiechem.
- O rany! - powiedział Marcin i usiadł.
- Fantastyczne, co?
- Ja myślę. Gotów jestem poświęcić w zamian za to obie felczerki.

## **Zwodniczość nadmiernej wiary**

- Upłynęło jednak dziesięć minut, upłynął kwadrans, a panienka nie przychodziła.
- Nie bój się - pocieszał mnie Marcin. - Jeśli w ogóle jest na świecie coś pewnego, to to, że ona przyjdzie. Odegraliśmy tę scenę bezbłędnie, a dziewczuszka była w siódmym niebie.
- Byłem tego samego zdania, czekaliśmy więc dalej, z każdą upływającą minutą bardziej spragnieni owej panienki-dziecka. Minął tymczasem termin wyznaczony na nasze spotkanie z dziewczyną w welwetowych spodniach, ale byliśmy tak pochłonięci naszą białą dziewczynką, że nawet nie przyszło nam na myśl, żeby się podnieść z miejsca.
- A czas płynął.
- Słuchaj, Marcin, mam wrażenie, że ona już nie przyjdzie - odezwałem się w końcu.
  - Jak to sobie wytłumaczysz? Przecież ta dziewczyna wierzyła nam jak samemu Bogu.
  - Tak - powiedziałem - na tym polega nasze nieszczęście. Ona nam aż zanedo wierzyła.
  - Jak to? Chciałbyś może, żeby nie wierzyła?
  - Tak byłoby chyba lepiej. Zbyt wielka wiara to najgorszy sojusznik.
- Ta myśl mnie porwała. Rozgadałem się:
- Jeśli w coś bezgranicznie wierzysz, sprowadzasz to w końcu poprzez swoją wiarę do absurdu. Kto jest prawdziwym zwolennikiem na przykład jakiejś polityki, nie bierze nigdy na serio jej sofizmatów, a tylko cele praktyczne, które się za tymi sofizmatami kryją. Frazesy polityczne i sofizmaty nie istnieją przecież po to, żeby w nie wierzyć; mają raczej służyć jako swego rodzaju zbiorowy umowny pretekst. Szaleńcy, którzy je biorą na serio, znajdą w nich wcześniej czy później sprzeczności, zaczną się buntować i skończą wreszcie haniebnie jako heretycy i odszczepieńcy. Nie, nadmierna wiara nigdy nie przynosi nic dobrego, i to nie tylko systemom politycznym czy religijnym, ale także i naszej metodzie, którą chcieliśmy poderwać tę dziewczuszkę.

- Przestaję cię jakoś rozumieć - rzekł Marcin.
- To całkiem jasne: byliśmy dla tej dziewczynki rzeczywiście tylko dwoma bardzo poważnymi panami, a ona jako grzeczne dziecko, które w tramwaju ustępuje miejsca starszym, chciała nam oddać przysługę.
- No to dlaczego nie oddała?
- Bo nam tak bardzo wierzyła. Wręczyła mamie sałatę i natychmiast w zachwycie opowiedziała jej o nas: o filmie historycznym, o Etruskach w Czechach, i mamusia...
- Tak, dalej już wszystko jasne... - przerwał mi Marcin i wstał z ławki.

## Zdrada

Słońce zresztą osuwało się już z wolna na dachy miasteczka; trochę się ochłodziło i było nam smutno. Na wszelki wypadek poszliśmy jeszcze zajrzeć do baru samoobsługowego, czy przypadkiem nie czeka tam na nas dotąd dziewczyna w welwetowych spodniach. Oczywiście już jej tam nie było. Dochodziło wpół do siódmej. Wsiadliśmy do auta z uczuciem ludzi wyproszonych nagle z tego miasta i wyłączonych z jego radości, pomyśleliśmy sobie, że nie pozostaje nam nic innego, jak schronić się na neutralny teren własnego wozu.

- No - ofuknął mnie w aucie Marcin. - Nie rób takiej pogrzebowej miny. Nie ma do tego powodów. Najważniejsze jest przecież przed nami!

Chciałem zauważyć, że na to najważniejsze została nam zaledwie godzina czasu z powodu jego Irenki i jej „bezika”, ale wołałem nic nie mówić.

- Zresztą... - ciągnął Marcin - dzień był bogaty; rejestracja tej babki z Traplic, kontaktacja dziewczyny w welwetowych spodniach, przecież czeka tu to na nas gotowe w każdej chwili, wystarczy tylko jeszcze raz przyjechać!

Nie protestowałem. Tak. Rejestracja i kontaktacja wykonane były bez zarzutu. W porządku. Ale przyszło mi w tej chwili na myśl, że Marcin w ciągu ostatniego roku poza niezliczoną ilością rejestracji i kontaktacji nic konkretnego nie zdziałał.

Spojrzałem na niego. Jego oczy lśniły jak zwykle swoim pożądanym blaskiem; poczułem nagle, że lubię Marcina, że lubię i ten jego sztandar, pod którym paraduje przez całe życie: sztandar wiecznej pogoni za kobietami.

Minęło trochę czasu i Marcin powiedział:

- Już siódma.

Zajechaliśmy więc pod szpital i zatrzymaliśmy się o jakieś dziesięć metrów od wejścia, w ten sposób, że mogłem w lusterku auta dokładnie obserwować wszystkich wychodzących.

Wciąż myślałem o tym sztandarze. A także o tym, że w pogoni za kobietami z każdym rokiem, im dalej, tym mniej chodzi o kobietę jako taką, a bardziej o samą pogoń. Zakładając bowiem, że idzie o z góry skazane na niepowodzenie zaloty, można przecież co dzień zalecać się do niezliczonej ilości kobiet i w ten sposób ową pogoń uczynić pogonią absolutną.

Tak: Marcin wkraczał w stadium pogoni absolutnej.

Czekaliśmy pięć minut. Dziewczyny nie przychodziły.

Ani trochę mnie to nie niepokoiło. Było przecież rzeczą zupełnie obojętną, czy przyjdą, czy nie. Gdyby nawet przyszły, to czyż moglibyśmy w ciągu jednej zaledwie godziny dotrzeć z nimi do odległego domku, skłonić je do poufałości, przespać się z nimi i o ósmej grzecznie się pożegnać i odjechać?

Nie, w momencie, gdy Marcin ograniczył nasze możliwości czasowe godziną ósmą, przesunął (jak wiele już razy) całą tę przygodę w sferę samooszukańczej gry.

Upłynęło dziesięć minut. W bramie nikt się nie zjawiał. Marcin zdenerwował się.

- Daję im jeszcze pięć minut - krzyknął niemal. - Dłużej nie czekam.

Marcin już nie jest młody - rozważałem dalej. - Kocha wiernym uczuciem swoją żonę. Żyje właściwie w tym swoim idealnie ustabilizowanym małżeństwie. To jest rzeczywistość. I proszę - ponad tą rzeczywistością (i równoległe z nią) ciągnie się dalej na płaszczyźnie wzruszająco niewinnego samozakłamania młodość Marcina, niespokojna, wesoła i fałszywa, młodość przemieniona w zwykłą grę, która w żaden sposób nie jest w stanie przekroczyć granic boiska, na jakim się toczy, wcielić się w życie i stać się rzeczywistością. A ponieważ Marcin jest zaślepionym rycerzem Konieczności, zamienił swoje przygody w nieszkodliwą Grę sam nawet o tym nie wiedząc i wkłada w nią nadal całą swoją pełną entuzjazmu duszę.

W porządku - powiedziałem sobie - Marcin jest niewolnikiem swego zakłamania, ale ja? Dlaczego ja asystuję w tej śmiesznej grze? Dlaczego ja, który wiem, że to wszystko jest kłamstwem, zgrywam się razem z nim? Czy wobec tego nie jestem jeszcze śmieszniejszy niż on? Dlaczego teraz, tutaj, mam udawać człowieka oczekującego na przygodę miłosną, skoro wiem, że czeka mnie najwyżej jedna absolutnie bezcelowa godzina z obojętnymi mi dziewczynami?

W tej chwili ujrzałem w lusterku, jak w bramie szpitalnej ukazały się dwie młode kobiety. Już z daleka puder i róż błyszczał na ich twarzach, były urzekająco eleganckie, a ich spóźnienie najwyraźniej związane było z owym starannie wypracowanym wyglądem. Rozejrzały się i skierowały w stronę naszego auta.

- Nie da rady - zwróciłem się do Marcina, zatajając zjawienie się dziewczyn. - Kwadrans upłynął. Jedziemy.

I nacisnąłem stopą na gaz.

## Pokajanie

Wyjeżdżaliśmy z B., minęliśmy ostatnie domki i wjechaliśmy w krainę pól i lasów, nad których wierzchołki staczało się ogromne słońce.

Milczeliśmy.

Myślałem o Judaszu Iskariocie, o którym pewien inteligentny autor mówi, że zdradził Jezusa właśnie dlatego, że bezgranicznie w Niego wierzył; nie mógł doczekać się cudu, którym by Jezus objawił wszystkim Żydom swoją boskość - wydał Go więc oprawcom, by wreszcie sprowokować Go do działania; zdradził Go, bo pragnął przyspieszyć Jego zwycięstwo.

Biada mi - pomyślałem. - Zdradziłem Marcina z wręcz odwrotnej przyczyny, dlatego że w niego (i w boską moc jego miłosnych podrywów) wierzyć przestałem; jestem haniebnym połączeniem Judasza Iskarioty i Tomasza, którego nazwano „niewiernym”. Czułem, jak pod wpływem mojej winy narasta we mnie sympatia dla Marcina i jak jego sztandar wiecznej pogoni (którego łopot wciąż słyhać było nad nami) rozczuła mnie do łez. Zacząłem wyrzucać sobie swój pochopny postępek.

Czyż ja sam potrafię kiedyś tak łatwo pożegnać się z owymi gestami, które oznaczają dla mnie młodość? I czy pozostanie mi co innego niż naśladować je przynajmniej i starać się znaleźć dla tej nierozsądnej czynności w swoim rozsądnym życiu bezpieczny azyl?

Co z tego, że to wszystko jest pustą grą? Co z tego, że

o tym wiem? Czy zaniecham tej gry dlatego tylko, że do niczego nie prowadzi?

# Fałszywy autostop



**1** Wskazówka określająca poziom benzyny spadła niemal do zera, a młody kierowca dwuosobowego auta oświadczył, że wściec się można, ile ten wóz pożera.

- Żebyśmy tylko znowu nie stanęli bez benzyny - odezwała się dziewczyna i przypomniała kierowcy parę miejscowości, gdzie im się to już przydarzyło. Odparł, że nic sobie z tego nie robi, ponieważ wszystko, co przeżywa z nią razem, ma dla niego urok przygody. Dziewczyna zaoponowała; kiedy w połowie drogi kończyła się im benzyna, była to zawsze przygoda jedynie dla niej, ponieważ chłopiec się wtedy chował, a ona musiała eksploatować swoje wdzięki: stopować jakieś auto, kazać się odwieźć do najbliższej stacji benzynowej, znowu zatrzymać jakiś wóz i wrócić z pełnym kanistrem. Chłopiec zapytał, czy szoferzy, którzy ją zabierali, byli aż tak niemili, że mówi o swojej roli jak o czymś przykrym. Odpowiedziała, z niezręczną kokieterią, że byli czasami nawet bardzo mili, ale co jej z tego, skoro była obarczona kanistrem i musiała rozstawać się z nimi, zanim cokolwiek się zaczęło.

- Ty draniu - rzekł chłopak.

Dziewczyna oświadczyła, że to nie ona jest draniem, ale właśnie on. Bóg raczy wiedzieć, ile dziewcząt zatrzymuje go na szosie, kiedy jedzie autem sam! Chłopiec objął ją i lekko pocałował w czoło. Wiedział, że dziewczyna go kocha i że jest o niego zazdrosna. Zazdrość nie jest wprawdzie cechą zbyt miłą, ale jeśli się jej nie nadużywa (i jeśli łączy się ze skromnością), ma w sobie poza ujemnymi stronami, również coś wzruszającego. Chłopcu tak się przynajmniej zdawało. Mimo że miał dopiero dwadzieścia osiem lat, uważał, że jest dorosły i że wie już wszystko, co mężczyzna o kobietach wiedzieć może. W dziewczynie, która siedziała obok niego, cenił właśnie to, co do tej pory spotykał u kobiet najrzadziej: jej czystość.

Wskazówka opadła już do zera, kiedy chłopiec dostrzegł po prawej stronie tablicę, która (czarnym rysunkiem pompy) oznajmiała, że stacja benzynowa oddalona jest o pięćset metrów. Dziewczyna nie zdążyła jeszcze powiedzieć, że spadł jej kamień z serca, kiedy chłopiec wyrzucił już strzałkę w lewo i wjeżdżał na placyk przed pompami. Musiał jednak

zatrzymać się na skraju, ponieważ koło pompy stał potężny wóz z wielkim blaszanym zbiornikiem i przy pomocy grubego węża poił pompę benzyną.

- No, poczekamy sobie - rzekł chłopiec i wysiadł z auta. - Jak długo to potrwa? - krzyknął do człowieka w kombinezonie.

- Minutkę - odrzekł tamten.

- Znam tę waszą „minutkę”.

Chciał znowu wsiąść do wozu, ale zobaczył, że dziewczyna wysiadła drugimi drzwiami.

- Ja tymczasem sobie wyskoczę - rzekła.

- A dokąd to? - zapytał z premedytacją, ponieważ chciał obserwować jej zmieszanie.

Znali się już cały rok, a dziewczyna wciąż się go wstydziła, on zaś uwielbiał te chwile jej zawstydzenia, po pierwsze dlatego, że różniły ją od tych kobiet, z którymi stykał się przedtem, a po drugie dlatego, że znał prawo mówiące, że wszystko przemija, co nawet wstydlivość dziewczyny czyniło w jego oczach czymś niezwykłym.

**2** Dziewczyna rzeczywiście nie lubiła momentów, kiedy podczas jazdy (chłopiec jechał często nawet parę godzin bez zatrzymania) musiała prosić o krótki postój gdzieś pod laskiem. Zawsze była na niego wściekła, kiedy z udanym zdziwieniem pytał, dlaczego ma się zatrzymać. Wiedziała, że jej wstyd jest śmieszny i staroświecki. Wiele razy stwierdzała, że wszyscy u niej w biurze śmieją się z jej przewrażliwienia i specjalnie ją prowokują. Zawsze już z góry wstydziła się tego, że będzie się wstydzić. Często marzyła o tym, żeby czuć się swobodnie, beztrosko i pewnie, tak jak większość kobiet z jej otoczenia. Wymyśliła nawet oryginalny argument dydaktyczny: powtarzała sobie mianowicie, że każdy człowiek w chwili narodzin otrzymuje jedno z milionów przygotowanych ciał, tak jakby dostawał jeden z milionów pokoi w gigantycznym hotelu; że zatem ciało jest rzeczą przypadkową i bezosobową: że jest to jedynie przedmiot wypożyczony, pochodzący z seryjnej produkcji. Ale tak to sobie tylko powtarzała, odczuwać jednak w ten sposób nigdy nie potrafiła. Ten dualizm ciała i duszy był jej obcy. Sama zanadto była swoim ciałem, toteż uświadamiała je sobie zawsze z lękiem.

Tak samo bojaźliwie odnosiła się i do chłopca, którego poznała przed rokiem i z którym była szczęśliwa właśnie dlatego, że nigdy nie oddzielał jej ciała od duszy i że mogła z nim współżyć cała.

W jej niepodzielności było szczęście, tylko że tuż za szczęściem czyhają podejrzenia, a dziewczyna była ich pełna. Często na przykład przychodziło jej na myśl, że inne kobiety (te niebojaźliwe) są bardziej pociągające i uwodzicielskie i że chłopiec - który nie krył się ze znajomością tego rodzaju niewiast - porzuci ją kiedyś dla takiej właśnie kobiety. (Chłopiec wprawdzie twierdził, że jest nimi przesycony do końca życia, ona jednak wiedziała, że wciąż jeszcze jest o wiele młodszy, niż sobie wyobraża.) Chciała, żeby bez reszty należał do niej, a ona do niego, ale często jej się zdawało, że im bardziej usiłuje ofiarować mu wszystko, tym bardziej czegoś go pozbawia: tego właśnie, co daje człowiekowi miłość płytka i powierzchowna, co daje flirt. Martwiła się, że potrafi być tylko poważna, a nigdy lekkomyślna.

Ale teraz nie martwiła się o nic i w ogóle o niczym podobnym nie myślała. Było jej dobrze. Był to pierwszy dzień ich urlopu (dwutygodniowego urlopu, na którym skoncentrowała się jej całoroczna tęsknota), niebo było błękitne (cały rok myślała o tym, czy aby na pewno niebo będzie błękitne), a on był przy niej. Na jego „a dokąd to?” spąsowiła i bez słowa oddaliła się od auta. Okrążyła stację benzynową, która stała przy szosie całkiem samotnie, otoczona polami; jakieś sto metrów dalej w kierunku ich jazdy zaczynał się las. Ruszyła w tę stronę. Zniknęła w lesie za krzaczkiem, a przez cały czas pieściła w sercu uczucie pogody i beztroski. (Nawet radość z obecności ukochanego mężczyzny najlepiej



przeżywa się w samotności. Gdyby jego obecność trwała bezustannie, istniałaby właściwie jedynie poprzez swoje ustawiczne przemijanie. Zatrzymać ją można tylko w chwilach osamotnienia).

Potem wyszła z lasu na szosę: było stąd widać stację benzynową, wielkie auto-cysterna już odjeżdżało. Samochód osobowy przesunął się ku czerwonej wieżycze pompy. Dziewczyna oddalała się szosą i tylko co jakiś czas oglądała się, czy już nie jedzie. Nagle go zobaczyła, przystanęła i zaczęła machać, tak jak na obcy wóz machają autostopowicze.

Auto zwolniło i zatrzymało się tuż przy dziewczynie. Kierowca nachylił się do okienka, spuścił szybę, uśmiechnął się i zapytał:

- A dokąd chce pani jechać?
- Jedzie pan w stronę Bystrzycy? - spytała dziewczyna i zalotnie się uśmiechnęła.
- Proszę, niech pani wsiada. - Otworzył jej drzwiczki. Wsiadła i wóz ruszył.

**3** Chłopiec cieszył się zawsze, kiedy jego dziewczyna była wesoła. Nie zdarzało się to tak często: miała dość ciężką pracę w niezbyt miłej atmosferze, dużo godzin nadliczbowych, mało wolnego czasu, a w domu chorą matkę.

Często bywała zmęczona; nie odznaczała się ani zbyt mocnymi nerwami, ani pewnością siebie, łatwo ulegała obawom i przestraszowi. Toteż potrafił cieszyć się każdym przejawem jej radości z czułością troskliwego opiekuna.

Uśmiechnął się do niej i powiedział:

- Mam dzisiaj szczęście. Jeżdżę autem już od pięciu lat, ale takiej ładnej autostopowiczki nigdy jeszcze nie wiozłem.

Dziewczyna była wdzięczna chłopcu za każdy komplement, chciała przez chwilę pławić się w jego ciepłe, więc rzekła:

- Bujać to pan potrafi.
- Czy wyglądam na łgarza?
- Wygląda pan na takiego, co okłamuje kobiety - rzekła, a w jej głosie mimo woli zadźwięczała nutka obawy, ponieważ rzeczywiście wierzyła, że jej chłopiec lubi kłamać kobietom.

Złościły go już czasami sceny zazdrości ze strony dziewczyny, ale nad tą mógł z łatwością przejść do porządku dziennego, nie odnosiła się bowiem do niego, tylko do nieznanego kierowcy. Toteż zapytał banalnie:

- A pani to przeszkadza?
- Gdybym z panem chodziła, to by mi przeszkadzało - odparła dziewczyna. Kryła się w tym delikatna wskazówka pedagogiczna dla chłopca, zakończenie zdania jednak odnosiło się już do obcego kierowcy: - Pana nie znam, więc mi to obojętne.
- We własnym mężczyźnie razi kobietę o wiele więcej rzeczy niż w obcym (to z kolei była delikatna wskazówka pod adresem dziewczyny), toteż, chociaż się nie znamy, moglibyśmy się idealnie zgadzać.

Dziewczyna celowo nie chciała zrozumieć pedagogicznego podtekstu, zwróciła się więc wyłącznie do obcego kierowcy:

- I co z tego, skoro zaraz się rozstaniemy?
- A to dlaczego?
- W Bystrzycy przecież wsiadam.
- A jeżeli wsiadę razem z panią?

Przy tych słowach dziewczyna podniosła wzrok na chłopca i stwierdziła, że wygląda on właśnie tak, jak wyobrażała go sobie w chwilach najbardziej dręczącej zazdrości: przestraszyła się, że z taką zalotnością jej, obcej autostopowicze, prawi komplementy i że tak mu z tym do twarzy.

Krnąbrnie i wyzywająco odparowała zatem:

- A co by pan ze mną robił?

- Z tak piękną kobietą... długo bym się nie zastanawiał

- rzekł chłopiec szarmancko, a w tej chwili mówił już dużo bardziej do swojej własnej dziewczyny niż do przygodnej znajomej.

Ale dziewczyna miała takie uczucie, jakby przyłapała go na tym komplementcie, jak gdyby podstępny trickiem wyłudziła od niego przyznanie się do winy: poczuła do chłopca nagłą nienawiść.

- Czy nie za wiele pan sobie obiecuje?

Spojrzał na dziewczynę, jej zacięta w uporze twarz wydała mu się ściągnięta bólem, zrobiło mu się jej żal, zatęsknił nagle za jej znanym zwykłym wyglądem (o którym mawiał, że jest dziecinny i prosty), pochylił się ku niej, objął wpeł i cicho wymówił imię, którym ją zwykle nazywał i którym chciał teraz przerwać grę.

Ale dziewczyna uchyliła się i rzekła:

- No, no, bierze pan za ostre tempo.

- Przepraszam - powiedział i w milczeniu skierował wzrok przed siebie, na szosę.

**4** Bolesna zazdrość opuściła jednak dziewczynę równie szybko, jak ją ogarnęła. Była przecież rozsądna i wiedziała, że to tylko zabawa: wydało jej się nawet trochę śmieszne, że odepchnęła chłopca powodowana wściekłą zazdrością, nie chciała, żeby się tego domyślił. Miała na szczęście cudowny talent zmieniania ex post sensu swoich postępów. Wykorzystała więc tę zdolność i zdecydowała, że odepchnęła chłopca nie ze złości, ale po to, by móc dalej ciągnąć tę grę, która swoją beztruską lekkością tak świetnie pasuje do pierwszego dnia wakacji.

Była więc znowu autostopowiczką, która właśnie odtrąciła natarczywego kierowcę po to tylko, by przyhamować tempo jego zalotów i dodać im pikanterii. Obróciła się do chłopca i rzekła przymilnie:

- Nie chciałam pana urazić.

- Przepraszam, już więcej pani nie dotknę - odrzekł.

Był wściekły na dziewczynę, że nie usłuchała go i nie zgodziła się być znów sobą, gdy on tego zapragnął, a ponieważ nadal upierała się przy swojej masce, przeniósł złość na obcą autostopowiczkę, którą udawała, i nagle odkrył właściwy charakter swojej roli. Zaprzestał komplementów, którymi chciał oczarować dziewczynę, i wszedł w rolę twardego mężczyzny, wygrywającego wobec kobiety raczej brutalne męskie cechy: silną wolę, sarkazm, pewność siebie.

Ta rola była czymś krańcowo różnym od jego czulego stosunku do dziewczyny. Zanim ją poznał, odnosił się do kobiet istotnie raczej szorstko niż tkliwie, ale nigdy nie przypominał demonicznego, silnego mężczyzny, nie odznaczał się bowiem ani siłą, ani bezwzględnością. Ale ponieważ takim mężczyzną nie był, tym bardziej pragnął stać się kiedyś do niego podobny. Jest to istotnie pragnienie dość naiwne, ale cóż robić, dziecinne marzenia ostają się wobec wszelkich przynęt dojrzałego umysłu i żyją często dłużej niż on, aż do późnej starości.

I to właśnie dziecinne marzenie skorzystało natychmiast z okazji, by wcielić się w rolę, która się nastroczała.

Dziewczynie sarkastyczna rezerwa chłopca była bardzo na rękę: uwalniała ją od niej samej. Bo ona sama - to była przecież przede wszystkim zazdrość. W momencie kiedy przestała widzieć przy sobie szarmanckiego uwodziciela, a ujrziała jego nieprzystępną twarz - jej zazdrość przycichła. Dziewczyna mogła zapomnieć o samej sobie i oddać się swojej roli.

Roli? Jakiej? Była to rola z kiepskiej powieści. Autostopowiczka zatrzymuje wóz nie po to, by się nim zabrać, ale po to, by uwieść mężczyznę, który tym wozem jedzie; jest to sprytna

kokietka, wspaniale operująca swoimi wdziękami. Dziewczyna wśliznęła się w tę głupią powieściową postać z lekkością, która zdumiała i zachwyciła ją samą.

I tak oto jechali prowadząc rozmowę; obcy kierowca i obca autostopowiczka.

**5** W życiu chłopca niczego nie brakowało bardziej niż beztroski. Droga jego życia wytyczona była z surową bezwzględnością: praca nie ograniczała się do ośmiu godzin dziennie, przenikała i do pozostałego czasu nudą zebrań i zaocznymi studiami, przenikała również ciekawością niezliczonych kolegów i koleżanek do krótkich chwil jego życia prywatnego, które nigdy nie było tajemnicą i które stało się zresztą już parokrotnie przedmiotem plotek i publicznych dyskusji. Nawet dwa tygodnie przewidywanego urlopu nie dały mu poczucia wyzwolenia i przygody; szary cień systematycznego planowania legł i tutaj; brak mieszkań letniskowych w naszym kraju zmusił go do zamówienia pokoju w Tatrach już na pół roku wcześniej, a że potrzebne było do tego poparcie rady zakładowej z instytucji, w której pracował, jej wszechobecny duch ani na chwilę nie stracił nad nim kontroli.

Pogodził się już z tym wszystkim, niemniej jednak od czasu do czasu nawiedzała go przerażająca wizja drogi, po której go pędzą, na której wszyscy go widzą i z której nie wolno mu zbiec. Ta wizja stanęła przed nim i w tej chwili, w jakimś dziwnym krótkim spięciu owa wyimaginowana droga utożsamiała się dla niego z tą prawdziwą, po której jechał - i to podsunęło mu nagle zwariowany pomysł.

- Dokąd pani chce jechać? - spytał dziewczyny.

- Do Bańskiej Bystrzycy.

- A po co?

- Mam się tam z kimś spotkać.

- Z kim?

- Z jednym panem.

Auto dojeżdżało właśnie do dużego skrzyżowania, kierowca zmniejszył szybkość, by móc zerknąć na drogowy znak, po czym skręcił w prawo.

- A co będzie, jeśli pani na to spotkanie nie przyjedzie?

- Byłaby to pana wina i musiałby się pan mną zająć.

- Nie zauważyła pani pewnie, że skręciłem do Nowych Zamków.

- Doprawdy? Pan zwariował!

- Proszę się nie bać, zajmę się panią - rzekł chłopiec.

Poziom gry od razu się podniósł. Auto oddalało się nie tylko od fikcyjnego celu - Bańskiej Bystrzycy - ale i od właściwego celu, ku któremu wyruszyło dziś rano: od Tatr i zamówionego pokoju. Życie-gra zaatakowało nagle życie, które grą nie było. Chłopiec oddalał się od samego siebie i od swojej dokładnie wytyczonej drogi, z której nigdy dotychczas nie zbiec.

- Ale mówił pan przecież, że jedzie w Niżne Tatry! - zdziwiła się dziewczyna.

- Jadę, proszę pani, gdzie mi przyjdzie ochota. Jestem wolnym człowiekiem i robię, co mi się podoba.

**6** Kiedy dojechali do Nowych Zamków, zaczęło się już ściemniać. Chłopiec nigdy tu jeszcze nie był i minęło trochę czasu, nim się zorientował w okolicy. Parę razy zatrzymywał auto i pytał przechodniów o hotel. Było tu parę rozkopanych ulic, tak że droga do hotelu, choć (jak wszyscy zagadnięci twierdzili) znajdował się on całkiem niedaleko, prowadziła tyłoma okrążeniami i objazdami, że trwało prawie kwadrans, nim wreszcie dotarli do celu. Hotel wyglądał niezbyt zachęcająco, ale był to jedyny hotel w mieście, a chłopcu nie chciało się już jechać dalej. Powiedział więc do dziewczyny: „Proszę zaczekać”, i wysiadł z auta.

Natychmiast stał się oczywiście znowu samym sobą i zrobiło mu się przykro, że oto wieczorem ocknął się zupełnie gdzie indziej, niż zamierzał, przykro tym bardziej, że nikt go do tego nie zmusił i że właściwie on sam tego nie chciał. Wyrzucał sobie, że jest narwany, ale w końcu machnął ręką

- pokój w Tatrach do jutra poczeka, a nie zaszkodzi chyba, jeśli uczci pierwszy dzień wakacji czymś nieoczekiwanym.

Przeszedł przez restaurację, zadymioną, pełną ludzi i zgiełku, i spytał, gdzie jest recepcja. Posłano go w głąb ku schodom, gdzie za oszklonymi drzwiami, pod tablicą pełną kluczy siedziała podstarzała blondynka; z trudem udało mu się zdobyć klucz od jedyne wolnego pokoju.

Również dziewczyna, kiedy została sama, zrzuciła z siebie maskę. Nie odczuwała jednak przykrości, że znalazła się w nieoczekiwanym miejscu. Była tak oddana chłopcu, że nie wątpiła nigdy w nic, co robił, i z ufnością powierzała mu każdą godzinę swego życia. Znowu jednak pojawiła się w jej mózgu myśl, że może tak właśnie, jak ona w tej chwili, czekają na chłopca w jego aucie inne kobiety, które spotyka w podróży służbowych. Ale o dziwo - tym razem owa wizja nie sprawiła jej żadnego bólu; dziewczyna uśmiechnęła się na myśl, jak to cudownie, że tą kobietą tym razem jest ona; tą obcą, nieodpowiedzialną i grzeszną kobietą, jedną z tych, o które taka była zazdrosna. Wydało się jej, że tym samym sprząta go im sprzed nosa, że wpadła na to, jak użyć ich broni, jak ofiarować chłopcu to, czego dotąd dać mu nie umiała: lekkość, bez troskę i frywolność. Ogarnęło ją uczucie dziwnego zadowolenia, że sama jedna posiada umiejętność wcielenia się we wszystkie kobiety naraz i tym samym może bez reszty (sama jedna) zainteresować i usidlić swego ukochanego.

Chłopiec otworzył drzwiczki auta i wprowadził dziewczynę do restauracji.

W hałasie, brudzie i dymie znaleźli jedyny wolny stolik w kąci.

**7** - A więc teraz pan się mną zajmie? - spytała dziewczyna wyzywająco.

- Czego się pani napije?

Nie przepadała za alkoholem, jako tako lubiła wino i smakował jej wermut.

Tym razem jednak rzekła bez namysłu:

- Wódki.

- Doskonale - powiedział chłopiec. - Mam nadzieję, że mi się pani nie upije.

- A jeżeli?

Nie odpowiedział. Zamówił dwie wódki i befsztyki. Po chwili kelner przyniósł na tacy dwa kieliszki i postawił przed nimi.

Chłopiec podniósł kieliszek.

- Pani zdrowie! - powiedział.

- Dowcipniejszego toastu nie potrafi pan wymyślić?

Było tu coś, co zaczynało drażnić mężczyznę w grze dziewczyny; teraz, kiedy siedział z nią twarzą w twarz, zrozumiał, że to nie tylko słowa czynią z niej kogoś obcego, ale że cała jest odmieniona, w gestach, w mimice, i że odpychająco wiernie przypomina ten typ kobiet, które znał tak dobrze i do których czuł lekką odrazę.

Toteż (trzymając kieliszek) poprawił swój toast:

- Dobrze, nie piję więc za pani zdrowie, ale za pani rodzaj, w którym tak wspaniale łączy się to, co lepsze ze zwierzęcia, i to, co gorsze, z człowieka.

- Czy przez ten „rodzaj” rozumie pan wszystkie kobiety?

- Nie, tylko te, które są podobne do pani.

- Nie wydaje mi się zbyt dowcipne porównywać kobietę do zwierzęcia.

- Dobrze - chłopiec wciąż trzymał wzniesiony kieliszek

- piję więc za pani duszę, zgoda? Za pani fantazję, która zapala się, kiedy zstępuje do brzucha i która gaśnie, kiedy wznosi się do głowy.

Dziewczyna podniosła kieliszek.

- Dobrze, a więc za moją fantazję, która zstępuje do brzucha.

- Jeszcze raz się poprawię - rzekł chłopiec. - Piję raczej za brzuch, do którego zstępuje pani fantazja.

- Za mój brzuch - rzekła dziewczyna, a jej brzuch (teraz, kiedy nazwali go po imieniu) jak gdyby odpowiedział na zawołanie: czuła każdy milimetr jego skóry.

Kelner przyniósł befsztyki, a chłopiec zamówił następną wódkę i syfon. Tym razem wypili za piersi dziewczyny i rozmowa toczyła się dalej w owym dziwnie frywolnym tonie.

Chłopca z każdą chwilą bardziej irytowało to, że jego dziewczyna tak świetnie umie być tą wyuzdaną pannicą. Skoro tak doskonale to potrafi, pomyślał, to znaczy, że nią rzeczywiście jest, żadna obca dusza nie wstąpiła w nią przecież skądś z powietrza; to, co tu odgrywa, to ona sama, może to ta część jej istoty, która kiedy indziej trzymana jest pod kluczem i którą teraz pod pretekstem zabawy wypuściła z klatki. Może jej się zdaje, że tą grą zapiera się samej siebie, ale czy nie jest właśnie na odwrót? Czy dopiero grając nie staje się sobą? Czy przez tę grę nie wyzwala siebie? Nie, naprzeciw niego nie siedzi żadna obca kobieta w ciele jego dziewczyny, to ona, jego dziewczyna nie kto inny. Patrzył na nią i czuł narastającą niechęć.

Nie była to jednak tylko niechęć. Im bardziej dziewczyna oddalała się od niego psychicznie, tym bardziej fizycznie jej pragnął; obcość duszy przydała niezwykłości ciału; ba, właściwie ona dopiero uczyniła je ciałem, jak gdyby dotychczas istniało ono dla chłopca w obłokach czułości, troski, miłości i wzruszenia, jak gdyby zatracalo się w tych obłokach (tak, było to ciało utracone!). Miał wrażenie, że dziś po raz pierwszy widzi ciało dziewczyny.

Po trzeciej wódce z wodą sodową podniosła się i rzekła zalotnie:

- Przepraszam.

- Wolno spytać, dokąd pani idzie?

- Zrobić siusiu, jeśli pan pozwoli - rzekła dziewczyna i ruszyła między stołami w głąb sali, w stronę pluszowej kotary.

**8** Była zadowolona, że oszołomiła chłopca słowem, którego - mimo całej jego niewinności - nigdy nie słyszał z jej ust; wydawało jej się, że nic nie charakteryzuje lepiej kobiety, którą grała, niż kokieteryjny akcent położony na to słowo. Tak, była zadowolona, była w świetnym humorze, gra ją porywała, dawała jej uczucie, którego dotąd nie знаła, uczucie beztroskiego braku odpowiedzialności.

Ona, która dawniej już z góry bała się każdego swego kroku, poczuła się nagle całkiem wolna. Cudze życie, w które się wśliznęła, było życiem bez wstydu, bez biograficznej determinacji, bez przeszłości i przyszłości, bez zobowiązań. Było to życie niezwykle swobodne. Dziewczyna, jako autostopowiczka, mogła sobie pozwolić na wszystko: wszystko było jej wolno mówić, robić, czuć.

Szła przez salę świadoma, że wszyscy ją obserwują, i to było nowe uczucie, którego nie znała: radość z własnego ciała. Do tej pory nie potrafiła nigdy wyzbyć się bez reszty tkwiącej w niej czternastoletniej dziewczynki, która wstydzi się swoich piersi i ma nieprzyjemne poczucie nieprzyzwoitości, że są wypukłe i widoczne. I chociaż dumą napawało ją to, że jest ładna i zgrabna - była przecież normalną kobietą

- to duma ta była zawsze korygowana przez wstyd: dobrze wyczuwała, że uroda kobieca działa przede wszystkim jako wyzwanie seksualne - i sprawiało jej to przykrość; pragnęła, by ciało jej istniało tylko dla człowieka, którego kocha. Kiedy na ulicy mężczyźni zerkali na jej

biust, miała wrażenie, że tym samym niszczą jakiś skrawek największej intymności, który należy tylko do niej i do jej kochanka.

Ale teraz była autostopowiczką, kobietą bez wstydu, była wolna od delikatnych więzów swojej miłości i intensywnie zaczęła uświadamiać sobie swoje ciało; czuła je tym bardziej drażniąco, im bardziej obce były oczy, które je taksowały. Mijała właśnie ostatni już stół, kiedy jakiś podchmielony mężczyzna, chcąc popisać się swoim wyrobieniem światowca, zaczepił ją po francusku:

- Combien, mademoiselle?

Dziewczyna zrozumiała, wypięła pierś i uświadamiając sobie wyraźnie każdy ruch swoich bioder, zniknęła za kotarą.

**9** Dziwna to była gra. Jej niezwykłość tkwiła na przykład w tym, że chłopiec, choć wcielił się idealnie w postać nieznanego kierowcy, nie przestawał widzieć w autostopowiczkę swojej dziewczyny. I to właśnie było udręką: widzieć, jak własna dziewczyna uwodzi obcego mężczyznę, i mieć gorzki przywilej asystowania przy tym. Widzieć z bliska, jak wygląda i co mówi, kiedy go uwodzi; przypadł mu ten paradoksalny zaszczyt, że sam był atrapą dla jej zdrady. Było to tym gorsze, że bardziej ją wielbił, niż kochał: wydawało mu się zawsze, że jej prawdziwe ja istnieje jedynie w granicach wierności i czystości i że poza tymi granicami ona po prostu nie egzystuje, że poza tymi granicami przestałaby być sobą, tak jak woda przestaje być wodą poza granicą wrzenia.

Kiedy teraz patrzył, jak z niewymuszoną elegancją przekracza tę przeraźliwą granicę, zaczął ogarniać go gniew.

Dziewczyna wróciła z toalety.

- Jakiś facet powiedział do mnie „Combien, mademoiselle?” - poskarżyła się.

- Niech się pani nie dziwi - rzekł chłopiec. - Przecież wygląda pani jak dziewczka.

- A wie pan, zupełnie mi to nie przeszkadza.

- Trzeba było iść z tym facetem.

- Mam przecież pana.

- Może pani iść z nim po mnie. Niech się pani z nim umówi.

- On mi się nie podoba.

- Ale zasadniczo nie ma pani nic przeciwko temu, by mieć kilku mężczyzn w ciągu jednej nocy?

- Czemu nie, jeśli są przystojni.

- Woli pani kolejno czy też wszystkich jednocześnie?

- To obojętne.

Rozmowa stawała się z każdą chwilą bardziej ordynarna, dziewczynę nieco to szokowało, ale nie mogła zaprotestować.

Nawet w grze kryje się ograniczenie swobody, nawet gra jest pułapką dla grających; gdyby to nie była gra, gdyby siedziało tu rzeczywiście dwoje obcych ludzi, autostopowiczka mogłaby się już dawno obrazić i odejść, ale od gry nie ma ucieczki. Drużyna nie może uciec z boiska przed końcem meczu, figury szachowe nie mogą umknąć z szachownicy, granice boiska są nieprzekraczalne.

Dziewczyna wiedziała, że musi przyjąć każdą grę, właśnie dlatego, że to gra. Wiedziała, że im bardziej ta gra będzie tracić umiar, tym bardziej będzie grą i tym posłuszniej musi brać w niej udział. Daremne było przywoływanie zdrowego rozsądku i przestrzeganie własnego zwariowanego serca, że trzeba zachować dystans w stosunku do tej gry i nie traktować jej poważnie. Właśnie dlatego, że to była tylko gra, serce się nie lękało, nie broniło przed nią i ulegało jej, jak w narkozie.

Chłopiec przywołał kelnera i zapłacił. Potem wstał i powiedział:

- Możemy iść.
- Dokąd? - dziewczyna udała zdziwienie.
- Nie pytaj, ruszaj się.
- Jak pan do mnie mówi?
- Jak do dziewczki - rzekł chłopiec.

**10** Szli po słabo oświetlonych schodach. Na podeście XV przed pierwszym piętrem stała koło toalety grupka podchmielonych mężczyzn. Chłopiec objął dziewczynę tak, że trzymał dłoń na jej piersi. Mężczyźni koło toalety spostrzegli to i zaczęli robić głośne uwagi. Chciała się wyrwać, ale chłopiec krzyknął: „Stój!” Mężczyźni skwitowali to z chamską solidarnością i rzucili pod adresem dziewczyny parę sprośnych uwag.

Weszli oboje na pierwsze piętro i chłopiec otworzył drzwi pokoju. Zapalił światło.

Był to wąski pokój z dwoma łózkami, stolikiem, krzesłem i umywalką. Chłopiec zamknął drzwi i odwrócił się do dziewczyny. Stała naprzeciw niego w zaczepnej pozie, z wyzywającą zmysłowością w oczach. Patrzył na nią i starał się za tym wyuzdanym wyrazem twarzy odnaleźć znajome rysy kobiety, którą kochał ciepłym, tkliwym uczuciem. Było to tak, jakby patrzył na dwa obrazy umieszczone w jednej lornetce, na dwa obrazy nałożone na siebie i przeświecające jeden przez drugi. Owe dwa nakładające się na siebie obrazy mówiły mu, że w tej dziewczynie jest wszystko, że jej dusza jest amorficzna, że mieści w sobie wierność i zdradę, podstęp i niewinność, kokieterię i skromność. Ta opętana mieszanina wydawała mu się wstrętą niczym pstrokaczna śmietnika. Obydwa obrazy wciąż przeświecały jeden przez drugi i chłopiec zaczynał rozumieć, że dziewczyna tylko zewnętrznie różni się od innych, że w głębi duszy jest taka sama jak wszystkie kobiety, pełna najróżniejszych występnych myśli i odczuć, które potwierdzają słuszność jego ukrytych obaw i zazdrości, że wrażenie konturów, które zarysowują ją jako indywidualność, to złudzenie, któremu ulega ten drugi, ten, kto patrzy - on. Wydało mu się, że dziewczyna, ta, którą kochał, była tylko wytworem jego tęsknoty, jego imaginacji, jego ufności i że prawdziwa dziewczyna stoi tu teraz przed nim i jest beznadziejnie inna, beznadziejnie obca, beznadziejnie wieloznaczna.

Nienawidził jej.

- Na co czekasz? Rozbieraj się! - powiedział.

Kokieterijnie przechyliła głowę.

- Czy to konieczne?

Ton, jakim to powiedziała, wydał mu się dobrze znany, miał wrażenie, że mu to kiedyś dawno powiedziała jakaś inna kobieta, tylko że nie pamiętał już która. Zapragnął ją upokorzyć. Nie autostopowiczkę, ale własną dziewczynę. Gra zespoliła się w jedno z życiem. Gra w upokorzenie obcej pasażerki stała się tylko pretekstem do upokorzenia dziewczyny. Chłopiec zapomniał, że gra. Nienawidził po prostu kobiety, która stała przed nim. Utkwił w niej wzrok i wyciągnął z portfela pięćdziesiąt koron. Podał jej banknot.

- Wystarczy?

Wzięła pieniądze.

- Nie ocenia mnie pan zbyt wysoko - powiedziała.

- Więcej nie jesteś warta.

Przytuliła się do niego.

- Nie możesz tak się zachowywać! Musisz być ze mną trochę inny, troszeczkę o mnie zabiegać!

Zarzuciła mu rękę na szyję i zbliżyła usta do jego ust.

Położył palce na jej wargach i odsunął ją delikatnie.

- Całuję się tylko z kobietami, które kocham - powiedział.

- A mnie nie kochasz?

- Nie.
- A kogo kochasz?
- Nie twój interes! Rozbieraj się!

**11** Nigdy się tak nie rozbierała. Nieśmiałość, uczucie wewnętrznej paniki, popłochu - to wszystko, co czuła zawsze, ilekroć rozbierała się przy chłopcu (a nie mogła się osłonić ciemnością), zniknęło. Stała przed nim pewna siebie, butna, w pełnym świetle, zaskoczona tym, jak naraz odkrywa nie znane dotąd gesty powolnego, drażniącego strip-teasu. Chwytała jego spojrzenia, pieczołowicie odkładała każdą część ubrania i smakowała poszczególne stadia obnażania swego ciała.

A potem stanęła przed nim zupełnie naga i w tej samej chwili przeleciało jej przez myśl, że tutaj kończy się już wszelka gra, że zrzucając ubranie, zrzuciła tym samym swoją maskę, że teraz jest naga, to znaczy, że jest tylko sobą i że mężczyzna musi teraz do niej podejść i uczynić gest, którym wszystko przekreśli, po którym nastąpi już tylko ich najintymniejsza pieśczoła. Stanęła więc naga przed chłopcem i w tej chwili przestała grać, poczuła zmieszanie, a na jej twarzy pojawił się uśmiech, który był jej własnym prawdziwym uśmiechem: nieśmiały, zakłopotany.

Ale chłopiec nie podszedł do niej i nie przekreślił gry. Nie dostrzegł ufnego, znajomego uśmiechu; widział przed sobą tylko obce piękne ciało swojej własnej dziewczyny, której nienawidził. Nienawiść splukala z jego namiętności cały osad uczucia.

Chciała do niego podejść, ale powiedział:

- Stój, nie ruszaj się. Chcę ci się dobrze przyjrzeć.

Pragnął teraz tylko jednego: traktować ją jak płatną dziewczkę.

Tylko że chłopiec nie miał nigdy żadnej płatnej dziewczki i wyobrażenia o nich czerpał jedynie z literatury i opowiadań. Sięgnął więc do tych wyobrażeń i pierwszą rzeczą, jaką tam zobaczył, była kobieta w czarnej bieliźnie i w czarnych pończochach, tańcząca na lśniącem blacie fortepianu. W pokoju hotelowym fortepianu nie było, był tylko stół przysunięty do ściany, nieduży, przykryty lnianym obrusem. Kazał dziewczynie wejść na ten stół. Zrobiła błagalny gest, ale chłopiec powiedział:

- Zapłaciłem ci.

Kiedy dojrzała w jego spojrzeniu nieprzejezdane szaleństwo, postanowiła dalej ciągnąć grę, chociaż nie mogła już i nie umiała. Ze łzami w oczach wdrapała się na stół. Błat miał zaledwie metr długości i metr szerokości, a jedna noga stołu była trochę krótsza. Dziewczyna chwiała się.

Ale jemu sprawiał przyjemność widok nagiej postaci, która stała nad nim wyprostowana, a jej wstydliva niepewność podsycala jego despotyzm. Chciał widzieć to ciało we wszystkich możliwych pozach, ze wszystkich stron, tak jak wyobrażał sobie, że oglądali je i będą oglądać inni mężczyźni. Był ordynarny i sprośny. Mówił do niej słowami, których nigdy od niego nie słyszała. Chciała zaprotestować, uciec od tej gry, wołała go po imieniu, ale wrzasnął na nią, że nie ma prawa zwracać się do niego tak poufale. W końcu więc, zrozpaczona, wstrząsana wewnętrznym płaczem, zaczęła stosować się do jego rozkazów - pochylała się i przysiadala zgodnie z życzeniem chłopca, salutowała jak żołnierz, to znów kręciła biodrami demonstrując mu twista; przy jakimś gwałtowniejszym ruchu obsunął jej się pod nogą obrus i omal nie upadła - chłopiec chwycił ją i zaciągnął na łóżko.

Ich ciała złączyły się. Ogarnęła ją radość, że nareszcie, przynajmniej teraz, skończy się ta nieszczęsna gra i znowu będą oni dwoje, tacy, jacy byli, jacy się kochali. Chciała przycisnąć usta do jego warg, ale chłopiec odsunął jej głowę i powtórzył, że całuje tylko te kobiety, które kocha. Wybuchnęła głośnym płaczem, ale nawet wypłakać się nie było jej dane, ponieważ desperacka namiętność chłopca stopniowo ogarniała jej ciało, i po chwili uciszyła



wewnętrzny jęk. Na łóżku leżały teraz dwa splecione ciała idealnie zgodne, roznamiętnione i obce sobie nawzajem. Było to właśnie to, czego dziewczyna przez całe życie bała się najbardziej i czego unikała panicznie jak zarazy: pieszczota bez uczucia i bez miłości. Wiedziała, że przekroczyła zakazaną granicę, ale poruszała się teraz poza nią już bez protestu i z zapamiętaniem, tylko gdzieś, w jakimś zakamarku świadomości, odczuwała grozę na myśl, że nigdy nie zaznała tyle i takiej rozkoszy, jak właśnie teraz - poza tą granicą.

## 12 A potem wszystko się skończyło.

Chłopiec wstał i pociągnął za długi sznur zwisający nad łóżkiem; światło zgasło. Nie chciał widzieć twarzy dziewczyny. Wiedział, że gra się skończyła, ale nie chciał mu się wracać do ich dawnego stosunku, bał się tego powrotu. Leżał w ciemności obok niej, leżał tak, by ich ciała się nie dotykały.

Po chwili usłyszał cichy płacz. Ręka dziewczyny nieśmiało, dziecinnie dotknęła jego ręki, cofnęła się, dotknęła znowu, potem odezwał się błagalny, płaczliwy głos:

- Ja jestem ja, ja jestem ja...

Chłopiec milczał, nie poruszał się i uświadamiał sobie smutny bezsens jej słów, w których nieznaną definiuje się przez nieznaną.

Płacz dziewczyny przeszedł w głośny szloch, w kółko, bez końca powtarzała tę samą wzruszającą tautologię: Ja jestem ja, ja jestem ja, ja jestem ja...

Chłopiec usiłował przywołać na pomoc litość (musiał przywoływać ją z daleka, bo blisko nigdzie jej nie znajdował) by uspokoić dziewczynę.

Przed nimi było jeszcze trzynaście dni wakacji.

# Sympozjon



## AKT PIERWSZY

### Pokój lekarski

Pokój lekarski (na dowolnym oddziale dowolnego szpitala w dowolnym mieście) zgromadził pięć osób i splótł ich rozmowy i zachowania w błahą, a mimo to tym zabawniejszą historię.

Jest tu doktor Havel i siostra Elżbieta (oboje mają tego dnia nocny dyżur), są również inni lekarze (sprowadził ich tutaj jakiś nieistotny pretekst, aby przy kilku przyniesionych butelkach wina posiedzieć z obojgiem dyżurujących): łysy ordynator tego oddziału i śliczna trzydziestoletnia lekarka z innego oddziału, o której cały szpital wie, że żyje z ordynatorem. (Ordynator jest jednak żonaty, a przed chwilą właśnie błysnął swoją ulubioną sentencją, która ma świadczyć nie tylko o jego dowcipie, ale również o jego zamiarach:

- Drodzy koledzy, największym nieszczęściem, jakie was może spotkać, jest szczęśliwe małżeństwo: nie macie najmniejszej nadziei na rozwód.)

Poza wymienioną czwórką jest tu jeszcze ktoś piąty, ale właściwie nie ma go, ponieważ jako najmłodszy został wysłany po następną butelkę wina. Oprócz tego jest tu okno, ważne dzięki temu, że jest otwarte i że przez nie z mroku na zewnątrz nieprzerwanie przenika do pokoju ciepłe lato, rozświetlone księżycem. A wreszcie jest tu dość miły nastrój, przejawiający się w kokieteryjnej elokwencji wszystkich obecnych, zwłaszcza zaś ordynatora, który z lubością wsłuchuje się w wygłaszane przez siebie sentencje.

Dopiero z upływem wieczoru (a nasza historia właściwie ledwo się zaczyna) daje się zaobserwować pewne napięcie: Elżbieta wypila więcej, niż przystoi siostrze, która ma właśnie dyżur, a ponadto jej zachowanie wobec Havla stało się wyzywająco zalotne, co zirytowało doktora i sprowokowało go do udzielenia ostrego upomnienia.

Upomnienie Havla

Droga Elzbieto, nie mogę pani pojąć. Dzień w dzień babrze się pani w ropiejących ranach, wbija pani igłę w pomarszczone starcze pośladki, robi lewatywy, wynosi baseny. Los dał pani wyjątkową okazję zrozumienia ludzkiego ciała i całej jego metafizycznej nędzy. Ale pani witalność jest niepoprawna. Pani uparte pragnienie, by być ciałem, i tylko ciałem, niczym nie da się złamać. Potrafi się pani otrzeć biustem nawet o mężczyznę stojącego pięć metrów od pani! W głowie mi się już kręci od tych wiecznych esów-floresów, które idąc opisuje pani swoim niestrudzonym tyłkiem. Do diabła, niech się pani ode mnie odsunie! Te pani piersi są wszechobecne niczym Bóg! Już dziesięć minut temu powinna pani była zrobić zastrzyk!

Doktor Havel jest jak śmierć - bierze wszystko

Kiedy siostra Elżbieta (ostentacyjnie obrażona) wyszła z pokoju lekarskiego, skazana na ukłucie dwóch starczych tyłków, ordynator powiedział:

- Niech mi pan powie, Havel, dlaczego tak zawzięcie odpycha pan tę biedną Elżbietę?

Doktor Havel upił łyk wina i odparł:

- Proszę się na mnie nie gniewać, panie ordynatorze. Nie w tym rzecz, że ona nie jest ładna, no i że ma już swoje lata. Niech mi pan wierzy, miałem już kobiety brzydsze i o wiele starsze.

- Tak, wiadomo, pan jest jak śmierć: bierze pan wszystko. Ale skoro tak, to czemu nie bierze pan Elżbiety?

- Chyba dlatego, że okazuje ona swoje pożądanie tak jawnie, iż przypomina to rozkaz. Mówi pan, że wobec kobiet jestem niczym śmierć. Tylko że nawet śmierć nie lubi, żeby jej rozkazywać.

Największy sukces ordynatora

- Być może, rozumiem pana - odrzekł ordynator. - Kiedy miałem o parę lat mniej, znałem pewną dziewczynę, która także szła z każdym do łóżka, ale że była ładna, postanowiłem, że ją zdobędę. I niech pan sobie wyobrazi, odtrąciła mnie. Spała ze wszystkimi moimi kolegami, z palaczem, z kucharzem, nawet z posługaczem z kostnicy, tylko nie ze mną. Potraficie to sobie wyobrazić?

- Oczywiście - rzekła lekarka.

- Żeby pani wiedziała - zirytował się ordynator - byłem wtedy kilka lat po dyplomie i był ze mnie znany podrywacz. Wierzyłem, że każdą kobietę można zdobyć, i udawało mi się dowieść tego, nawet jeżeli chodziło o kobiety stosunkowo nieprzystępne. No i proszę, przy tej właśnie tak łatwej dziewczynie doznałem porażki.

- O ile pana znam, ma pan w związku z tym na pewno jakąś własną teorię - rzekł doktor Havel.

- Mam - odparł ordynator. - Erotyzm to nie tylko kwestia zmysłów, ale w równej mierze kwestia ambicji. Partner, któregoście pozyskali, któremu na was zależy i który was kocha, to wasze zwierciadło, to miara tego, czym jesteście i co sobą reprezentujecie. W erotyzmie szukamy obrazu swojego własnego znaczenia i wartości, tylko że z tą moją kurewką sprawa była trudniejsza. Ona sypiała ze wszystkimi, tych zwierciadeł było zatem tyle, że dawały obraz bałamutny i wieloznaczny. A poza tym, jeżeli idziecie do łóżka z kim popadnie, przestajecie wierzyć, że tak powszednia rzecz jak ciupkanie mogłaby dla kogoś mieć rzeczywiste znaczenie. Szukacie więc prawdziwych znaczeń po przeciwnej stronie. Wyraźną miarę jej ludzkiej godności mógł tej kurewce dać jedynie ktoś, komu by wprawdzie na niej nie zależało, ale kogo ona sama by odtrąciła. A ponieważ najprawdopodobniej sama przed sobą chciała utwierdzić się w przekonaniu, że jest najpiękniejsza i najlepsza, tego jedyne, którego miałyby wyróżnić swą odmową, dobierała bardzo surowo i wybrednie. Kiedy w końcu wybrała mnie, zrozumiałem, że jest to wyjątkowy zaszczyt, i do dzisiaj uważam to za swój największy sukces miłosny.

- W godny podziwu sposób potrafi pan przemieniać wodę w wino - rzekła lekarka.

- Czuje się pani dotknięta, że za mój największy sukces nie uważam pani? - spytał ordynator. - Musi mnie pani zrozumieć. Chociaż jest pani kobietą uczciwą, to jednak nie jestem dla pani (nie wie pani nawet, jak mnie to smuci) tym pierwszym i ostatnim, a dla tej kurewki - tak. Zapewniam panią, że mnie nie zapomniała i do dzisiaj z rozrzewnieniem wspomina, jak dała mi kosza. Opowiedziałem tę historię zresztą tylko po to, by ukazać przypadek analogiczny do odtrącania Elżbiety przez Havla.

## Pochwała wolności

- Na Boga, szefie - jęknął Havel. - Nie chce pan chyba powiedzieć, że szukam w Elżbiecie obrazu swojej ludzkiej wartości!

- Z pewnością nie - zjadliwie rzekła lekarka - już nam pan to przecież wyjaśnił. Wyzywający sposób bycia Elżbiety odczuwa pan jako rozkaz, a pan chce zachować złudzenie, że sam wybiera sobie kobiety.

- Skoro już o tym mowa, pani doktor, to sprawa ma się inaczej - rzekł w zadumie Havel. - Kiedy twierdziłem, że agresywność Elżbiety mi przeszkadza, miał to być tylko efektowny żart. Prawdę mówiąc, miewałem w życiu kobiety

0 wiele bardziej agresywne, a ich wyzywający sposób bycia bardzo mi odpowiadał, ponieważ znakomicie przyspieszał przebieg całej sprawy.

- No więc dlaczego, u diabła, nie chce pan Elżbiety? - krzyknął ordynator.

- Pańskie pytanie nie jest takie głupie, jak mi się z początku wydawało, widzę bowiem, że właściwie trudno mi na nie odpowiedzieć. Jeśli mam być szczery, to nie wiem, czemu nie chcę Elżbiety. Brałem kobiety brzydsze, starsze

1 bardziej agresywne. Z tego wynika, że powinienem wziąć oczywiście i ją. Tak wyliczyliby wszyscy statystycy. Wszystkie maszyny cybernetyczne taki dałyby wynik. Ale widzi pan, właśnie dlatego jej nie chcę. Może pragnąłem oprzeć się konieczności. Podstawić nogę związkowi przyczyn i skutków. Obalić metody, którymi oblicza się na tym świecie samowolne drogi kaprysu.

- Ale dlaczego wybrał pan sobie w tym celu akurat Elżbietę? - wykrzykiwał ordynator.

- Właśnie dlatego, że nie ma ku temu powodów. Gdyby istniał jakiś powód, można by go było z góry znaleźć, a moje postępowanie z góry określić. Właśnie w tym braku podstaw kryje się owa odrobina wolności, której nam użyczono, a po którą musimy uparcie sięgać, aby w tym świecie żelaznych reguł zostało choć trochę ludzkiego bałaganu. Koledzy, niech żyje wolność! - rzekł Havel i ze smutkiem wznosił szklankę.

Jak daleko sięga odpowiedzialność człowieka

W tej chwili w pokoju zjawiała się nowa butelka, która bez reszty ściągnęła na siebie uwagę zebranych tu lekarzy. Wdzięcznym, smukłym młodzieńcem, stojącym z nią w progu, był student medycyny Flajszman, odbywający praktykę na tutejszym oddziale. Postawił butelkę (powoli) na stole, rozglądał się (długo) za korkociągiem, po czym (bez pośpiechu) wbił korkociąg i (wolnym ruchem) zaczął wkręcać go w korek, który następnie (w zadumie) wyciągnął. Zawartość powyższych nawiasów unaocznia flegmatyczność Flajszmana, świadcząca jednak nie tyle o jego niezręczności, co o leniwym samouwielbieniu, z jakim młodzieńcy medyk wpatrywał się badawczo we własną jaźń, ignorując otaczające go z zewnątrz nieistotne drobiazgi.

A doktor Havel mówił:

- To wszystko, cośmy tu wygadywali, to bzdury. Nie ja odtrącam Elżbietę, ale ona mnie. Szaleje przecież za Flajszmanem.

- Za mną? - Flajszman uniósł wzrok znad butelki, po czym stawiając długie kroki odniósł korkociąg z powrotem na miejsce, następnie wrócił do stołu i zaczął nalewać wino do szklanek.

- Dobrze sobie - przyłączył się do Havla ordynator, pokpiwając sobie z Flajszmana. - Wszyscy o tym wiedzą, tylko pan nie. Od chwili gdy zjawił się pan na naszym oddziale, nie sposób z nią wytrzymać. To już dwa miesiące.

Flajszman obrzucił ordynatora spojrzeniem (długim) i rzekł:

- Ja doprawdy nic o tym nie wiem. - Po czym dodał:

- A poza tym zupełnie mnie to nie interesuje.

- A gdzież te pańskie szlachetne enuncjacje? To pańskie gdakanie o szacunku dla kobiet?

- z udawanym oburzeniem moralisty wykrzyknął Havel. - Zadaje pan męki Elżbiecie i nic to pana nie obchodzi?

- Wobec kobiet odczuwam litość i nie mógłbym nigdy świadomie wyrządzić im krzywdy - rzekł Flajszman. - A to, co robię nieświadomie, nie obchodzi mnie, ponieważ nie mam na to wpływu, a tym samym nie ponoszę odpowiedzialności.

W pokoju zjawiała się Elżbieta. Po namyśle doszła widać do wniosku, że najlepiej będzie, jeśli zapomni o obrazie i będzie się zachowywać, jakby nigdy nic, toteż zachowywała się uderzająco nienaturalnie. Ordynator przysunął jej krzesło do stołu i nalał szklaneczkę.

- Niech pani pije, Elżbietko, niech pani zapomni o wszystkich przykrościach.

- No pewnie - uśmiechnęła się do niego szeroko Elżbieta i wypła wino.

A ordynator znów zwrócił się do Flajszmana:

- Gdyby człowiek ponosił odpowiedzialność tylko za to, czego jest świadom, głupcy byłiby z góry rozgrzeszeni z każdej winy. Tylko że, mój drogi, człowiek ma obowiązek wiedzieć. Człowiek ponosi odpowiedzialność za swoją niewiedzę. Niewiedza jest winą. A zatem nic nie uwalnia pana od winy, ja zaś oświadczam panu, że w stosunku do kobiet jest pan gburem, chociaż pan temu zaprzecza.

## **Pochwała miłości platonicznej**

- No jak tam, załatwił pan już dla panny Klary ten sublokatorski pokój, który jej pan obiecywał? - zaatakował Flajszmana Havel, przypominając mu jego bezskuteczne zaloty do pewnej (znanej wszystkim obecnym) medyczki.

- Nie załatwiłem, ale załatwiam.

- Flajszman jest dżentelmenem, Flajszman nie wodzi kobiet za nos - ujęła się za młodzieńcem lekarka.

- Nie znoszę chamstwa wobec kobiet, ponieważ czuję dla nich litość - powtórzył znowu medyk.

- Ale Klara i tak panu nie dała - rzekła Elżbieta i roześmiała się bardzo niestosownie, tak że ordynator był zmuszony ponownie zabrać głos:

- Dała czy nie dała, to wcale nie takie ważne, jak się pani wydaje, Elżbieto. Wiadomo, że Abelard był kastratem, a mimo to on i Heloiza pozostali parą wiernych kochanków, których miłość jest nieśmiertelna. George Sand siedem lat żyła z Fryderykiem Szopenem nietknięta niczym dziewica, a gdzież nam do ich miłości! A wreszcie nie chciałbym z tym szacownym gronem łączyć przykładu kurewki, która wyróżniła mnie najzaszczytniej pod względem erotycznym odmawiając mi swoich względów. Niech pani to sobie dobrze zanotuje w pamięci, droga Elżbieto, miłość wiąże się z tym, o czym pani tak ustawicznie myśli, w o wiele mniejszym stopniu, niż sobie ludzie wyobrażają. Nie wątpi pani przecież w to, że Klara

kocha Flajszmana. Jest w stosunku do niego miła, a mimo to opiera mu się. Dla pani brzmi to nielogicznie, ale miłość to właśnie to, co nielogiczne.

- A cóż w tym nielogicznego? - znowu niestosownie roześmiała się Elżbieta. - Klarze zależy na mieszkaniu. Dlatego jest miła dla Flajszmana. Ale spać z nim nie chce, bo ma pewnie kogoś innego, z kim sypia. Tylko że tamten znowu nie może się jej wystarać o mieszkanie.

W tej chwili Flajszman podniósł głowę i powiedział:

- Działa mi pani na nerwy. Mówi pani jak głupi podłotek. A jeżeli kobiecie przeszkadza wstyd? To pani nie przyszło do głowy? A jeśli ma jakiś defekt i ukrywa go przede mną? Na przykład jakąś bliznę po operacji, która ją szpeci. Kobiety potrafią się okropnie wstydzić. Tylko że pani, Elżbieto, nic o tym nie wiadomo.

- Albo też - przyszedł Flajszmanowi w sukurs ordynator - Klara sam na sam z Flajszmanem tak kamienieje porażona miłością, że w ogóle nie może się z nim kochać. Czy pani, Elżbieto, nie potrafi sobie wyobrazić, że mogłaby pani kochać kogoś tak bardzo, że nie byłaby w stanie się z nim przespać?

Elżbieta oświadczyła, że nie.

Sygnal

W tym miejscu możemy przerwać na chwilę śledzenie toku rozmowy (niezmiennie obracającej się wokół blahostek) i wspomnieć o tym, że przez cały ten czas Flajszman usiłował patrzeć w oczy lekarce, ponieważ diabelnie mu się podobała już od chwili, gdy ją (miesiąc temu) po raz pierwszy zobaczył. Majestat jej trzydziestu lat olśniewał go.

Dotychczas znał ją tylko przelotnie, a dzisiaj po raz pierwszy miał okazję przebywać z nią dłuższy czas w jednym pokoju.

Wydawało mu się, że i ona odpowiada chwilami na jego spojrzenia, i był tym mocno poruszony.

Po jednej takiej wymianie spojrzeń lekarka ni stąd, ni zowąd wstała, podeszła do okna i rzekła:

- Cudownie jest dziś na dworze. Pełnia... - Po czym znowu musnęła Flajszmana spojrzeniem.

Flajszman w tego rodzaju sytuacjach nie był głuchy i natychmiast zrozumiał, że to jest sygnał - sygnał przeznaczony dla niego. Poczuł w tej chwili gwałtowny podmuch wzbierający w piersi\*. Jego pierś bowiem była czułym instrumentem, godnym pracowni Stradivariusa. Zdarzało się czasami, że odczuwał w niej właśnie wyżej wspomniany uwznioślający podmuch, i za każdym razem był pewien, że ten podmuch posiada nieodwracalność wróżby zwiastującej zbliżanie się czegoś wielkiego, niezwykłego, co prześcignie wszelkie jego marzenia. Tym razem był tym podmuchem z jednej strony oszołomiony, z drugiej zaś (w tym kąciku mózgu, do którego oszołomienie już nie dotarło) zaskoczony; jak to się dzieje, że jego tęsknota posiada taką moc, iż na jej zawołanie rzeczywistość przybiega pokornie, gotowa zaistnieć? Dziwiąc się nadal własnej sile, baczył pilnie, kiedy dyskusja rozgorzeje na dobre, a dyskutujący przestaną na niego zwracać uwagę; gdy tylko to nastąpiło, wymknął się z pokoju.

## **Przystojny młody mężczyzna z założonymi rękami**

Pokój, w którym odbywał się ów zaimprovizowany sympozjon, mieścił się na parterze ładnego pawilonu, stojącego (w pobliżu innych pawilonów) w dużym ogrodzie szpitalnym. Do tegoż ogrodu wyszedł teraz Flajszman. Oparł się o wysoki pień platanu, zapalił papierosa i skierował wzrok ku niebu; było lato, w powietrzu przepływały fale zapachów, a na czarnym nieboskłonie wisiał okrągły księżyc.

Medyk usiłował wyobrazić sobie bieg nadchodzących wydarzeń. Lekarka, która przed chwilą dyskretnie dała mu do zrozumienia, żeby wyszedł, wyczeka moment, kiedy jej łysoń będzie bardziej pochłonięty rozmową niż swoją podejrzliwością, po czym zapewne napomknie, że mała intymna potrzeba zmusza ją do opuszczenia na chwilę towarzystwa.

A co będzie dalej? Dalej już z premedytacją nic sobie nie chciał wyobrazić. Wzdymająca się pierś zapowiadała przygodę, i to mu wystarczało. Wierzył w swoje szczęście, w swoją gwiazdę miłości i wierzył w lekarkę. Kołysany pewnością siebie (pewnością połączoną zawsze z pewnym zdziwieniem), oddawał się przyjemnej bierności. Sam siebie widział bowiem zawsze jako mężczyznę pociągającego, zdobywanego, kochanego i cieszyło go oczekiwanie na przygodę - jak to się mówi - z założonymi rękami. Wierzył, że właśnie ta postawa drażniąco prowokuje kobiety i los.

Przy tej okazji warto wspomnieć, że Flajszman w ogóle często, jeśli nie stale (i to z upodobaniem) widział samego siebie, co ustawicznie podwajało jego postać i czyniło jego samotność całkiem zabawną. Tym razem na przykład nie tylko stał oparty o platan i palił, ale jednocześnie obserwował się, jak stoi (piękny i chłopięcy) oparty o platan i nonszalancko pali papierosa. Przez dłuższą chwilę delektował się tym widokiem, aż wreszcie usłyszał lekkie kroki zmierzające od pawilonu w jego stronę. Umyślnie się nie odwracał. Jeszcze raz zaciągnął się, wydmuchnął dym i patrzył w niebo. Kiedy kroki zbliżyły się tuż, tuż, powiedział sugestywnym głosem:

- Wiedziałem, że się tu spotkamy.

## Siusianie

- Nie tak trudno było zgadnąć - odpowiedział mu ordynator - zawsze daję pierwszeństwo siusianiu pod gołym niebem przed cywilizowanymi urządzeniami, które napawają mnie niesmakiem. Tutaj w jednej chwili złocisty strumyczek w przedziwny sposób łączy mnie z trawą i ziemią. Albowiem z prochu powstałem, drogi Flajszman, i w proch, przynajmniej częściowo, teraz powracam. Siusianie pod gołym niebem jest pobożnym obrzędem, poprzez który ślubujemy ziemi, że kiedyś powrócimy do niej bez reszty.

A że Flajszman milczał, ordynator rzucił pytanie:

- A pan wyszedł popatrzeć na księżyc?

Kiedy zaś Flajszman nadal uparcie milczał, dodał:

- Z pana, Flajszmanku, lunatyk i dlatego właśnie pana lubię.

Flajszman przyjmował słowa ordynatora jako drwinę, pragnąc jednak być ostrożnym, rzekł półgębkiem:

- Niech pan da spokój z tym księżycem. Ja też przyszedłem tu, żeby się odlać.

- Flajszmanku - powiedział ordynator roztkliwiony - traktuję to jako niezwyklej objaw przyjaźni w stosunku do starzejącego się szefa.

Stali więc obaj pod platanem oddając się czynności, którą ordynator z nieustającym patosem w coraz to nowych wariantach nazywał nabożeństwem.

# AKT DRUGI

## Przystojny, młody, sarkastyczny mężczyzna

Potem wracali razem długim korytarzem, a ordynator po bratersku obejmował medyka ramieniem. Medyk nie miał wątpliwości co do tego, że zazdrosny łysoń odgadł znakomicie zaszyfrowany sygnał lekarki i że teraz jego przyjacielska wylewność jest tylko drwiną. Nie mógł oczywiście strząsnąć z ramion ręki ordynatora, ale tym większy gniew narastał w jego duszy. Pocięchą było mu jedynie to, że nie tylko był pełen gniewu, ale również to, że natychmiast widział, jak w tym gniewie wygląda; był zadowolony z młodego mężczyzny, który wraca do pokoju lekarskiego i ku ogólnemu zaskoczeniu jest naraz całkiem inny: zjadliwie sarkastyczny, agresywnie dowcipny, niemal demoniczny.

Kiedy obydwoj rzeczywiście weszli, Elżbieta stała na środku pokoju, przeginając się niesamowicie w tali i wydając przy tym jakieś stłumione, śpiewne dźwięki. Doktor Havel miał spuszczone oczy, a lekarka, chcąc zaoszczędzić nowo przybyłym przestרחu, wyjaśniła:

- Elżbieta tańczy.

- Trochę się załała - dodał Havel.

Elżbieta nie przestawała kołysać biodrami i jednocześnie zataczać biustem kręków wokół opuszczonej głowy siedzącego Havla.

- Gdzie nauczyła się pani tego wspaniałego tańca? - zapytał ordynator.

Flajszman, rozpierany sarkazmem, parsknął śmiechem:

- Cha, cha, cha, wspaniały taniec! Cha, cha, cha!

- Widziałam to w Wiedniu na strip-teasie - wyjaśniła Elżbieta.

- No, no - zgorszył się dobrotliwie ordynator. - Od kiedy to nasze siostry chodzą na strip-tease?

- To nie jest chyba zabronione, doktorze? - Elżbieta zatoczyła biustem koło ponad głowę ordynatora.

Żółć bez przerwy wzbierała w Flajszmanie, pragnąc trysnąć ustami.

Flajszman powiedział więc:

- Pani potrzebny byłby brom, a nie strip-tease. Bo inaczej zachodzi obawa, że nas pani zgwałci!

- Pan się bać nie musi. Na oseski nie lecę - odparowała Elżbieta opisując biustem koło wokół Havla.

- A podobał się pani ten strip-tease? - wypytywał po ojcowsku ordynator.

- Owszem, podobał - odparła Elżbieta. - Była tam jedna Szwedka z ogromnymi piersiami, ale ja mam ładniejsze (przy tych słowach pogładziła się po biuście), i była jedna dziewczyna, która udawała, że kąpie się w samej pianie w takiej papierowej wannie, i jedna mulatka, która onanizowała się na oczach publiczności, to było najlepsze ze wszystkiego...

- Cha, cha, cha - rzekł Flajszman znajdujący się u szczytu diabolicznego sarkazmu - onanizm to właśnie coś w sam raz dla pani.

## Smutek zaklęty w kształt tyłka

Elżbieta wciąż tańczyła, ale jej publiczność była prawdopodobnie o wiele gorsza niż ta na wiedeńskim strip-teasie: Havel siedział ze spuszczoną głową, lekarka patrzyła



ironicznie, Flajszman z dezaprobatą, a ordynator z ojcowskim pobłażaniem. Tymczasem zaś tyłek Elżbiety, obciążony białym materiałem pielęgnarskiego fartucha, wirował po pokoju niczym kuliste słońce, ale słońce wygasło i martwe (spowite w biały całun), słońce, które obojętne i zakłopotane spojrzenia obecnych lekarzy skazywały na żalną nieprzydatność.

W pewnej chwili wydawało się, że Elżbieta rzeczywiście zacznie zrzucać poszczególne części garderoby, ordynator odezwał się więc zdławionym głosem:

- Ależ, Elżbietko, chyba nie chce nam pani demonstrować tutaj tego Wiednia!

- Czego się pan boi, panie ordynatorze! Zobacz pan przynajmniej, jak naprawdę powinna wyglądać naga kobieta

- zaszczębiotała Elżbieta, po czym znowu zwróciła się w stronę Havla zagrażając mu biustem:

- No i co, Havliczku? Siedzisz tu niczym na pogrzebie! Podnieś tę swoją głowę! Umarł ci kto, czy jak? Popatrz na mnie! Ja przecież żyję! Ja nie umieram! Na razie wciąż jeszcze żyję! Żyję!

Przy tych słowach jej tyłek nie był już tyłkiem, lecz samym smutkiem, tańczącym po pokoju.

- Lepiej dałaby pani z tym spokój! - powiedział Havel w stronę parkietu.

- Spokój? - rzekła Elżbieta. - Przecież ja tańczę dla ciebie! A teraz pokażę ci strip-tease. - Odwiązała z tyłu fartuch i tanecznym gestem odrzuciła go na biurko.

Ordynator znowu odezwał się lękliwie:

- Elżbietko, świetnie byłoby, gdyby nam pani urządziła strip-tease, ale gdzie indziej. Tutaj, widzi pani, jesteśmy w miejscu pracy.

## **Wielki strip-tease**

- Ja wiem, na co mogę sobie pozwolić, panie ordynatorze

- odrzekła Elżbieta.

Była teraz w swojej służbowej jasnoniebieskiej sukni z białym kołnierzykiem i nie przestawała się kręcić.

Potem ujęła się w pasie rękami i zaczęła przesuwając je wzdłuż ciała aż ponad głowę, prawą rękę uniosła w górę przeciągając nią po podniesionej lewej ręce, potem zaś lewą ręką przesunęła po prawej, po czym obiema rękami wykonała pełen gracji ruch w stronę Flajszmana, jakby rzuciła mu bluzkę. Flajszman przestraszył się i drgnął.

- Osesku, upuściłeś to na ziemię - krzyknęła na niego.

Teraz znowu ujęła się pod boki i zaczęła przesuwając ręce

tym razem w dół, wzdłuż obu nóg; kiedy była już całkiem pochylona, podniosła kolejno prawą, a potem lewą nogę; utkwiała wzrok w ordynatorze i wykonała gwałtowny ruch prawą ręką. Jednocześnie ordynator wyciągnął przed siebie rękę z rozstawionymi palcami, które natychmiast zacisnął w pięść. Następnie położył tę rękę na kolanie, a palcami drugiej przesłał Elżbiecie całusa.

Po chwili dalszego wirowania i tańca Elżbieta wspięła się na palce, ugięła ręce w łokciach i sięgnęła nimi do tyłu; tanecznym ruchem przeniosła następnie ręce do przodu, po czym znowu wykonała płynny ruch ręką, jakby rzuciła wymyśloną spódniczkę, tym razem w stronę Havla, który również nieznacznie i z zażenowaniem poruszył ręką.

Elżbieta wyprostowała się teraz i dumnym krokiem zaczęła spacerować po pokoju; okrążyła wszystkich swoich czworo widzów, kolejno prężąc nad każdym z nich symboliczną nagość swoich piersi. W końcu zatrzymała się przed Hadlem, znowu zaczęła kręcić biodrami i lekko się pochyliwszy zsunęła obie ręce w dół wzdłuż bioder, i znów (jak przed chwilą) uniosła najpierw jedną, potem drugą nogę, po czym wyprostowała się triumfalnie, podnosząc

w górę prawą rękę, jakby trzymała w palcach niewidzialne majteczki. Tą ręką ponownie wykonała płynny ruch w stronę Havla.

Teraz, wyprężona dumnie, w całej krasie swojej fikcyjnej nagości, nie patrzyła już na nikogo, nawet na Havla, i tylko zmrużonymi oczyma, z przechyloną na bok głową spoglądała w dół na swoje kołyszące się ciało.

Nagle porzuciła dumną postawę i usiadła Halowi na kolanach.

- Jestem zmęczona - powiedziała ziewając. Wyciągnęła rękę po szklankę Havla i napiła się. - Doktorze - rzekła do niego - nie ma pan jakiegoś środka pobudzającego? Nie wolno mi przecież zasnąć!

- Dla pani wszystko, Elżbietko - rzekł Havel, podniósł Elżbietę ze swoich kolan i podszedł do apteczki. Znalazł tam silne proszki nasenne i dwa podał Elżbiecie.

- Ożywi mnie to? - zapytała.

- Jakem Havel - rzekł Havel.

## Pożegnalne słowa Elżbiety

Połknąwszy oba proszki, Elżbieta chciała znów usiąść Halowi na kolanach, ale ten odsunął nogi, i Elżbieta upadła na ziemię. Havlowi natychmiast zrobiło się jej żal, ponieważ nie miał właściwie zamiaru pozwolić Elżbiecie upaść tak haniebnie, a jeśli odsunął nogi, był to raczej mimowolny ruch, spowodowany tym, że nie miał ochoty dotykać kolanami pośladków Elżbiety.

Usiłował więc podnieść ją teraz, ale ona z żalosnym uporem całym ciężarem ciała Ignęła do podłogi.

W tej chwili stanął przed nią Flajszman i oświadczył:

- Pani jest pijana i powinna iść spać.

Elżbieta spojrzała na niego z podłogi z bezgraniczną pogardą i (smakując masochistyczny patos swego bycia-na--ziemi) powiedziała:

- Cham. Idiota. - I jeszcze raz: - Idiota.

Havel znowu usiłował ją podnieść, ale wyrwała mu się z wściekłością i zaczęła czkać. Nikt nie wiedział, co powiedzieć, toteż owo czkanie rozlegało się w zamkniętym pokoju niczym skrzypcowe solo. Po chwili lekarce wpadło na myśl, żeby zacząć cicho gwizdać. Elżbieta podniosła się raptownie, podeszła do drzwi, a kiedy już brała za klamkę, odwróciła się w stronę pokoju i rzekła:

- Chamy! Chamy! Gdybyście wy wiedzieli. Ale wy nic nie wiecie. Nic.

## Ordynator oskarża Flajszmana

Po jej odejściu zapanowała cisza, którą pierwszy przerwał ordynator:

- No i widzi pan, Flajszmanku. Podobno odczuwa pan litość wobec kobiet. Ale skoro tak jest, to czemu nie żal panu Elżbiety?

- A co mnie ona obchodzi! - zachnął się Flajszman.

- Niech pan nie udaje, że pan nie wie. Powiedzieliśmy panu przecież przed chwilą. Ona za panem szaleje.

- Czy to moja wina?

- Nie - rzekł ordynator. - Ale pańska wina, że jest pan dla niej ordynarny i że ją pan dręczy. Cały wieczór chodziło jej tylko o to, co pan robi, czy pan na nią spojrzy, czy się uśmiechnie, czy powie jej coś miłego. A pamięta pan, co jej pan powiedział?

- Nic strasznego jej nie powiedziałem - bronił się Flajszman, ale jego głos brzmiał dość niepewnie.

- Nic strasznego? - zaśmiał się ordynator. - Kpił pan przecież z jej tańca, doradzał jej pan brom, twierdził pan, że onanizm to coś w sam raz dla niej. Nic strasznego! Kiedy robiła striptease, upuścił pan jej bluzkę na ziemię.

- Jaką bluzkę? - bronił się Flajszman.

- Bluzkę - powtórzył ordynator. - I niech pan nie udaje głupiego. Wreszcie kazał pan jej iść spać, chociaż chwilę przedtem połknęła proszek przeciwko zmęczeniu.

- Ale przecież ona leciała na Havla, nie na mnie - ciągle bronił się Flajszman.

- Niech pan nie gra komedii - rzekł ordynator surowo.

- Co miała robić, skoro pan nie zwracał na nią uwagi? Prowokowała pana. Nie marzyła o niczym innym, jak tylko o odrobinie zazdrości, ty dżentelmenie.

- Niech się pan już nad nim nie znęca - rzekła lekarka.

- Jest okrutny, ale za to młody.

- To archanioł karzący - rzekł Havel.

## Mitologiczne role

- Rzeczywiście - powiedziała lekarka - niech pan na niego spojrzy: piękny, zły archanioł.

- W ogóle mitologiczne z nas towarzystwo - sennie zauważył ordynator. - Bo ty jesteś Diana. Zimna, wysportowana, złośliwa.

- Az pana satyr. Podstarzały, lubieżny, gadatliwy - rzekła lekarka. - A Havel to don Juan. Nie stary, ale starzejący się.

- Skądże znowu. Havel to śmierć - zaprotestował ordynator, powtarzając swoją starą tezę.

## Koniec don Juanów

- Jeśli mam rozsądzić, czy jestem don Juanem, czy też śmiercią, muszę, aczkolwiek niechętnie, przychylić się do zdania szefa - rzekł Havel i pociągnął spory haust wina. - Don Juan! To był przecież zdobywca. I to przez duże Z. Wielki Zdobycyca. Ale proszę mi powiedzieć, jak być zdobywcą tam, gdzie nikt nie stawia oporu, gdzie wszystko jest możliwe, wszystko dozwolone? Epoka don Juanów się skończyła. Dzisiejszy potomek don Juana już nie zdobywa, tylko kolekcjonuje. Miejsce Wielkiego Zdobycycy zajął Wielki Kolekcjoner, tylko że Kolekcjoner to już wcale nie don Juan. Don Juan był postacią tragiczną. Obarczony był winą. Beztrudnie grzeszył i drwił z Boga. Był bluźniercą i skończył w piekle.

Don Juan dźwigał na swych barkach tragiczne brzemie, o którym Wielki Kolekcjoner nie ma pojęcia, ponieważ w jego świecie wszelkie ciężary utraciły wagę. Głazy przemieniły się w puch. W świecie Zdobycycy jedno spojrzenie znaczyło tyle, co w świecie Kolekcjonera dziesięć lat najgorliwszej miłości fizycznej.

Don Juan był panem, podczas gdy Kolekcjoner jest niewolnikiem. Don Juan butnie przekraczał prawa i konwenanse. Wielki Kolekcjoner posłusznie, w pocie czoła przestrzega jedynie konwenansów i praw, ponieważ kolekcjonerstwo stało się dobrym obyczajem, bon-

tonem, niemal obowiązkiem. Ja przecież, jeżeli w ogóle ponoszę za coś winę, to jedynie za to, że nie chcę Elżbiety.

Wielki Kolekcjoner nie ma nic wspólnego z tragedią ani dramatem. Jego w tym zasługa, że erotyzm, który bywa złącznikiem katastrof, upodobił się do konsumowania śniadań czy obiadów, do filatelistyki, ping-ponga czy wręcz do jazdy tramwajem i robienia zakupów. To on wprowadził erotyzm w cyrkulację dnia powszedniego. Zamienił go w dekoracje i deski sceny, na którą prawdziwy dramat ma dopiero wkroczyć. Biada mi, przyjaciele - zawołał z patosem Havel - moje miłości (jeżeli wolno mi użyć tego słowa) są deskami sceny, na której nic się nie dzieje.

Droga koleżanko i drogi szefie, przedstawiacie śmierć i don Juana jako dwa przeciwieństwa. Przez absolutny przypadek i niedopatrzenie trafiliście w sedno. Proszę pomyśleć: don Juan walczył z tym, co niemożliwe. I to właśnie jest ogromnie ludzkie. Za to w świecie Wielkiego Kolekcjonera nie ma rzeczy niemożliwych, ponieważ jest to kraina śmierci.

Wielki Kolekcjoner to śmierć, która przyszła po tragedię, po dramat, po miłość. Śmierć, która przyszła po don Juana. W ogniu piekielnym, w który posłał go komandor, don Juan żyje. Ale w świecie Wielkiego Kolekcjonera, w tym świecie, gdzie namiętności i uczucia fruwią w powietrzu jak pierze, w tym świecie umarł on na zawsze.

Gdzież mnie, droga koleżanko - rzekł ze smutkiem Havel - gdzież mnie do don Juana! Co ja bym dał za to, żeby zobaczyć komtura i poczuć na sobie straszliwy ciężar jego przekleństwa. Żeby poczuć narastającą we mnie wielkość tragedii. Skądże znowu, koleżanko, ja jestem co najwyżej postacią komediową, ale nawet tego nie zawdzięczam sobie, lecz właśnie don Juanowi, ponieważ jedynie na historycznym tle jego tragicznej wesołości możecie jako tako dojrzeć śmieszna żalność mojej egzystencji dziwkarza, która bez tego kryterium porównawczego byłaby tylko szarą powszedniością i bezbarwnym tłem.

## Dalsze sygnały

Znużony długą oracją (w czasie której sennemu ordynatorowi dwukrotnie opadała głowa), Havel umilkł. Dopiero po odpowiedniej przerwie (pełnej poruszenia) odezwała się lekarka:

- Nie przypuszczałam doktorze, że potrafi pan mówić tak dorzecznie. Określił pan siebie jako postać komediową, jako szarzyznę, nudę i zero. Niestety, sposób, w jaki pan mówił, był nieco zbyt patetyczny. Na tym polega to pańskie cholerne wyrafinowanie: nazwać siebie żebrakiem, ale dobrać do tego słowa tak królewskie, żeby jednak pozostać bardziej królem niż żebrakiem. Stary oszust z pana, doktorze. Zarozumiały nawet wtedy, kiedy sam siebie znieważa. Stary ordynarny oszust.

Flajszman wybuchnął głośnym śmiechem, ponieważ ku swemu zadowoleniu dopatrzył się w słowach lekarki pogardy w stosunku do Havla.

Zachęcony więc jej ironią i własnym śmiechem, podszedł do okna i znacząco powiedział:

- Co za noc!

- Tak - rzekła lekarka. - Cudowna noc. A Havel będzie nam tu udawał śmierć. Czy pan w ogóle zauważył, kolego Havel, jaka piękna dziś noc?

- Ależ skąd - rzekł Flajszman. - Dla Havla kobieta jak kobieta, noc jak noc, a zima jak lato. Doktor Havel nie raczy rozróżniać nieistotnych detali.

- Przejrzał mnie pan - rzekł Havel.

Flajszman osądził, że tym razem jego spotkanie z lekarką się powiedzie - ordynator sporo już wypił i wydawało się, że senność, która ogarnęła go w ostatnich minutach, przytępiła znacznie jego czujność; toteż młody medyk rzucił półgłosem:

- Ach, ten mój pęcherz! - i posławszy spojrzenie lekarce, wyszedł z pokoju.

Gaz

Idąc przez korytarz, z satysfakcją przypomniał sobie, z jaką ironią traktowała lekarka przez cały wieczór obu mężczyzn, ordynatora i Havla, którego teraz bardzo trafnie nazwała oszustem, i zdumiało go, że znowu powtarza się to, co za każdym razem zaskakuje go na nowo, dlatego właśnie, że powtarza się tak regularnie: podoba się kobietom, dają mu pierwszeństwo przed doświadczonymi mężczyznami, co w wypadku lekarki, która z pewnością jest kobietą niezwykle wymagającą, inteligentną i trochę (ale w przyjemny sposób) wyniosłą - jest wielkim, nowym i niespodziewanym sukcesem.

W takim stanie ducha szedł zatem Flajszman długim korytarzem do wyjścia. Kiedy był już niemal w wahadłowych drzwiach prowadzących do ogrodu, poczuł nagle zapach gazu.

Przystanął i pociągnął nosem.

Gęsty zapach koncentrował się koło drzwi wiodących do pokoju sióstr. Flajszman uświadomił sobie naraz, że okropnie się przestraszył.

W pierwszej chwili chciał pobiec z powrotem i sprowadzić ordynatora i Havla, ale potem zdecydował się chwycić za klamkę (pewnie dlatego, że sądził, iż drzwi są zamknięte, jeśli nie zabarykadowane). Ale, o dziwo, drzwi ustąpiły. W pokoju pod sufitem paliła się jasna lampa i oświetlała nagie ciało kobiece leżące na tapczanie.

Flajszman rozejrzał się i szybko przyskoczył do małej kuchenki gazowej.

Zakręcił otwarty kurek. Potem podbiegł do okna i rozwarł je na oścież.

## **Uwaga w nawiasie**

(Można powiedzieć, że Flajszman działał przytomnie i całkiem sensownie. Jednej rzeczy nie zdążył jednak wystarczająco zanotować w swoim chłodnym umyśle. Przez pełną sekundę gapił się wprawdzie na nagie ciało Elżbiety, ale napełniało go takie przerażenie, że przysłoniło mu to, co dopiero my z dogodnego dystansu możemy smakować w całej pełni:

To ciało było cudowne. Leżało na wznak, z głową lekko przechyloną na bok i łagodnie skrzyżowanymi ramionami, tak że obie piersi były przytulone do siebie i przez to pełne i kształtne. Jedna noga Elżbiety była wyciągnięta, druga zaś lekko ugięta w kolanie, co uwidaczniało wspaniałą krągłość ud i niezwykle gęstą czerń łona).

## **Wołanie o ratunek**

Otworzywszy na oścież okno i drzwi, Flajszman wybiegł na korytarz i zaczął krzyczeć.

Wszystko, co nastąpiło później, rozegrało się już szybko i rzeczowo: sztuczne oddychanie, telefon na internę, wózek do przewożenia chorych, przekazanie denatki lekarzowi dyżurnemu na oddziale wewnętrznym, znowu sztuczne oddychanie, transfuzja krwi, a wreszcie głębokie westchnienie ulgi, kiedy okazało się, że życie Elżbiety ponad wszelką wątpliwość zostało uratowane.

# AKT TRZECI

Kiedy wszyscy czterej lekarze wyszli z interny na dziedziniec, wyglądali na kompletnie wyczerpanych.

Ordynator powiedział: - Zepsuła nam Elżbietka sympo-zjon.

Lekarka powiedziała: - Niezaspokojone kobiety zawsze przynoszą pecha.

Havel powiedział: - To ciekawe. Musiała otworzyć gaz, żebyśmy zobaczyli, jakie piękne ma ciało.

Przy tych słowach Flajszman spojrział na Havla (przeciągle) i powiedział:

- Nie mam już ochoty ani na pijaństwo, ani na dowcipy. Dobranoc.

I ruszył w kierunku szpitalnej bramy.

## Teoria Flajszmana

Słowa kolegów wydały się Flajszmanowi ohydne. Widział w nich nieczułość starzejących się ludzi, brutalność właściwą ich wiekowi, który wznosił się przed jego młodością jak nieprzyjacielska bariera. Toteż rad był, że jest sam, i specjalnie szedł pieszo, ponieważ chciał w całej pełni przeżywać i smakować swoje podniecenie. Powtarzał sobie w kółko, że Elżbietę dzielił zaledwie włos od śmierci i że za tę śmierć on ponosiłby winę.

Wiedział oczywiście, że samobójstwo nie miewa jednej tylko przyczyny, lecz całą gromadę, z drugiej jednak strony w żaden sposób nie mógł w duchu zaprzeczyć, że jedną (i prawdopodobnie decydującą) przyczyną był on sam, częściowo przez zwykły fakt swego istnienia, częściowo zaś przez swoje dzisiejsze zachowanie.

Oskarżał się teraz z emfazą. Nazywał siebie sobkiem zapatrzonym w swojej zarozumiałości jedynie we własne sukcesy miłosne. Drwił z siebie, że pozwolił się tak omamić zainteresowaniem okazywanym mu przez lekarkę. Wyrzucał sobie, że w Elżbiecie widział jedynie przedmiot, naczynie, do którego wylewał swoją wściekłość, kiedy zazdrosny ordynator przeszkodził mu w nocnej schadzce. Jakim prawem, jakim prawem tak się zachowywał wobec niewinnego człowieka?

Młody medyk nie posiadał jednak duszy prymitywnej; każdy stan jego ducha zawierał w sobie dialektykę stwierdzeń i zaprzeczeń, toteż i teraz wewnętrznemu oskarżycielowi przeciwstawił się natychmiast wewnętrzny obrońca: oczywiście, jego sarkastyczne uwagi pod adresem Elżbiety były niestosowne, nie miałyby jednak tak tragicznych następstw, gdyby nie to, że Elżbieta go kochała. Ale czy on, Flajszman, jest winien temu, że ktoś się w nim zakochał? Czy tym samym staje się automatycznie odpowiedzialny za tamtą osobę?

Zatrzymał się przy tym pytaniu i wydało mu się ono kluczem do całej egzystencji ludzkiej. Zatrzymał się też nawet w swoim marszu i z całą powagą odpowiedział sam sobie: Nie, nie miał racji, kiedy usiłował dziś wmówić ordynatorowi, że nie odpowiada za to, co czyni bezwiednie. Czyż może zredukować sam siebie wyłącznie do tego, co świadome i zamierzone? Także i to, co czyni nieświadomie, mieści się przecież w sferze jego osobowości, któż inny ma więc za to odpowiadać? Tak, to jego wina, że Elżbieta go pokochała; to jego wina, że o tym nie wiedział; to jego wina, że to lekceważył; jest winien. Niewiele brakowało, a zabiłby człowieka.

## Teoria ordynatora

Podczas gdy Flajszman zagłębiał się w samokrytyczne rozważania, ordynator, Havel i lekarka wrócili do pokoju lekarskiego, lecz na wino zupełnie nie mieli już ochoty; przez chwilę milczeli, potem Havel westchnął:

- Co też tej Elżbiecie strzeliło do głowy!

- Tylko bez sentymentalizmu, doktorze - rzekł ordynator. - Kiedy ktoś robi takie idiotyzmy, bronię się przed współczuciem. Zresztą gdyby pan się nie zawziął i dawno już zrobił z nią to, czego nie waha się pan robić z każdą inną, nie byłoby do tego doszło.

- Dziękuję, że kreował mnie pan na przyczynę samobójstwa - rzekł Havel.

- Bądźmy ściśli - odparł ordynator. - Nie chodziło tu o samobójstwo, tylko o demonstrację samobójstwa, obliczoną na to, żeby nie doszło do katastrofy. Kochany doktorze, jeśli ktoś chce się otruć, to przede wszystkim zamyka drzwi. I to nie tylko zamyka, ale uszczelnia dokładnie szpary, żeby jak najpóźniej zauważono ulatnianie się gazu, tylko że Elżbiecie nie chodziło o śmierć, a o pana.

Bóg wie, od ilu już tygodni cieszyła się, że będzie miała dziś z panem nocny dyżur, a wczoraj wieczorem od samego początku bezwstydnie uwzięła się na pana. Ale pan był zatwardziały. A im bardziej był pan zatwardziały, tym więcej Elżbieta piła i uciekała się do coraz to krzykliwszych środków: paplała, tańczyła, chciała robić strip-tease...

Wie pan, może jest w tym nawet coś wzruszającego. Kiedy nie mogła przyciągnąć pańskiego wzroku ani słuchu, postawiła wszystko na pański węch i otworzyła gaz. Wiedziała, że ma piękne ciało, i chciała pana zmusić, by się pan o tym przekonał.

Pamięta pan, jak wychodząc powiedziała: „Gdybyście wy wiedzieli. Ale wy nic nie wiecie. Nic.” No więc teraz już pan wie. Elżbieta ma szkaradną twarz, ale piękne ciało. Sam pan to przyznał.

Widzi pan, wcale nie rozumowała tak głupio. Może teraz wreszcie da się pan przekonać.

- Może - wzruszył Havel ramionami.

- Na pewno - rzekł ordynator.

## Teoria Havla

- To, co pan mówi, szefie, jest dość przekonujące, ale jest w tym błąd: przecenia pan moją rolę w tej sztuce. Tu nie chodziło o mnie. Nie tylko ja jeden nie chciałem się przespać z Elżbietą. Nikt nie chciał iść z nią do łóżka.

Kiedy dzisiaj pytał mnie pan, czemu nie chcę Elżbiety, plotłem jakieś brednie o uroku dowolności i o swobodzie, którą pragnę zachować. Ale to było tylko głupie dowcipkowanie, którym maskowałem prawdę, a ta prawda jest zupełnie odwrotna i wcale dla mnie niepochlebna. Odtrącałem Elżbietę, ponieważ ja w ogóle nie potrafię być wolny. Nie spać z Elżbietą - to już bowiem moda. Nikt z nią nie śpi, a gdyby nawet ktoś się z nią przespał, to by się do tego nie przyznał, bo wszyscy by się z niego śmieli. Moda to straszliwy żandarm, a ja niewolniczo mu się podporządkowałem. Elżbieta jest przy tym kobietą dojrzałą i rzuciło się jej to na mózg. A może najbardziej rzucił się jej na mózg właśnie mój upór, bo jak przecież każdemu wiadomo, ja biorę wszystko. Tylko że dla mnie moda była ważniejsza niż mózg Elżbiety.

Ale pan ma rację, szefie: ona wiedziała, że ma piękne ciało, swoją sytuację uważała więc za czysty nonsens i niesprawiedliwość i protestowała przeciw niej. Niech pan sobie przypomni, jak przez cały wieczór bez przerwy wskazywała na swoje ciało.

Kiedy mówiła o tej Szwedce na strip-teasie w Wiedniu, gładziła się po piersiach i oświadczyła, że ona ma biust ładniejszy niż tamta. Zresztą niech pan sobie przypomni: jej piersi i jej pośladki wypełniały dziś wieczorem ten pokój niczym tłum demonstrantów.

Doprawdy, szefie, to była demonstracja!

A pamięta pan ten jej strip-tease? Niech pan sobie przypomni, jak ona to przeżywała! Ordynatorze, to był najsmutniejszy strip-tease, jaki w życiu widziałem! Rozbierała się namiętnie, a przy tym wciąż tkwiła w zniechęconym futerale swego pielęgniarzkiego stroju. Rozbierała się i nie mogła się rozebrać. A ponieważ wiedziała, że tego nie zrobi, rozbierała się, by powiedzieć nam o swoim smutnym a nieziszczalnym pragnieniu rozebrania się. Ona się nie rozbierała, ona śpiewała o tym, że się rozbiera, o tym, że nie może się rozebrać, że nie może się kochać, że nie może żyć! Ale myśmy nawet tego nie chcieli wysłuchać i siedzieliśmy z obojętnie spuszczoneymi głowami.

- Ach, ty romantyczny dziwkarzu! Pan rzeczywiście wierzy, że ona chciała umrzeć? - krzyknął ordynator.

- Niech pan sobie przypomni - rzekł Havel - jak w czasie tego swojego tańca mówiła do mnie: „Ja jeszcze żyję! Na razie wciąż jeszcze żyję!” Pamięta pan? Od chwili kiedy zaczęła tańczyć, wiedziała już, co zrobi.

- Ale dlaczego chciała umrzeć naga, co? Jakie na to ma pan wytłumaczenie?

- Chciała paść w objęcia śmierci, tak jak się pada w ramiona kochanka. Dlatego rozebrała się, uczesała, umalowała...

- I dlatego zostawiła otwarte drzwi, co? Niech pan sobie nie wmawia, że ona naprawdę chciała umrzeć!

- Może nie wiedziała dokładnie, czego chce. A pan? Czy pan wie, czego chce? Kto z nas to wie? Chciała i nie chciała. Całkiem szczerze pragnęła umrzeć, ale jednocześnie (tak samo szczerze) chciała zatrzymać ten stan ducha, kiedy była w pół kroku prowadzącego do śmierci i kiedy ten krok sprawiał, że czuła się wielka. Oczywiście, nie marzyła o tym, żebyśmy ją zobaczyli, kiedy będzie już całkiem posiniała, cuchnąca i zeszpecona. Chciała, żebyśmy ją zobaczyli w całej krasie, jak odpływa w swoim pięknym i niedocenionym ciele, by oddać się śmierci. Chciała, abyśmy chociaż w tej tak doniosłej chwili pozazdrościli śmierci tego ciała i zapragnęli go.

## **Teoria lekarki**

- Drodzy panowie - odezwała się teraz lekarka, która dotąd milczała i uważnie przysłuchiwała się obydwóm lekarzom. - O ile mogę to osądzić jako kobieta, obaj mówiliście logicznie. Wasze teorie jako takie były przekonujące i podziwiam waszą głęboką znajomość życia. Ale posiadają one jeden drobny mankament. Nie ma w nich ani źdźbła prawdy. Ponieważ Elżbieta nie chciała popełnić samobójstwa. Ani prawdziwego, ani na pokaz. Żadnego.

Lekarka delektowała się przez chwilę efektem swoich słów, po czym mówiła dalej:

- Drodzy panowie, zalatuje od was nieczystym sumieniem. Kiedy wracaliśmy z interny, ominęliśmy pokój Elżbiety. Nie chcieliście go już nawet widzieć. Ale ja dobrze go obejrzałam, kiedy robiliście Elżbiecie sztuczne oddychanie. Na kuchence stał czajnik. Elżbieta zapaliła gaz, a potem usnęła. Woda wykłapała i zalała płomień.

Obydwaj lekarze pospieszyli wraz z lekarką do pokoju Elżbiety, i rzeczywiście, na kuchence stał mały imbryczek i zostało w nim nawet jeszcze trochę wody.

- Ale dlaczego ona była naga? - dziwił się ordynator.



- Spójrzcie - rzekła lekarka wskazując trzy kąty pokoju: na podłodze pod oknem leżała jasnoniebieska sukienka, z góry, z białej szafki, zwisał biustonosz, a w przeciwnym kącie na ziemi poniewierały się białe majtki.

- Elżbieta rzucała swoje ubranie na wszystkie strony, co świadczy o tym, że przynajmniej sama dla siebie chciała urządzić strip-tease, na który pan, przezorny panie ordynatorze, nie pozwolił.

Kiedy była już nago, poczuła się zapewne zmęczona. Psuło to jej plany, ponieważ absolutnie nie zrezygnowała z nadziei związanych z tą nocą. Wiedziała, że my wszyscy się rozejdziemy, a Havel zostanie tu sam. Przecież dlatego prosiła o jakieś proszki pobudzające. Chciała zaparzyć sobie kawę i postawiła czajnik z wodą na gazie. Potem znowu przyjrzała się swemu ciału i to ją podnieciło. Drodzy panowie, Elżbieta w porównaniu z nami wszystkimi miała jeden plus: widziała siebie, ale nie widziała własnej twarzy. Była więc w swoim przekonaniu absolutnie piękna. Roznamiętniło ją to i podniecona położyła się na tapczanie. Ale sen ogarnął ją szybciej niż rozkosz.

- Oczywiście - przypomniało się teraz Havlowi. - Ja przecież dałem jej proszki nasenne.

- To do pana podobne - rzekła lekarka. - No więc jak, jeszcze coś jest tu dla pana niejasne?

- Tak - powiedział Havel. - Niech pani sobie przypomni, co mówiła: „Ja jeszcze nie umieram! Ja żyję! Na razie wciąż jeszcze żyję!” I te jej ostatnie słowa. Powiedziała je z takim patosem, jakby to było pożegnanie: „Gdybyście wiedzieli. Ale wy nic nie wiecie. Nic.”

- Ależ, kolego - rzekła lekarka. - Nie wie pan, że dziewięćdziesiąt procent gadania to brednie? Czy pan najczęściej nie mówi ot tak tylko, żeby mówić?

Rozmawiali jeszcze przez chwilę, po czym wszyscy troje wyszli przed pawilon; ordynator i lekarka podali rękę Havlowi, po czym się oddalili.

## Nocą płynęły fale zapachów

Flajszman dotarł wreszcie do uliczki na przedmieściu, gdzie mieszkał wraz z rodzicami w jednorodzinnym domku stojącym w ogrodzie.

Otworzył furtkę, ale nie poszedł dalej do drzwi, tylko usiadł na ławce, nad którą pięły się róże, troskliwie pielęgnowane przez jego matkę.

Letnią nocą płynęły fale kwiatnych woni, a słowa „winien”, „egoizm”, „kochany”, „śmierć” nabrzmiewały w piersi

Flajszmana i napępniały go wzniosłą błogością, tak że miał uczucie, iż na plecach wyrastają mu skrzydła.

W przyptywie melancholijnego szczęścia uświadomił sobie, że jest kochany jak jeszcze nigdy dotąd. To prawda, już kilka kobiet okazało mu swoje względy, ale postanowił być wobec siebie lodowato trzeźwy: czy zawsze była to miłość? Czy nigdy nie ulegał złudzeniom, czy nigdy nie wmawiał sobie więcej, niż było naprawdę? Choćby Klara - czy rzeczywiście nie była bardziej wyrachowana niż zakochana? Czy istotnie nie zależało jej bardziej na mieszkaniu, o które się dla niej starał, niż na nim samym? W świetle czynu Elżbiety wszystko blade.

W powietrzu przepływały same wielkie słowa, a Flajszman mówił sobie, że miłość ma tylko jedną miarę, a tą miarą jest śmierć. Prawdziwa miłość kończy się śmiercią, i tylko ta miłość, która kończy się śmiercią, jest miłością.

W powietrzu płynęły fale zapachów, a Flajszman zadawał sobie pytanie: czy w ogóle ktoś jeszcze będzie go kochał tak jak ta nieładna kobieta?

Czym jest piękno lub brzydota wobec miłości? Czym jest brzydka twarz wobec uczucia, w którego wielkości odzwierciedla się sam absolut?

(Absolut? Tak. Był to chłopiec od niedawna dopiero rzucony w pełen zagadek świat dorosłych. I choćby nie wiadomo jak uganiał się za dziewczętami, to przede wszystkim szukał kojących objęć, objęć bezkresnych, niezmiernych, które wykupiłyby go z piekielnej relatywności świeżo odkrytego świata.)

# AKT CZWARTY

## Powrót lekarki

Doktor Havel od dłuższej już chwili leżał na tapczanie, przykryty lekkim wełnianym kocem, kiedy usłyszał stukanie do okna.

W świetle księżycy ujrzał twarz lekarki. Otworzył okno i zapytał:

- Co tam?

- Niech mnie pan wpuści - rzekła lekarka i skierowała się w stronę drzwi prowadzących do budynku.

Havel zapiął rozpięte guziki koszuli i westchnąwszy wyszedł z pokoju.

Kiedy uchylił drzwi pawilonu, lekarka bez słowa wyjaśnienia weszła do środka i dopiero gdy w pokoju lekarskim usadowiła się w fotelu naprzeciw Havla, zaczęła się tłumaczyć, że w żaden sposób nie była w stanie dojść do domu; dopiero teraz czuje, jaka jest zdenerwowana, nie mogłaby w ogóle zasnąć i prosi Havla jeszcze o chwilę rozmowy, by się trochę uspokoić.

Havel nie wierzył w ani jedno słowo z tego, co mówiła, i był na tyle nieuprzejmy (czy też nieostrożny), że można to było wyraźnie wyczytać z jego twarzy.

Lekarka zatem ciągnęła dalej:

- Pan mi oczywiście nie wierzy, ponieważ jest pan przekonany, że przyszedłem tu jedynie po to, by się z panem przespać.

Doktor zrobił przeczący gest, ale lekarka nie ustępowała:

- Ty zarozumiały don Juanie. Naturalnie. Każda kobieta, która pana ujrzy, nie myśli o niczym innym. A pan niechętnie i ze znużeniem wypełnia swoją smutną misję.

Havel ponownie wykonał przeczący gest, ale lekarka zapaliwszy papierosa i nonszalancko wypuszczając kółko dymu, ciągnęła dalej:

- Biedny don Juan. Niech się pan nie boi, nie przyszedłem, by się panu narzucać. To bzdura, że pan jest niczym śmierć. To tylko bon mot naszego drogiego ordynatora. Wcale nie bierze pan wszystkiego, bo nie każda panu na to pozwala. Zaręczam panu, że ja na przykład jestem na pana całkowicie immunizowana.

- Czy przyszła pani po to, żeby mi to powiedzieć?

- Może i po to. Przyszedłem, żeby pana pocieszyć, że wcale nie jest pan niczym śmierć. I że ja na przykład za nic bym się panu wziąć nie dała.

## Moralność Havla

- To ładnie z pani strony - rzekł Havel - że nie pozwoliłaby pani na to i że przyszła mi to pani powiedzieć. Bo ja rzeczywiście wcale nie jestem niczym śmierć. Nie tylko nie biorę Elżbiety, ale nawet na panią bym się nie skusił.

- O! - zdziwiła się lekarka.

- Nie chcę przez to powiedzieć, że pani mi się nie podoba. Raczej wprost przeciwnie.  
- No właśnie - rzekła lekarka.  
- Tak, bardzo mi się pani podoba.  
- Więc czemu by się pan na mnie nie skusił? Dlatego, że ja sama na pana nie leczę?  
- Nie, myślę, że to nie ma z tym nic wspólnego.  
- No więc dlaczego?  
- Jest pani przyjaciółką ordynatora.  
- No i?  
- Ordynator jest o panią zazdrosny. Byłoby mu przykro.  
- Pan ma opory natury moralnej? - roześmiała się lekarka.  
- Widzi pani - rzekł Havel - miałem w życiu dość dużo przygód z kobietami. To nauczyło mnie cenić sobie męską przyjaźń. Tego rodzaju związki, nie splamione głupotą erotyzmu, są jedyną prawdziwą wartością, jaką w życiu poznałem.  
- Uważa pan ordynatora za swego przyjaciela?  
- Bardzo wiele dla mnie zrobił.  
- Dla mnie na pewno więcej - zauważyła lekarka.  
- Możliwe, ale tu nie chodzi przecież o wdzięczność. Po prostu lubię go. To świetny facet. I zakochany w pani. Gdybym w jakikolwiek sposób zabiegał o pani względy, musiałbym uważać się za łajdaka.

#### Szkalowanie ordynatora

- Nie sądziłam - rzekła lekarka - że usłyszę od pana tak płomienną odę na cześć przyjaźni. Zaczynam pana widzieć w zupełnie nowym, nieoczekiwanym świetle. Nie tylko posiada pan (wbrew wszelkim oczekiwaniom) zdolność uczuć, ale ofiarowuje pan je (jakież to wzruszające) starszemu, nieciekawemu, łysemu człowiekowi, interesującemu jedynie przez swoją śmieszność. Czy pan go dzisiaj obserwował? Jak on bez przerwy się przechwala? Wciąż usiłuje udowodnić coś, w co nikt mu nie wierzy: po pierwsze chce dowiedzieć, że jest dowcipny. Zauważył pan? Bez przerwy gadał, zabawiał towarzystwo, rzucał błyskotliwe powiedzonka, doktor Havel jest jak śmierć, wymyślał różne paradoksy na temat nieszczęścia swego szczęśliwego małżeństwa (jakbym nie słyszała już tego z pięćdziesiąt razy), starał się robić balona z Flajszmana (jakby do tego w ogóle potrzebny był dowcip).

Po drugie stara się pokazać, że jest koleżeński. W rzeczywistości nie lubi oczywiście nikogo, kto ma włosy na głowie, ale tym bardziej się stara. Pochlebiał panu, pochlebiał mnie, był po ojcowsku czuły wobec Elżbiety, i nawet z Flajszmana nabijał się na tyle ostrożnie, żeby Flajszman się w tym nie połapał.

A po trzecie, i to najbardziej stara się dowiedzieć, jaki to z niego podrywacz. Rozpaczliwie usiłuje przesłonić siebie

obecnego sobą dawnym, kimś, kto niestety już nie istnieje i kogo nikt z nas nie pamięta. Zauważył pan chyba, jak zręcznie wyciągnął tę historię z kurewką, która go odtrąciła, po to tylko, żeby przy tej okazji mógł wywołać przed naszymi oczyma swój młodzieńczy, urzekający obraz i przesłonić nim tę żalostną łysinę.

## Obrona ordynatora

- To wszystko, co pani mówi - rzekł Havel - jest niemal prawdą. Ale, widzi pani, jednocześnie dostarcza mi to nowych motywów do mojej sympatii w stosunku do ordynatora, ponieważ to wszystko jest mi bliższe, niż pani sądzi. Dlaczegoż miałbym drwić z łysin, która i mnie nie minie? Dlaczegoż miałbym śmiać się z jego upartego dążenia do tego, żeby nie być tym, kim jest?

Stary człowiek albo godzi się z faktem, że jest tym, czym jest, z owym żalnym ubytkiem samego siebie, albo też się nie godzi. Ale co ma robić, jeśli się z tym nie pogodził? Nie pozostaje mu nic innego, jak tylko udawać, że jest kimś innym. Nie pozostaje mu nic poza męczącym udawaniem tego wszystkiego, co już nie istnieje, co przypadło; musi zmyślać, stwarzać i demonstrować swój humor, witalność, koleżeńskość. Wywoływać swój młodzieńczy obraz i starać się z nim utożsamić, zastąpić nim siebie obecnego. W tej komedii, którą gra ordynator, widzę samego siebie, swoją własną przyszłość. O ile oczywiście będę miał dość siły, by oprzeć się rezygnacji, która na pewno jest większym złem niż ta żalna komedia.

Być może trafnie rozszyfrowała pani ordynatora, ale lubię go teraz tym bardziej i nigdy nie mógłbym wyrzucić mu krzywdy, z czego wynika, że nigdy nie może być nic między mną a panią.

## **Odpowiedź lekarki**

- Kochany doktorze - odparła lekarka - dzieli nas mniej, niż pan sądzi. Przecież ja też go lubię. Przecież i mnie go żal, tak samo jak panu. A powodów do wdzięczności mam wobec niego więcej niż pan. Gdyby nie on, nie miałabym tu tak dobrej posady (wie pan przecież o tym, wszyscy o tym wiedzą aż za dobrze!) Myśli pan, że ja go wodzę za nos? Że go zdradzam? Że mam innych kochanków? Z jakąż rozkoszą każdy by mu o tym doniósł! Nie chcę wyrzucić krzywdy ani jemu, ani sobie i dlatego jestem bardziej skrupowana, niż może pan sobie wyobrazić. Jestem skrupowana całkowicie. Ale cieszę się, że my dwoje doszliśmy teraz do porozumienia. Ponieważ pan jest jedynym człowiekiem, z którym mogę sobie pozwolić na niewierność wobec ordynatora. Bo pan rzeczywiście go lubi i nigdy by go nie skrzywdził. Pan zachowa absolutną dyskrecję. Na panu mogę polegać. Panu mogę się oddać...

Po czym usiadła Havlovi na kolanach i zaczęła rozpinać guziki jego koszuli.

## **Co zrobił doktor Havel?**

Też mi pytanie..

# AKT PIĄTY

## W imię szlachetności

Po nocy przyszedł ranek, Flajszman wyszedł do ogrodu i naciął róż. Potem pojechał tramwajem do szpitala.

Elżbieta leżała w separacie na oddziale wewnętrznym. Flajszman usiadł przy jej łóżku, położył bukiet róż na nocnym stoliku i ujął jej rękę, by zbadać puls.

- No i co, lepiej się pani czuje?

- A tak - rzekła Elżbieta.

- Nie powinna była pani robić takich głupstw, maleńka - powiedział Flajszman tkliwie.

- No tak - rzekła Elżbieta. - Ale kiedy ja zasnąłam. Postawiłam wodę na gaz i zasnąłam jak głupia.

Flajszman wlepił w Elżbietę tępy wzrok, takiej szlachetności bowiem nie oczekiwał: Elżbieta nie chciała go obarczać wyrzutami sumienia, nie chciała go obarczać swoją miłością i dlatego się jej zaparła.

Pogładził ją po policzku i porwany uczuciem zaczął jej mówić „ty”.

- Ja wszystko wiem. Nie musisz kłamać. Ale dziękuję ci za to kłamstwo.

Wiedział, że takiej godności, poświęcenia i delikatności nie znajdzie w żadnej innej kobiecie, i ogarnęła go przemożna chęć, by ulec fali szaleństwa i poprosić Elżbietę, by została jego żoną. W ostatniej chwili opanował się jednak (na oświadczyni i ślub zawsze jest dość czasu) i powiedział tylko tyle:

- Elżbieto, Elżbieto, moja maleńka. Te róże przyniosłem dla ciebie.

Elżbieta spojrzała tępym wzrokiem na Flajszmana i zapytała:

- Dla mnie?

- Tak, dla ciebie. Bo jestem szczęśliwy, że jestem tu z tobą. Bo jestem szczęśliwy, że w ogóle jesteś, Elżbietko.

Możliwe, że cię kocham. Możliwe, że bardzo cię kocham. Ale właśnie dlatego będzie chyba lepiej, jeśli wszystko zostanie między nami tak, jak jest. Być może kobieta i mężczyzna są sobie bliżsi, jeśli z sobą nie żyją i tylko wiedzą o sobie, że są, i są sobie wdzięczni za to, że są i że o sobie wiedzą. I do szczęścia właśnie to im wystarcza. Dziękuję ci, Elżbietko, dziękuję że jesteś.

Elżbieta nic nie rozumiała, ale na jej twarzy rozlewał się błogi, głupawy uśmiech, pełen nieokreślonego szczęścia i niejasnej nadziei.

Flajszman wstał, ścisnął Elżbietę za ramię (na znak dyskretnej, powściągliwej miłości) odwrócił się i wyszedł.

## Nie ma nic pewnego

- Nasza urocza koleżanka, która dzisiaj promienieje wręcz młodością, dała chyba najtrafniejsze wyjaśnienie całego wypadku - rzekł ordynator zwracając się do lekarki i Havla,

kiedy wszyscy troje spotkali się na oddziale. - Elżbieta gotowała wodę na kawę i zasnęła. Przynajmniej sama tak twierdzi.

- No widzi pan - rzekła lekarka.

- Nic nie widzę - zaprotestował ordynator. - Nikt w końcu nie wie, jak było naprawdę.

Czajnik mógł stać na kuchence już przedtem. Po cóż Elżbieta miałaby go odstawić, kiedy chciała otworzyć gaz?

- Ale przecież ona sama tak to tłumaczy - oświadczyła lekarka.

- Skoro urządziła nam wystarczające przedstawienie i wystarczająco nas nastraszyła, to czemuż by nie miała w końcu zwalić wszystkiego na czajnik? Niech pani nie zapomina, że samobójców posyła się w tym kraju na leczenie do domu wariatów. A nikt nie ma ochoty tam jechać.

- Uczepił się pan tego samobójstwa - rzekła lekarka. Ordynator roześmiał się:

- Chciałbym kiedyś solidnie obciążyć sumienie Havla.

## Pokajanie Havla

Nieczyste sumienie Havla uchwyciło w słowach ordynatora zaszyfrowany wyrzut, tajnie skierowany doń prosto z niebios, toteż powiedział:

- Szef ma rację. Nie musiała to być próba samobójstwa, ale mogła. Zresztą, jeśli mam być szczery, nie brałbym tego za złe Elżbiecie. Niech mi pan powie, co stanowi w życiu aż taką wartość, żeby wobec niej uważać samobójstwo za rzecz absolutnie zdrożną? Miłość? Albo przyjaźń? Ręczę panu, że i przyjaźń nie jest ani trochę bardziej pewna niż miłość i że nic nie można na niej budować. A może miłość samego siebie? Żeby chociaż to! Szefie - Havel mówił teraz niemal w uniesieniu, a brzmiało to jak pokajanie - szefie, przysięgam panu, że wcale siebie nie kocham.

- Drodzy panowie - rzekła lekarka z uśmiechem - jeśli to uczyni dla was świat piękniejszym i zapewni zbawienie waszym duszom, to proszę was, umówimy się, że Elżbieta naprawdę chciała popełnić samobójstwo. Zgodna?

Happy end

- Bzdura - machnął ręką ordynator - dajcie temu spokój. Pan, Havle, niechaj nie kłała swoim gadaniem tego pięknego poranka! Jestem o piętnaście lat starszy od pana. Mam pecha, że moje małżeństwo jest idealne, ponieważ nigdy nie będę mógł się rozwieść. I kocham się nieszczęśliwie, ponieważ kobietą, którą darzę uczuciem, jest niestety ta właśnie nasza koleżanka. A mimo to świat wydaje mi się piękny, ty mądralo!

- Słusznie! Słusznie! - powiedziała lekarka i z niesłychaną czułością ujęła ordynatora za rękę. - Mnie też świat wydaje się piękny.

W tym momencie do trójki lekarzy zbliżył się Flajszman.

- Byłem u Elżbiety - powiedział. - To kobieta niezwykłej szlachetności. Wszystkiemu zaprzeczyła. Wszystko wzięła na siebie.

- No proszę - roześmiał się ordynator. - A Havel zawraca nam tu głowę samobójstwem!

- Tak - rzekła lekarka i podeszła do okna. - Znowu będzie piękny dzień. Na dworze jest tak błękitnie. Co pan na to, Flajszmanku?

Jeszcze przed chwilą Flajszman robił sobie niemal wyrzuty, że zachował się tak po cwaniacku, kiedy załatwił całą sprawę bukietem róż i paroma gładkimi słówkami, ale teraz był zadowolony, że się nie pokwapił.

Usłyszał sygnał lekarki i świetnie go zrozumiał. Nić przygody nawiązała się w miejscu, gdzie została wczoraj zerwana, kiedy to jego spotkanie z lekarką udaremnił gaz. Nie mógł się powstrzymać, by nie uśmiechnąć się do niej na oczach zazdrosnego ordynatora.

Historia zatem toczy się dalej od miejsca, w którym się wczoraj skończyła, a jednak Flajszmanowi się wydaje, że wchodzi w nią teraz o wiele starszy i o wiele silniejszy. Ma za sobą miłość potężną jak śmierć. Pierś mu wezbrała, a był to najpiękniejszy i największy „podmuch”, jaki dotychczas przeżył. Albowiem tym, co tak słodko rozdymało jego piersi, była śmierć; śmierć jemu podarowana, cudowna, krzepiąca śmierć.



# Niechaj dawno zmarli ustąpią miejsca świeżo zmarłym



**1** Wracał do domu ulicą małego czeskiego miasteczka, gdzie mieszkał od kilku już lat pogodzony z niezbyt urozmaiconym życiem, rozplotkowanymi sąsiadami i monotonnym prostactwem otaczającym go w pracy, a szedł tak dalece nie zwracając na nic uwagi (jak chodzi się przemierzoną już sto razy drogą), że niemal ją wyminął. Za to ona poznała go już z daleka i, idąc mu naprzeciw, patrzyła na niego z łagodnym uśmiechem, który dopiero w ostatniej chwili, kiedy się już prawie minęli, dotarł do systemu sygnalizacyjnego jego pamięci i wyrwał go ze stanu odrętwienia.

- Nie poznałem pani! - usprawiedliwiał się, ale było to głupie usprawiedliwienie, ponieważ z miejsca narzuciło im kłopotliwy temat, którego należało raczej unikać: nie widzieli się piętnaście lat i oboje się przez ten czas postarzeli.

- Tak bardzo się zmieniłam? - zapytała, a on odparł, że nie, i chociaż to było kłamstwo, nie było to kłamstwo całkowite, ponieważ ów łagodny uśmiech (wyrażający w sposób nieśmiały i powściągliwy zdolność do jakiegoś wiecznego zachwyty) powracał tu z oddali wielu lat zupełnie niezmieniony i wprowadzał go w zakłopotanie: wywoływał bowiem przed nim tak wyraźnie dawny obraz tej kobiety, że musiał dokonać pewnego wysiłku, żeby go wyrwać z myśli

i widzieć ją taką, jaka była w tej chwili: była to już niemal stara kobieta.

Zapytał, dokąd idzie i jakie ma plany, a ona wyjaśniła, że miała tu coś do załatwienia i że teraz pozostaje jej tylko czekać na pociąg, którym wieczorem powróci do Pragi. Wyraził radość z ich nieoczekiwanego spotkania, a że stwierdzili zgodnie (i nie bez podstaw), że tutejsze kawiarnie są zatłoczone i brudne, zaprosił ją do swojej kawalerki, która znajdowała się niedaleko, a w której była kawa, herbata... a przede wszystkim czystość i spokój.

**2** Był to dla niej już od samego początku niedobry dzień. Jej mąż (minęło już dwadzieścia pięć lat, od czasu kiedy mieszkała tu z nim przez krótki okres zaraz po ślubie, by potem przenieść się do Pragi, gdzie zmarł dziesięć lat temu) pochowany był - dzięki dziwacznemu życzeniu w swoim testamencie - na tutejszym cmentarzu, opłaciła więc grób za dziesięć lat z góry, ale parę dni temu przestraszyła się, że termin upłynął, a ona zapomniała go przedłużyć. Z początku chciała napisać do zarządu tutejszego cmentarza, ale potem uświadomiła sobie, że korespondencja z urzędami ciągnie się bez końca i nic nie daje, i przyjechała na miejsce.

Drogę na grób męża знаła na pamięć, a jednak miała dzisiaj uczucie, jakby była na tym cmentarzu po raz pierwszy. Nie mogła odnaleźć grobu i wydawało jej się, że zabłądziła.

Zrozumiała dopiero po chwili: tam gdzie znajdował się pomnik z szarego piaskowca z wyrytym złotymi literami nazwiskiem jej męża, dokładnie w tym samym miejscu (poznała nieomylnie sąsiednie groby) stał teraz pomnik z czarnego marmuru z zupełnie innym nazwiskiem, wyrytym połączanymi literami.

Zdenerwowana udała się do zarządu cmentarza. Tam powiedziano jej, że po upływie terminu opłaty groby zostają automatycznie zlikwidowane. Wyrzucała im, że nie zawiadomiono jej wcześniej, iż powinna termin przedłużyć, ale odpowiedzieli, że na cmentarzu jest mało miejsca i że dawno zmarli muszą ustąpić miejsca świeżo zmarłym. Rozgoryczyło ją to i powstrzymując się od płaczu powiedziała im, że to nieludzkie, że nie wiedzą, co to szacunek dla człowieka, ale potem zrozumiała, że ta rozmowa do niczego nie prowadzi. Tak jak nie mogła zapobiec śmierci swego męża, tak samo bezbronna jest wobec jego drugiej śmierci, tej śmierci „dawno zmarłego”, który nie ma prawa istnieć już nawet jako zmarły.

Poszła do miasta, a do jej żalu zaczęła się szybko wkradać bojaźliwa trwoga, jak wytłumaczy swojemu synowi zniknięcie grobu ojca, jak usprawiedliwi przed nim swój brak pamięci. Wreszcie ogarnęło ją uczucie zmęczenia: nie wiedziała, jak zabić masę czasu do odjazdu pociągu, ponieważ nikogo tu już nie знаła, nawet do sentymentalnej przechadzki nic ją tu nie kusilo, miasto bowiem zanadto zmieniło się przez te lata, a znajome niegdyś miejsca zwracały ku niej teraz zupełnie obcą twarz. Toteż z wdzięcznością przyjęła zaproszenie starego znajomego (na wpół zapomnianego), którego niespodziewanie spotkała: mogła umyć się w łazience i usiąść potem w miękkim fotelu (bolały ją nogi), rozglądać się po pokoju i słuchać, jak za parawanem oddzielającym kuchenny kącik od pokoju, bulgoce woda nastawiona na kawę.

**3** Niedawno ukończył trzydzieści pięć lat i w tym właśnie czasie stwierdził, że bardzo wyraźnie przerzedziły mu się włosy na ciemieniu. Nie była to jeszcze zdecydowana łysina, ale można było już ją sobie wyobrazić (przez włosy przeświecała skóra), a co najważniejsze, nie było wątpliwości, że pojawi się na pewno, i to już niezadługo. To doprawdy śmieszne - robić z rzednących włosów problem życiowy, on jednak zdawał sobie sprawę, że wraz z łysiną zmieni się jego twarz, że zatem życie jednej jego postaci (i to z pewnością tej lepszej) zbliża się ku końcowi.

I nasunęła mu się refleksja, jaki też właściwie jest bilans owej jego odchodzącej (zdobnej w czuprynę) postaci, co właściwie przeżyła i użyła, i oszołomiło go uświadomienie sobie, że prawdę mówiąc przeżyła bardzo niewiele; kiedy O tym pomyślał, poczuł, że się czerwieni; tak, było mu wstyd: bo żyć na świecie tak długo i przeżyć tak mało - to hańba.

Co właściwie miał na myśli, mówiąc sobie, że przeżył mało? Czy myślał o podróżach, pracy, działalności społecznej, sporcie, kobietach? Oczywiście, miał na myśli to wszystko,

przede wszystkim jednak kobiety, ponieważ, jeśli nawet w innych dziedzinach życie jego było ubogie, to martwiło go to wprawdzie, ale nie musiał poczytywać sobie tego za winę: nie był przecież winny temu, że jego praca była nieciekawa i pozbawiona perspektyw; nie był winny, że na podróże nie miał pieniędzy ani odpowiedniej ankiety personalnej; nie był w końcu winien temu, że kiedy miał dwadzieścia lat, pękła mu łękotka i musiał zrezygnować ze sportu, który tak lubił. Za to dziedzina kobiet była dla niego dziedziną względnej swobody, toteż tutaj nie miał się czym usprawiedliwić; tutaj mógł pokazać, kim jest, tutaj mógł ujawnić bogactwo swoich możliwości; kobiety stały się dla niego jedynym miarodajnym kryterium esencjonalności życia.

Ale pech polegał na tym, że właśnie z kobietami było coś nie tak: do dwudziestego piątego roku życia (choć był przystojnym chłopcem) paraliżowała go trema; potem zakochał się, ożenił i przez siedem lat przekonywał sam siebie, że w jednej kobiecie można znaleźć bezmiar erotyzmu; potem się rozwiódł, apologetyka monogamii (i iluzja bezmiaru) rozplynęła się, a jej miejsce zajęły chęć i odwaga wobec kobiet (wobec barwnej wymierności ich mnóstwa), na nieszczęście jednak mocno hamowane złą sytuacją finansową (musiał płacić ex-zonie alimenty na dziecko, które wolno mu było widywać raz lub dwa razy w roku) oraz stosunkami w małym miasteczku, w którym ciekawość sąsiadów jest równie bezgraniczna, jak wybór kobiet ograniczony.

Ale czas upływał już teraz bardzo szybko i oto nagle stał w łazience przed owalnym lustrem umieszczonym nad umywalką, w prawej ręce trzymał nad głową okrągłe lusterko i zafascynowany przyglądał się początkom swej łysiny; ten widok ujawnił mu nagle (bez przygotowania) banalną prawdę, że tego, co się zmarnowało, nie sposób nadrobić. Popadł w chronicznie zły humor i nachodziły go nawet myśli o samobójstwie. Oczywiście (a trzeba to podkreślić, żebyśmy nie widzieli w nim histeryka czy głupca) zdawał sobie sprawę z ich komizmu i wiedział, że nigdy ich nie zrealizuje (śmiał się w duchu z własnego listu pożegnalnego: Nie mogłem się pogodzić z łysiną. Żegnajcie), ale faktem jest, że go te myśli, choćby najbardziej platoniczne, jednak gnębiły. Postarajmy się go zrozumieć: odzywały się w nim tak, jak w maratończyku odzywa się nieposkromiona chęć, by zrezygnować z wyścigu, kiedy w czasie biegu stwierdzi, że musi haniebnie (i to jeszcze w dodatku z własnej winy, na skutek własnych błędów) przegrać. On również uważał swój wyścig za przegrany i nie chciało mu się biec dalej.

A teraz pochylał się nad małym stolikiem, stawiał jedną filiżankę kawy koło tapczana (gdzie sam potem usiadł), a drugą koło wygodnego fotela, w którym siedział jego gość, i myślał, że jest w tym jakaś wyjątkowa złośliwość losu, iż tę kobietę, w której był kiedyś po uszy zakochany i którą wówczas (z własnej winy, na skutek własnych błędów) utracił, spotyka w tej właśnie sytuacji, w czasie, kiedy nic się już nie da naprawić.

**4** Nigdy by nie odgadła, że w jego odczuciu jest ta, którą utracił; wciąż jeszcze pamiętała noc, jaką z sobą spędzili, pamiętała, jak wtedy wyglądał (miał dwadzieścia lat, nie umiał się ubierać, rumienił się i bawiła ją jego chłopięcość), i pamiętała samą siebie (miała wtedy prawie czterdzieści lat i jakaś tęsknota za pięknem popychała ją w ramiona obcych mężczyzn, ale jednocześnie od nich odpychała; zawsze bowiem wyobrażała sobie, że jej życie powinno przypominać piękny taniec, i bała się, by jej zdrady małżeńskie nie przeszły w ohydny nawyk).

Tak narzuciła sobie piękno, jak inni narzucają sobie moralne przykazania, i gdyby dojrzała we własnym życiu brzydotę, popadłaby w rozpacz. A ponieważ wiedziała, że po piętnastu latach musi wydawać się swojemu gospodarzowi stara (z całą brzydotą, jaka się z tym łączy), pragnęła czym prędzej przysłonić własną twarz wyimaginowanym wachlarzem, zarzuciła więc mężczyźną pospieszonymi pytaniami: pytała, w jaki sposób znalazł się w tym

mieście; pytała o jego pracę; chwaliła miłe wnętrze jego kawalerki, widok z okna na dachy domów (zaznaczyła, że nie jest to wprawdzie widok niezwykły, ale jest w nim szeroki oddech i poczucie wolności), wymieniła nazwiska kilku impresjonistów, autorów oprawnych w ramy reprodukcji (nie było to trudne, w mieszkaniach ubogich czeskich intelektualistów znajdziecie niechybnie zawsze te same reprodukcje), wreszcie wstała od stolika z nie dopitą kawą i pochyliła się nad małym biurkiem, na którym stało kilka fotografii (nie uszło jej uwagi, że nie było wśród nich żadnego zdjęcia młodej kobiety), i zapytała, czy stara twarz na jednym z nich jest podobizną jego. matki (przytaknął).

On także zapytał ją potem, co to znaczyło, kiedy potkawszy go powiedziała, że przyjechała tu załatwić „pewne sprawy”. Strasznie nie chciało jej się mówić o cmentarzu (tutaj, na piątym piętrze, czuła się nie tylko wysoko nad dachami, ale i jakoś przyjemnie wysoko ponad własnym życiem); kiedy jednak nalegał, wyznała w końcu (bardzo zwięźle, ponieważ bezwstyd skwapliwej szczerości był jej zawsze obcy), że mieszkała tutaj wiele lat temu, że jest tu pochowany jej mąż (o zlikwidowaniu grobu nie wspomniała) i że od dziewięciu lat co roku przyjeżdża tu z synem na Zaduszki.

**5** Co roku? To stwierdzenie przygnębiło go i znowu pomyślał, że jest w tym jakaś złośliwość losu; przecież gdyby był ją spotkał sześć lat temu, kiedy się tutaj sprowadził, wszystko dałoby się jeszcze uratować: starość nie wycisnęłaby na niej jeszcze takiego piętna, a jej postać nie różniłaby się tak bardzo od obrazu kobiety, którą kochał przed piętnastu laty; byłoby jeszcze w jego mocy zatrzeć tę odmienność i obydwa obrazy (dawny i obecny) widzieć jako jeden. Bo teraz beznadziejnie do siebie nie pasowały.

Dopiła kawę, mówiła, a on starał się określić dokładnie rozmiary zmian, jakie w niej zaszły i na skutek których traci ją po raz drugi: twarz i szyję pokrywały zmarszczki (na próżno usiłował je zasłonić wysoki kołnierzyk); policzki były obwisłe; włosy (ale to było niemal piękne!) posiwiały, najbardziej jednak fascynowały go jej ręce (tych, niestety, nie sposób upiększyć pudrem ani szminką); wystąpiły na nich błękitne siatki żył, tak że przypominały ręce mężczyzny.

Litość mieszała się w nim ze złością i miał ochotę zalać alkoholem niewczesność tego spotkania; zapytał ją, czy nie miałyby ochoty na koniak (w szafce za parawanem miał napoczętą butelkę); odmówiła, a jemu przypomniało się, że i przed laty prawie wcale nie piła, widać w obawie, by alkohol nie naruszył dystynkcji jej zachowania. Kiedy dostrzegł delikatny ruch ręki, którym odmawiała wypicia koniaku, uświadomił sobie, że ten urok wytworności, ten czar, ta łaskawość, które go zachwyciły, pozostały w niej niezmienione, choć ukryte pod maską starości, i wciąż jeszcze równie pociągające, choć zamknięte kratą.

Kiedy przyszło mu na myśl, że jest zakratowana starością, poczuł dla niej bezgraniczną litość i ta litość uczyniła mu ją bliską (tę tak niegdyś olśniewającą kobietę, przy której plątał mu się język); poczuł ochotę, by porozmawiać z nią jak przyjaciel z przyjaciółką, długo, w błękitnawej atmosferze melancholijnej rezygnacji. I rzeczywiście zaczął mówić (i mówił rzeczywiście długo), aż w końcu doszedł do swoich pesymistycznych myśli, które go w ostatnich czasach nawiedzały. Oczywiście, nie wspomniał o początkach łysiny (podobnie zresztą jak ona nie wspomniała o zburzonym grobie); widmo łysiny za to przeistoczyło się w jego wynurzeniach w quasi-filozoficzne sentencje - że czas upływa szybciej, niż człowiek nadąza żyć, że życie jest okropne, ponieważ wszystko naznaczone jest w nim nieuchronnością śmierci - i inne tego rodzaju złote myśli, na które u swojego gościa oczekiwał oddźwięku, ale się go nie doczekał.

- Nie lubię takich rozmów - powiedziała niemal porywczo. - To wszystko, co pan mówi, jest strasznie powierzchowne.

6 Nie lubiła rozmów o starości i śmierci, bo zawierały w sobie fizyczną brzydotę, której nie znosiła. Parokrotnie powtórzyła swemu gospodarzowi niemalże ze wzburzeniem, że jego poglądy są powierzchowne; przecież człowiek to coś więcej niż tylko ciało, które niszczy, najważniejsze jest przecież dzieło naszego życia, to, co człowiek pozostawia po sobie innym. Nie od dzisiaj broniła tego poglądu; po raz pierwszy dopomógł jej, kiedy piętnaście lat temu zakochała się w swoim przyszłym mężu, starszym od niej o dziewiętnaście lat; nigdy nie przestała go szczerze szanować (mimo wszystkich swoich zdrad, o których on zresztą albo nie wiedział, albo nie chciał wiedzieć) i starała się przekonać siebie samą, że intelekt i pozycja męża równoważą całkowicie balast jego lat.

- Jakie tam dzieło! Jakież my tu dzieło pozostawimy! - z gorzkim uśmiechem zaprotestował gospodarz.

Nie chciała uciekać się do przykładu zmarłego męża, choć mocno wierzyła w trwałą wartość wszystkiego, czego dokonał, powiedziała więc tylko, że każdy człowiek tworzy jakieś dzieło, choćby nawet najskromniejsze, i że na tym, i tylko na tym polega jego wartość; zaczęła teraz mówić o sobie, o tym, że pracuje w domu kultury na jednym z przedmieść Pragi, że organizuje odczyty i wieczory poezji, mówiła (z emfazą, która wydała mu się przesadna) o „tych wdzięcznych twarzach publiczności”, i zaraz przeszła do tego, jaka to cudowna rzecz mieć syna i widzieć, jak jej własne rysy (syn jest do niej podobny) przekształcają się w twarz mężczyzny, jakie to cudowne dać mu wszystko, co może dać matka synowi, a potem usunąć się cicho z jego życia.

Nie był to przypadek, że zaczęła mówić o synu, ponieważ przez cały dzień pojawiał się on dzisiaj w jej myślach i z wyrzutem przypominał poranną przykrą scenę na cmentarzu. To ciekawe: nigdy nie pozwoliłaby jakikolwiek mężczyzna narzucał jej swoją wolę, ale własny syn wziął ją mocno w rzy, sama nawet nie wiedziała, jak się to stało. Przykrość na cmentarzu zdenerwowała ją tak bardzo właśnie dlatego, że czuła się wobec niego winna i bała się jego wymówek. Od dawna już przeczuwała, że to, iż syn tak skrupulatnie pilnuje, by matka czciła pamięć ojca (przecież to właśnie on nalegał co roku na Zaduszki, aby jechać na jego grób), wypływało nie tyle z miłości do zmarłego, co raczej z chęci terroryzowania matki, utrzymania jej w granicach, jakie przystoją wdowieństwu; bo tak właśnie było, chociaż on nigdy nie wyraził tego słowami, a ona usiłowała (bez powodzenia) tego nie widzieć: wstrętem napelniała go myśl, że matka mogłaby mieć jeszcze jakieś życie seksualne, wstrętem napelniało go wszystko, co pozostało w niej (choćaby jako możliwość czy okazja) z seksu; a ponieważ pojęcie seksu łączy się z pojęciem młodości, wstrętem napelniała go cała młodość, jaką zachowała jeszcze matka; nie był już dzieckiem, a młodość matki (w połączeniu z agresywnością macierzyńskiej troskliwości) w przykry sposób wypaczała jego stosunek do młodości dziewcząt, którymi zaczął się interesować; chciał mieć starą matkę, tylko od takiej przyjmował czułość, tylko taką ją kochał. A ona, mimo że chwilami zdawała sobie sprawę, iż w ten sposób syn spycha ją do grobu, ulegała mu w końcu, kapitulowała pod jego naciskiem, a nawet idealizowała tę swoją kapitulację, wmawiając sobie, że piękno jej życia polega właśnie na cichym usunięciu się w cień cudzego życia. W imię tej idealizacji (bez której zmarszczki na twarzy gnębiłyby ją o wiele bardziej) wiodła teraz z tak nieoczekiwanym zacietrzewieniem spór ze swym gospodarzem.

Ale gospodarz pochylił się naraz nad małym stoliczkiem, który stał między nimi, poglądził jej dłoń i powiedział: - Proszę mi wybaczyć to, co mówiłem. Wie pani, że zawsze był ze mnie straszny głuptas.

**7** Ich sprzeczka nie zirytowała go, wprost przeciwnie, ta kobieta raz jeszcze potwierdziła w jego odczuciu swoją tożsamość; w jej proteście przeciwko pesymistycznym wywodom (czyż nie był to przede wszystkim protest przeciwko wszystkiemu, co brzydkie i

niesmaczne?) poznawał ją taką, jaką znał dawniej, i w ten sposób coraz mocniej wypełniał jego myśl jej dawny obraz i ich dawna historia, i teraz pragnął już tylko, by nic nie zmąciło owej błękitnej atmosfery tak bardzo sprzyjającej rozmowie (dlatego pogładził jej dłoń i nazwał siebie głuptasem), by mógł mówić jej o tym, co w tej chwili wydawało mu się najważniejsze: o ich wspólnej przygodzie; był bowiem przekonany, że przeżył z nią coś zupełnie wyjątkowego, czego ona nawet się nie domyślała, a do wyrażenia czego on będzie musiał z trudem szukać właściwych słów.

Nie przypomina już sobie nawet, jak ją poznał, zapewne gdzieś w towarzystwie swoich uniwersyteckich przyjaciół, ale ustronną praską kawiarenkę, gdzie po raz pierwszy znaleźli się we dwoje, pamięta doskonale: siedział naprzeciw niej w wybitym pluszem boksie, skrępowany i milczący, a jednocześnie zupełnie oszołomiony subtelnymi aluzjami, jakimi dawała mu do zrozumienia, że się jej podoba. Usiłował potem wyobrazić sobie (choć nie śmiał wierzyć w spełnienie tych wizji), jak by wyglądała, gdyby ją całował, rozbierał i pieścił, ale zupełnie mu się to nie udawało. Tak, to ciekawe: tysiące razy próbował wyobrazić ją sobie w akcie miłosnym, ale zawsze na próżno: jej twarz stale spoglądała na niego ze spokojnym, łagodnym uśmiechem, a on nie mógł (mimo najuporczywszych wysiłków wyobraźni) wykrzywić tej twarzy grymasem miłosnej egzaltacji. Wymykała się całkowicie jego wyobraźni.

Była to sytuacja, która nigdy już nie powtórzyła się więcej w jego życiu. Stał więc twarzą w twarz z niewyobrażalnym. Przeżywał widać ów króciutki okres (rajski okres), kiedy wyobraźnia nie jest jeszcze dostatecznie nasycona doświadczeniem, nie posiada rutyny, niewiele wie i niewiele umie, tak że istnieją dla niej rzeczy niewyobrażalne; a kiedy to, co niewyobrażalne, ma się zamienić w rzeczywistość (bez pośrednictwa tego, co wyobrażalne, bez pomocy obrazów), człowiek jest zaskoczony i doznaje zawrotu głowy. Takiego zawrotu doznał rzeczywiście, gdy po kilku dalszych spotkaniach, w czasie których na nic się nie zdecydował, zaczęła szczegółowo, z wymownym zainteresowaniem wypytywać o jego studencki pokój w akademiku, tak że zmusiła go niemal, by ją tam zaprosił.

Pokoik w domu akademickim, gdzie mieszkał razem z kolegą, który za kieliszek rumu obiecał mu, że wróci dopiero po północy, niewiele przypominał jego dzisiejszą kawalerkę: dwa żelazne łóżka, dwa krzesła, jedna szafa, jedna jaskrawa żarówka bez abażura, straszliwy bałagan. Posprzątała i o siódmej (do jej dystygowanego sposobu bycia należała punktualność) zapukała do drzwi. Był wrzesień i dopiero z wolna zaczynało się ściemniać. Usiedli na brzegu żelaznego łóżka i całowali się. Potem ściemniało się coraz bardziej, a on nie chciał zapalić światła, bo cieszył się, że go nie widać, i sądził, że ciemność zmniejszy jego zażenowanie, które ogarnie go, gdy się przy niej będzie rozbierał. (O ile jako tako potrafił rozpinać kobietom bluzeczki, sam w ich obecności rozbierał się ze wstydliwym pośpiechem). Tym razem jednak długo nie odważył się rozpiąć jej pierwszego guzika (wydawało mu się, że moment, w którym kobieta zaczyna się rozbierać, musi być poprzedzony jakąś wyszukaną, subtelną gradacją, którą znają jedynie mężczyźni doświadczeni, i bał się zdradzić ze swoim niedoświadczeniem), tak że w końcu ona sama wstała i zapytała z uśmiechem:

- Czy nie powinnam zrzucić tego pancerza?... - po czym zaczęła się rozbierać; było jednak ciemno i widział tylko cienie jej ruchów. Pośpiesznie sam również zrzucił ubranie, ale jaką taką pewnością siebie odzyskał, dopiero gdy (dzięki jej cierpliwości) zaczęli się kochać. Patrzył przy tym w jej twarz, ale w mroku całkowicie wymykał mu się jej wyraz, nie rozpoznawał nawet rysów. Żałował, że jest ciemno, ale wydawało mu się niemożliwością odejść od niej w tej chwili, by przekreślić kontakt przy drzwiach, nadal więc bezskutecznie wyteżał wzrok, ale nie poznawał jej, zdawało mu się, że kocha się z kimś innym, z kimś nieprawdziwym czy też absolutnie niekonkretnym i niezindywidualizowanym.

Potem usiadła na nim (i wtedy jednak widział tylko jej wyprostowany cień) i kołysząc biodrami mówiła coś słumionym głosem, szeptem, a przy tym nie było wiadomo, czy mówi

to do niego, czy sama do siebie. Nie rozróżniał słów, spytał ją więc, co mówi. Szeptala coś nadal, ale nawet potem, gdy ją znowu do siebie przygarnął, nic z tego nie mógł zrozumieć.

**8** Słuchała swego gospodarza i coraz bardziej zafrapowana była szczegółami, które dawno uleciały jej z pamięci: na przykład to, że chodziła wówczas w letnim jasnoniebieskim kostiumiku z lekkiego materiału, w którym wyglądała ponoć na anielsko nietykalną (tak, przypominała sobie ten kostium), że miała zatknięty we włosy duży kościany grzebień, który nadawał jej szlachetnie staromodny wygląd, że w kawiarni zamawiała zawsze herbatę z rumem (jej jedyny alkoholowy występ), a wszystko to w przyjemny sposób unosiło ją daleko od cmentarza, od zburzonego grobu, od obolałych stóp, od domu kultury i pełnych wyrzutu oczu syna. No proszę, przeleciało jej przez myśl, jakakolwiek bym dzisiaj była, to jeśli w tym człowieku żyje kawałek mojej młodości, nie żyłam na próżno; i natychmiast błysnęła jej myśl, że jest to nowe potwierdzenie jej własnych przekonań: wartość człowieka mieści się w tym, czym sam siebie przerasta, w tym, czym jest poza samym sobą, czym jest w innych i dla innych.

Słuchała go i nie protestowała, gdy od czasu do czasu gładził jej dłoń; ten tkliwy gest współgrał z tklwym nastrojem rozmowy i miał w sobie rozbrajającą nieokreśloność, (dla kogo jest przeznaczony? dla tej, o której się mówi, czy dla tej, do której się mówi?), zresztą ten, który gładził jej rękę, podobał się jej; pomyślała sobie nawet, że podoba jej się bardziej niż ów młodzieniaszek sprzed piętnastu lat, którego chłopięcość, o ile dobrze sobie przypomina, trochę ją męczyła.

Kiedy w swoim opowiadaniu doszedł aż do tego, jak wznosił się nad nim jej poruszający się cień i jak on na próżno starał się zrozumieć jej szept, umilkł na chwilę, a ona (naiwnie, jakby on te słowa znał i chciał jej po latach je przypomnieć niczym jakąś zapomnianą tajemnicę) spytała cicho:

- A co ja wtedy mówiłam?

**9** - Nie wiem - odparł.

Nie wiedział, wymknęła się wówczas nie tylko jego wyobraźni, ale i jego zdolności postrzegania; wymknęła się jego wzrokowi i słuchowi. Kiedy w akademickim pokoiku zapalił światło, była już ubrana, wszystko znowu było w niej gładkie, olśniewające, doskonałe, a on daremnie szukał związku między jej twarzą w świetle a twarzą, którą przed chwilą przeczuwał w ciemności. Tego dnia, zanim jeszcze zdążyli się rozstać, już usiłował ją sobie przypomnieć; próbował wyobrazić sobie, jak wyglądała jej (niewidziana) twarz i (niewidziane) ciało, kiedy się przed chwilą kochali. Ale na próżno; wciąż wymykała się jego wyobraźni.

Postanowił, że następnym razem muszą się kochać w pełnym świetle. Tylko że żadnego następnego razu już nie było. Zręcznie i taktownie unikała go od tego czasu, a jego opanowała niepewność i uczucie beznadziejności: pięknie się przecież kochali, chyba tak, ale wiedział, jaki okropny był przedtem, i wstydził się tego, czuł, że to jej unikanie go to wyrok, i nie miał już odwagi, by energiczniej zabiegać o jej względy.

- Niech mi pani powie, dlaczego mnie pani wtedy unikała?

- Mój Boże - powiedziała jak najczulszym głosem - to już tak dawno, czy ja wiem...

Kiedy jednak nalegał dalej, oświadczyła:

- Nie powinien pan stale wracać do przeszłości. Wystarczy, że tyle czasu musimy poświęcać jej wbrew swojej woli.

Powiedziała to tylko dlatego, żeby jakoś zbyć te jego nalegania (a ostatnie zdanie, wypowiedziane z lekkim westchnieniem, odnosiło się chyba do porannej, bytności na cmentarzu), ale on inaczej zrozumiał jej wypowiedź; jak gdyby miała mu ona gwałtownie i celowo uzmysłwić (ten oczywisty fakt), że nie istnieją dwie kobiety (dawniejsza i obecna), ale tylko jedna i wciąż ta sama, i że ta kobieta, która wymknęła mu się przed piętnastu laty, znajduje się tutaj, na wyciągnięcie ręki.

- Ma pani rację, terażniejszość jest ważniejsza - rzekł z wymownym naciskiem i utkwiał wzrok w jej twarzy, uśmiechającej się rozchylonymi ustami, w których białął rząd zębów; w tym momencie błysnęło mu wspomnienie: wtedy w studenckim pokoiku wzięła w usta jego rękę i ugryzła mocno, aż go zabolalo, a on przesuwając palce po całym wnętrzu jej ust i do dziś pamięta, że z jednej strony w głębi brakowało jej wszystkich górnych zębów (nie raziło go to wówczas, przeciwnie, ten drobny mankament był związany z jej wiekiem, który pociągał go i podniecał). Ale teraz, wpatrując się w szczelinę między zębami a kącikiem ust, widział, że jej zęby są olśniewająco białe i że żadnego nie brakuje, i zmroziło go to; dwa obrazy odlepiły się od siebie, ale on nie chciał przyjąć tego do wiadomości, chciał gwałtem, na siłę, zlepować je w jeden obraz i dlatego zapytał:

- Doprawdy nie ma pani ochoty na koniak?

A kiedy z wdzięcznym uśmiechem, lekko unosząc brwi, pokręciła głową, wyszedł za parawan, wyciągnął butelkę koniaku, przechylił ją do ust i zaczął szybko pić. Przyszło mu jednak na myśl, że oddech mógłby jej zdradzić jego potajemne machinacje, wziął więc dwa kieliszki i butelkę i wniósł do pokoju. Znowu pokręciła głową.

- No, chociaż symbolicznie - powiedział i napełnił oba kieliszki. Tracił się z nią:

- Żebym mówił już teraz o pani tylko w czasie terażniejszym!

Wychylił kieliszek, ona umoczyła wargi, siadł przy niej na brzegu fotela i ujął jej rękę.

**10** Idąc do jego kawalerki nie przeczuwała, że mogłoby A v dojść do takiego gestu, i w pierwszej chwili poczuła lęk; jak gdyby to jego dotknięcie nastąpiło wcześniej, nim zdążyła się na nie przygotować (ową permanentną gotowość, jaką ma kobieta dojrzała, dawno już zatraciła); w tym przestachu można by znaleźć coś wspólnego z przestachem młodej dziewczyny, którą pocałowano pierwszy raz; o ile bowiem dziewczyna jest jeszcze nie przygotowana, a ona już nie przygotowana, to owe już i jeszcze łączy ukryte pokrewieństwo, podobnie jak łączy dziwactwa starości i dzieciństwa. Pociągnął ją z fotela na tapczan, przycisnął do siebie, zaczął gładzić po całym ciele, a ona w jego rękach czuła się bezkształtnie miękka (tak, miękka, ponieważ jej ciało dawno już opuściła wszechmocna zmysłowość, nadająca wyczekującym mięśniom rytm skurczów i odprężeń i aktywność tysiąca delikatnych poruszeń).

Chwila przestachu jednak rozplynęła się bardzo szybko pod wpływem jego dotknięć, a ona, daleka od owej pięknej, dojrzałej kobiety, jaką była kiedyś, niezwykle szybko powracała teraz do jej postaci, do jej samopoczucia, świadomości, odnajdywała dawną pewność siebie kobiety doświadczonej erotycznie, a że było to uczucie dawno niezakosztowane, odczuwała je teraz intensywniej niż kiedykolwiek przedtem; jej ciało przed chwilą jeszcze zaskoczony, wylęknione, bierne, miękkie, ożyło, zaczęło odpowiadać na dotknięcia mężczyzny, a ona czuła świadomą zamierzoność własnych ruchów i napełniało ją to rozkoszą; te dotknięcia, sposób, w jaki przytulała twarz do jego ciała, delikatne poruszenia, którymi jej kibić odpowiadała na uścisk jego ramion, wszystko to odnajdywała nie jako rzecz jedynie wyuczoną, jako coś, co umie, a co teraz robi z chłodnym zadowoleniem, ale jako coś płynącego z głębi jej istoty, z czym w upojeniu i zachwyceniu się jednoczy, jakby to był jej własny, dobrze znany świat (świat piękna), który opuściła i do którego teraz triumfalnie powraca.



Jej syn był w tej chwili nieskończenie daleko; kiedy mężczyzna wziął ją w ramiona, obraz syna pojawił się ostrzegawczo w zakamarku jej myśli, ale szybko zniknął i na wielkiej bezkresnej przestrzeni zostali tylko ona i mężczyzna, który gładził ją i przytulał. Dopiero gdy dotknął ustami jej ust i chciał językiem rozewrzeć jej wargi, wszystko się naraz zawaliło; oprzytomniała. Mocno zacisnęła zęby (czuła gorzką obcość masy przywierającej do jej podniebienia i wydawało jej się, że ma jej pełne usta) i nie poddała mu się; odepchnęła go łagodnie i rzekła:

- Nie. Naprawdę, lepiej nie.

Gdy jednak dalej nastawał, ujęła go za przeguby obu dłoni i powtórzyła raz jeszcze, że nie; potem oświadczyła mu (mówienie przychodziło jej z trudem, ale wiedziała, że mówić musi, jeśli chce, by usłuchał), że za późno już dla nich na miłość, przypomniała mu swój wiek; jeśli będą się kochać, on nabierze do niej wstrętu, a ona będzie w rozpacz, ponieważ to, co opowiadał o nich dwojgu przed chwilą, było dla niej niezmiernie piękne i ważne; jej ciało jest śmiertelne i starzeje się, ale ona teraz już wie, że zostało z niego coś niematerialnego, co przypomina promień, który świeci, choć gwiazda już zgasła; cóż z tego, że się starzeje, skoro w kimś jej młodość zachowała się nietknięta.

- Wzniósł pan w sobie mój pomnik. Nie wolno nam dopuścić, by został zniszczony. Niechże mnie pan zrozumie - broniła się. - Nie wolno panu. Nie wolno.

**11** Zapewnił ją, że wciąż jeszcze jest piękna, że właściwie nic się nie zmieniło, że człowiek zawsze pozostaje ten sam, ale wiedział, że ją okłamuje, że to ona ma rację; znał przecież dobrze swoje przewrażliwienie we wszystkim, co dotyczyło miłości fizycznej, swój coraz bardziej pełen odrazy stosunek do zewnętrznych defektów kobiecego ciała, który w ostatnich latach popychał go ku coraz to młodszemu, a tym samym, z czego z goryczą zdawał sobie sprawę, coraz bardziej pustym i głupim kobietom: tak, nie ma wątpliwości: jeśli zmusi ją do miłości fizycznej, skończy się to uczuciem odrazy, a ta odraza zbrzyzga błotem nie tylko chwilę obecną, ale również obraz kochanej niegdyś kobiety, obraz przechowywany w pamięci niczym klejnot.

Wiedział to wszystko, ale były to tylko myśli, a myśli nic nie znaczą wobec pragnienia, które wiedziało tylko jedno: kobieta, której nieosiągalność i zagadkowość dręczyły go przez całych piętnaście lat, ta kobieta jest tutaj, nareszcie może na nią patrzeć w pełnym świetle, nareszcie z jej dzisiejszego ciała może odczytać jej dawne ciało, z jej obecnej twarzy tamtą twarz. Nareszcie może odczytać jej (nieuchwytną dla wyobraźni) miłosną mimikę i miłosny spazm.

Ujął ją za ramiona i spojrzał w oczy:

- Niech się pani nie broni. To nonsens, żeby się pani broniła.

**12** Ale ona kręciła głową, wiedziała bowiem, że to wcale X Zd nie nonsens, iż się broni, zna przecież mężczyzn i ich stosunek do kobiecego ciała, wie przecież, że najbardziej nawet płomienny idealizm w miłości nie odbierze ciała jego strasznego znaczenia; wciąż wprawdzie miała dość zgrabną figurę, która zachowała dawne proporcje, i - zwłaszcza w ubraniu - wyglądała zupełnie młodo, ale wiedziała, że gdy się rozbierze, ukaze się jej pomarszczona szyja, odsłoni się długa blizna po operacji żołądka, którą przeszła dziesięć lat temu.

I w miarę jak wracała jej świadomość obecnego wyglądu własnego ciała, świadomość, która przed chwilą odpłynęła, zaczęły podchodzić z dołu, z ulicy, w górę, ku oknu tego pokoju (aż dotąd wydawało się jej, że wznosi się on wystarczająco wysoko nad jej życiem) przykrości i troski dzisiejszego przedpołudnia, zapełniały ten pokój, siadały na szkle obrazów,

na fotelu, na stole, na filiżance po wypitej kawie, a ich korowód wiodła twarz jej syna; na widok tej twarzy zaczerwieniła się i cofnęła w popłochu w głąb siebie: naiwna, już chciała uciec z tej drogi, którą jej wytyczył i po której kroczyła dotychczas z uśmiechem i z wzniosłymi sentencjami, już, już chciała (choćby na chwilę) uciec, a teraz musi posłusznie zawrócić i przyznać, że to jedyna droga, która jej przystoi. Oczy syna tak były drwiące, że ze wstydem czuła, jak pod jego spojrzeniem kurczy się coraz bardziej, aż poniżona zamienia się w podłużną bliznę na własnym brzuchu.

Mężczyzna ujmował dłońmi jej ramiona i powtarzał:

- To nonsens, żeby się pani wzbraniała, a ona kręciła głową ale zupełnie mechanicznie, ponieważ przed oczyma miała nie jego twarz, ale twarz swego syna-wroga, którego nienawidziła coraz bardziej, w miarę jak czuła się coraz mniejsza i coraz bardziej poniżona. Słyszała, jak wyrzuca jej zniszczenie grobu ojca, i nagle z chaosu pamięci zupełnie alogicznie wyskoczyło zdanie, które z wściekłością rzuciła mu w twarz:

Dawno zmarli muszą ustąpić miejsca świeżo zmarłym, mój mały!

**13** Nie mógł mieć najmniejszych wątpliwości, że to naprawdę skończyłoby się uczuciem odrazy, przecież nawet samo spojrzenie na nią (spojrzenie badawcze i przenikliwe) nie było wolne od pewnego obrzydzenia, ale, dziwna rzecz, nie przeszkadzało mu to, ba, wręcz przeciwnie, drażniło go i podniecało, jakby pragnął to obrzydzenie odczuwać; pragnienie stosunku fizycznego było u niego bliskie chęci doznania odrazy; pragnienie, by odczytać wreszcie z jej dzisiejszego ciała to, czego tak długo nie wolno mu było poznać, mieszało się z pragnieniem, by to, co odczyta, natychmiast pokalać,

Skąd się to w nim wzięło? Ale czy zdawał sobie z tego sprawę, czy nie, nadarzyła mu się wyjątkowa okazja: kobieta, która się tu znajdowała, ucieleśniała wszystko to, czego nie posiadał, co go ominęło, co zmarnował, wszystko to, czego brak czynił tak bardzo nie do zniesienia jego obecny wiek, rzednące włosy i żałośnie ubogi bilans przeżyć; a on, czy zdawał sobie z tego sprawę, czy tylko mgliście to przeczuwał, mógł teraz wszystkie te rozkosze, których los mu odmówił, pozbawić znaczenia i barw (ta ich straszna barwność bowiem czyniła jego życie tak żałośnie bezbarwnym), mógł odkryć ich nicość, fakt, że są jedynie złudzeniem i marnością, że to jedynie proch, który coś udaje, mógł się na nich zemścić, upokorzyć je, unicestwić.

- Niech się pani nie broni - powtarzał i usiłował przyciągnąć ją do siebie.

**14** Wciąż miała przed oczami drwiącą twarz syna, a kiedy mężczyzna siłą przyciągnął ją do siebie, rzekła:

- Niech mnie pan puści na chwilę - i wywinęła się z jego objęć; nie chciała bowiem przerwać wątku myśli, która ją zaprzętała: dawno zmarli muszą ustąpić miejsca świeżo zmarłym, a pomniki nic nie są warte, także i jej pomnik, który ten człowiek tutaj czcił w duchu przez piętnaście lat, nic nie jest wart, i pomnik jej męża, tak, mój mały, wszystkie pomniki nic nie są warte, mówiła w duchu do syna i z mściwym zadowoleniem patrzyła, jak jego twarz marszczy się i krzyczy: Nigdy jeszcze tak nie mówiłaś, matko!

Tak, wiedziała, że nigdy nie mówiła w ten sposób, ale ta chwila pełna była światła, w którego blasku wszystko stawało się zupełnie inne.

Nie, nie ma powodu, dla którego miałyby dawać pomnikom pierwszeństwo przed życiem; jej własny pomnik ma dla niej tylko jedno znaczenie: może go w tej chwili wykorzystać dla swego ignorowanego ciała; mężczyzna, który siedzi obok niej, podoba jej się, jest młody i prawdopodobnie (ba, chyba na pewno) jest to ostatni mężczyzna, który jej się podoba, a którego przy tym może mieć, i tylko to jedno jest ważne; jeśli mu nawet potem

obrzydnie i on zburzy jej pomnik w swojej duszy, to nieważne, bo ten pomnik jest poza nią, tak samo jak poza nią są myśli i pamięć tego człowieka, a wszystko, co jest poza nią, jest nieważne.

Nigdy jeszcze nie mówiłaś w ten sposób, matko! - słyszała krzyk syna, ale nic ją to nie obchodziło. Uśmiechała się.

- Ma pan rację, dlaczego miałabym się bronić - powiedziała cicho i wstała. Powoli zaczęła rozpinać sukienkę. Do wieczora było jeszcze daleko. W pokoju było tym razem pełne światło.

# Doktor Havel w dwadzieścia lat później



**1** Kiedy doktor Havel wyjeżdżał na kurację do uzdrowiska, jego piękna żona miała łzy w oczach. Był to po trosze skutek współczucia (Havel od pewnego czasu miewał ataki woreczka żółciowego, a ona do tej pory nigdy nie widziała, żeby cierpiał), ale trochę i tego, że nadchodzące tygodnie rozłąki przyprawiały ją o męki zazdrości.

Co takiego? Czyżby ta aktorka, podziwiana, piękna i o tyle lat młodsza, była zazdrosna o starzejącego się pana, który w ostatnich miesiącach nie wychodził z domu nie wsunąwszy uprzednio do kieszeni buteleczki z tabletkami przeciw podstępnym atakom bólu?

Tak jednak było, a skąd jej się to wzięło, nie wiadomo. Nawet doktor Havel dobrze tego nie wiedział, ponieważ i on sam, sądząc z jej aparycji, uważał ją za osobę, której poczucia wyższości nic podważyć nie zdoła; tym bardziej był oczarowany, kiedy przed paru laty wszedł z nią w bliższą zażyłość, odkrył jej prostotę, domatorstwo i brak pewności siebie; to ciekawe: nawet kiedy się już pobrali, aktorka zupełnie nie przyjmowała do wiadomości swojej przewagi, jaką dawała jej młodość; była urzeczona miłością i niesłychanym rozgłosem erotycznych przygód swego męża, wciąż wydawał się jej nieuchwytny i łatwy do utracenia, i chociaż z bezgraniczną cierpliwością (i absolutnie szczerze) zapewniał ją codziennie, że ani teraz, ani nigdy nikt nie będzie mu droższy niż ona, była o niego dziko, aż do bólu zazdrosna; tylko poczucie własnej godności utrzymywało tę zazdrość pod pokrywką, gdzie jednakże kipiała i szalała tym mocniej.

Havel o tym wszystkim wiedział, chwilami go to wzruszało, chwilami irytowało, niekiedy męczyło, ale że swoją żonę kochał, robił wszystko, by zmniejszyć jej męczarnie. Również i tym razem starał się jej pomóc: wyolbrzymiał straszliwie swoje dolegliwości i groźny stan swego zdrowia, wiedział bowiem, że strach spowodowany jego chorobą uszlachetnia ją i uszczęśliwia, podczas gdy strach spowodowany jego zdrowiem

(umożliwiający zdrady i zagadkowe ekscesy) ją zabija; często sprowadzał rozmowę na doktor Franciszkę, która będzie leczyć go w uzdrowisku; aktorka знаła ją, i obraz tej kobiety, absolutnie dobroduszny i absolutnie daleki od jakiegokolwiek pojęcia rozwiązłości, napawał ją spokojem.

Kiedy doktor Havel siedział już w autobusie i wpatrywał się w zalane łzami oczy piękności stojącej na peronie, poczuł, szczerze mówiąc, ulgę, jej miłość bowiem była nie tylko słodka, ale i męcząca. Ale w uzdrowisku nie czuł się zbyt dobrze. Po wodach mineralnych, które trzy razy dziennie musiał w siebie wlewać, miał bóle, czuł się zmęczony, a spotykając na deptaku piękne kobiety, stwierdzał z przestachem, że czuje się stary i wcale nie ma na nie ochoty. Jedyną kobietą dostępną dla niego w tym nieprzebranym tłumie była poczciwa Franciszka, która robiła mu zastrzyki, mierzyła ciśnienie, obmacywała brzuch i dostarczała informacji o stosunkach w uzdrowisku i dwojgu swoich dzieciach, zwłaszcza o synu, który jakoby był do niej podobny.

W takich to okolicznościach otrzymał list od żony. Co za pech, jej poczucie własnej godności na próżno szukało tym razem przykrywki, pod którą kipiała zazdrość; był to list pełen skarg i lamentów: nie chce mu nic wyrzucać, ale nie śpi po całych nocach; wie dobrze, że jej miłość jest dla niego ciężarem, i wyobraża sobie, jaki on jest teraz szczęśliwy, kiedy może od niej odetchnąć; tak, zrozumiała, że on jej nie znosi; ale wie również, że jest zbyt słaba na to, by zmienić jego życie, przez które przewijają się będą całe zastępy kobiet; tak, wie o tym, nie protestuje jednak, tylko płacze i nie może sypiać.

Kiedy doktor Havel przeczytał tę długą litanie szlochów i westchnień, wynurzyły się w jego myśli trzy zmarnowane lata, kiedy to usilnie starał się zaprezentować swej żonie jako nawrócony rozpustnik i kochający małżonek; ogarnęło go ogromne zmęczenie i poczucie beznadziejności. Zmiał w gniewie list i wrzucił do kosza.

**2** 0 dziwo, nazajutrz czuł się trochę lepiej; woreczek żółciowy mu nie dokuczał i poczuł niewielką, lecz wyraźną ochotę na kilka kobiet, które widział rano krążące po deptaku. To małe osiągnięcie zostało jednak zniweczone o wiele przykrzejszym stwierdzeniem: te kobiety miały go nie zwracając nań najmniejszej uwagi; zlewał im się z bladymi siorbaczami wód mineralnych w jedną chorą gromadę.

- Widzisz, jest poprawa - powiedziała doktor Franciszka, kiedy zbadała go tego dnia po południu. - Tylko przestrzegaj dokładnie diety. Pacjentki, które spotykasz na deptaku, są na szczęście dostatecznie stare i chore, żeby miały budzić w tobie podniecenie, a to są dla ciebie wymarzone warunki, potrzebny ci jest bowiem absolutny spokój.

Havel upychał koszulę w spodnie; stał przed niedużym lustrem wiszącym w kącie nad umywalką i chmurnie przyglądał się swojej twarzy. Wreszcie odezwał się ze smutkiem:

- Nie masz racji. Zauważyłem, że między starszami, które stanowią większość, spaceruje po deptaku trochę całkiem niebrzydkich kobiet. Tylko że żadna z nich nawet nie zawadziła o mnie wzrokiem.

- We wszystko uwierzę, tylko nie w to - uśmiechnęła się do niego lekarka, a doktor Havel oderwawszy wzrok od smętnego widoku w lustrze, spojrzął w jej pozbawione wątpliwości, wierne oczy; poczuł dla niej ogromną wdzięczność, chociaż wiedział, że przemawia przez nią jedynie wiara w tradycję, wiara w jego długoletnią rolę, w której przywykła z lekką dezaprobatą (lecz mimo to życzliwie) go oglądać.

Potem ktoś zapukał do drzwi. Kiedy Franciszka je uchyliła, dojrzał pochyloną w ukłonie głowę młodego mężczyzny.

- Ach to pan! Zupełnie zapomniałam!

Poprosiła młodzieńca do środka i wyjaśniła Havlowi:

- Już od dwóch dni szuka cię redaktor tutejszego miesięcznika.

Młodzieniec zaczął się gęsto tłumaczyć, że niepokoi pana doktora w tak delikatnej sytuacji, i próbował (niestety z trochę nieprzyjemną skwapliwością) przybrać ton żartobliwy: niech pan doktor nie gniewa się na panią doktor, że go zdradziła, bo on, redaktor, i tak na pewno by go dopadł, choćby nawet w wannie z borowiną; i jemu również niech doktor wybaczy jego tupet, ale to nieodzowna cecha w dziennikarskim zawodzie i bez niej nie zarobilby na życie. Po czym zaczął mówić o ilustrowanym czasopiśmie, które raz na miesiąc wychodzi w tutejszym uzdrowisku, i wyjaśnił, że w każdym numerze publikowany jest wywiad z jakimś sławnym pacjentem, który przebywa tu właśnie na leczeniu; dla przykładu wymienił kilka nazwisk, w tym jednego członka rządu, jedną śpiewaczkę i jednego hokeistę.

- No widzisz - rzekła Franciszka. - Piękne kobiety na deptaku nie okazały ci zainteresowania, za to wzbudzasz zainteresowanie prasy.

- To straszny upadek - odparł Havel, ale wdzięcznym sercem przyjął i ten dowód uwagi, uśmiechnął się do redaktora i odrzucił jego propozycję ze wzruszająco przejrzystą nieszczerością:

- Ja, panie redaktorze, nie jestem ani członkiem rządu, ani hokeistą, a już najmniej śpiewaczką. Nie chciałbym wprowadzić pomniejszą wagę swoich doświadczeń naukowych, ale są one interesujące raczej dla specjalistów niż dla szerokiej publiczności.

- Ależ ja nie mam zamiaru robić wywiadu z panem, ani mi to w głowie - odparł młodzieniec z zaskakującą szczerością. - Chciałem zrobić wywiad z pańską żoną. Słyszałem, że ma tu do pana przyjechać.

- W takim razie ma pan lepsze informacje niż ja - rzekł Havel dosyć oziębło; podszedł znów do lustra i zaczął przyglądać się swojej twarzy, która mu się nie podobała. W milczeniu zapinał górny guziczek przy koszuli, podczas gdy redaktora ogarnęło zakłopotanie, w którym błyskawicznie topniał jego reklamowany przed chwilą tupet dziennikarski; przeprosił lekarkę, przeprosił doktora i był zadowolony, gdy znalazł się za drzwiami.

**3** Redaktor był młodzieńcem raczej postrzelonym niż głupim. Czasopisma uzdrowskiego nie darzył zbyt dużym szacunkiem, ale będąc jedynym jego redaktorem, musiał chcąc nie chcąc robić wszystko, by każdego miesiąca zapełnić dwadzieścia cztery strony nieodzownymi fotografiami i tekstem. W lecie jako tako się to udawało, ponieważ uzdrowsko roiło się od słynnych gości, zmieniały się tu kolejno orkiestry dające koncerty na deptaku i nie brakło drobnych sensacji. Za to w zimnych deszczowych miesiącach deptak zapełniały wiejskie baby i nuda, tak że nie mógł pozwolić, by wymknęła mu się najmniejsza choćby okazja. Kiedy wczoraj usłyszał gdzieś, że przebywa tu na kuracji mąż znanej aktorki, występującej właśnie w nowym filmie kryminalnym, który w ostatnich tygodniach dostarczał rozrywki znudzonym gościom uzdrowska, zwietrzył okazję i natychmiast zaczął go szukać.

Teraz jednak było mu wstyd.

Brakło mu bowiem zawsze pewności siebie i dlatego był niewolniczo zdany na ludzi, z którymi się stykał i w których wzroku i sądach szukał bojaźliwie oceny jakości i wartości swojej własnej osoby. Tym razem stwierdził, że uznano go za człowieka nędznego, głupiego i nachalnego, a sprawiło mu to przykrość tym większą, że do mężczyzny, który w ten sposób go osądził, od pierwszego wejrzenia poczuł sympatię. Gnany niepokojem, jeszcze tegoż dnia zadzwonił do lekarki, by się dowiedzieć, kim jest właściwie ów małżonek słynnej aktorki, i usłyszał, że to nie tylko sława medyczna, ale zarazem człowiek bardzo znany; co, doprawdy pan redaktor nigdy o nim nie słyszał?

Pan redaktor wyznał, że nie, lekarka zaś z dobroduszną wyrozumiałością rzekła:

- No tak, z pana przecież jeszcze dziecko. Na dziedzinie, w której zasłynął Havel, na szczęście się pan nie zna.

Kiedy wypytując dalej inne osoby doszedł do wniosku, że lekarka miała na myśli doświadczenie w sprawach erotycznych, w którym doktor Havel nie miał ponoć konkurencji w całym kraju, zawstydził się, że sam uznany został za ignoranta i że znajduje to potwierdzenie w fakcie, iż o Havle nigdy nie słyszał. A ponieważ zawsze marzył o tym, by zostać kiedyś takim właśnie znawcą jak ten człowiek, przykro mu było, że zaprezentował się jako antypatyczny dureń właśnie przed nim, przed swoim mistrzem: przypominał sobie swoje gadulstwo, swoje głupie dowcipkowanie, swój brak taktu, i pokornie uznał za sprawiedliwą karę, jaką wymierzył mu mistrz poprzez swoje niechętnie milczenie i nieobecne spojrzenie utkwione w lustrze.

Uzdrowisko, w którym rozgrywa się ta historia, jest niewielkim miasteczkiem i ludzie widują się tu ze sobą po kilka razy na dzień, czy sprawia im to przyjemność, czy nie. Nie było zatem młodemu redaktorowi trudno spotkać się wkrótce z człowiekiem, o którym myślał. Było późne popołudnie i pod kolumnadą deptaku krążył niespiesznie tłum wątrobiarzy. Doktor Havel popijał z porcelanowego kubka cuchnącą wodę i lekko się krzywił. Młody redaktor podszedł do niego i zaczął się chaotycznie usprawiedliwiać. Nie domyślał się, jak twierdził, że małżonkiem znanej aktorki Havlowej, jest właśnie on, doktor Havel, a nie jakiś inny Havel; Havlów jest - mówił - w Czechach wielu, a on, niestety, nie skojarzył sobie męża aktorki z owym słynnym doktorem, o którym oczywiście dawno już słyszał, i to nie tylko jako o sławie medycznej, ale - chyba może sobie pozwolić na powiedzenie tego - również jako o bohaterze najróżniejszych legend i opowieści.

Nie ma powodu zaprzeczać, że doktora Havla, pogrążonego w ponurym nastroju, ucieszyły słowa młodego człowieka, zwłaszcza zaś napomknięcie o legendach, o których Havel dobrze wiedział, że ulegają prawom starzenia się i zaniku, podobnie jak sam człowiek.

- Niech się pan nie tłumaczy - rzekł do młodzieńca, a widząc jego zakłopotanie, ujął go delikatnie pod ramię i skłonił, by wraz z nim przespacerował się po deptaku, - Nie ma przecież o czym mówić - pocieszał go, niemniej jednak sam z lubością powracał do jego przeprosin i parokrotnie powtórzył: - A więc słyszał pan o mnie? - i za każdym razem śmiał się uszczęśliwiony.

- Tak - przytakiwał redaktor skwapliwie. - Ale wyobrażałem sobie pana zupełnie inaczej.

- A jak mnie pan sobie wyobrażał? - spytał doktor Havel szczerze zainteresowany, gdy zaś redaktor zaczął coś bąkać, nie wiedząc, co powiedzieć, rzekł melancholijnie: - Ja wiem. W odróżnieniu od nas, postaci z różnych dykteryjek, legend czy anegdot ulepione są z materii, która nie podlega niszczącemu działaniu czasu. Nie, nie chcę przez to powiedzieć, że legendy czy anegdoty są nieśmiertelne; oczywiście i one się starzeją, a wraz z nimi i ich bohaterowie, tylko że starzeją się oni tak, że ich obraz nie zmienia się i nie niszczy, tylko powoli blaknie, staje się przezroczysty, aż w końcu rozplywa się w powietrzu. Tak rozplynie się kiedyś Kohn z anegdoty i Havel-uwodziciel, a także Mojżesz i Pallas Atena czy święty Franciszek z Asyżu; niech pan jednak zauważy, że święty Franciszek będzie blakł powoli razem z ptaszkami, które mu siedzą na ramieniu, i z jelonkiem, który ociera mu się o nogę, i z gajem oliwnym, który użycza mu cienia, że całe jego otoczenie będzie wraz z nim stawało się coraz bardziej przezroczyste i wraz z nim zmieniać się będzie z wolna w pogodny lazur, podczas gdy my, drogi przyjacielu, zniknąć będziemy na tle drwiąco-barwnego krajobrazu, na oczach drwiąco-żywej młodości.

Słowa Havla wywołały zamęt w duszy redaktora, a jednocześnie go zachwyciły, i obydwaj długo jeszcze przechadzali się wśród zapadającego zmierzchu. Kiedy się rozstawali, Havel oświadczył, że zmęczyły go już dietetyczne posiłki i że jutro chętnie poszedłby gdzieś na jakąś ludzką kolację; spytał redaktora, czy nie chciałby dotrzymać mu towarzystwa.

Rzecz jasna, że redaktor chciał.

**4** - Niech pan nie mówi o tym pani doktor - rzekł Havel, kiedy zasiadł przy stole naprzeciw redaktora i wziął do ręki spis potraw - ale ja mam swoje własne pojęcie diety: rygorystycznie unikam wszystkich potraw, które mi nie smakują. - Po czym zapytał młodzieńca, jaki zamówić dla niego aperitif.

Redaktor nie zwykł pijać przed jedzeniem aperitifów, a że nic innego nie przyszło mu do głowy, powiedział:

- Wódkę.

Doktor Havel skrzywił się z dezaprobatą:

- Wódka zalatuje rosyjską duszą.

- To prawda - rzekł redaktor i od tej chwili był stracony. Czuł się jak maturzysta przed komisją egzaminacyjną. Nie usiłował mówić, co myśli, ani robić tego, co chce, ale starał się zadowolić egzaminatorów; starał się odgadywać ich myśli, ich kaprysy, ich gust; pragnął być ich godnym. Za nic na świecie nie przyznałby się, że jego kolacje bywają prymitywne i podłe i że nie ma pojęcia, jakie wino nadaje się do jakiego mięsa. A doktor Havel dręczył go mimo woli, naradzając się z nim nieustannie nad wyborem zakąski, głównego dania, wina i sera.

Kiedy redaktor skonstatował, że ze smakoszostwa komisja wystawiła mu ocenę znacznie obniżoną, zapragnął nadrobić tę stratę wzmożoną gorliwością i już w przerwie między przystawką a głównym daniem oglądał się ostentacyjnie za kobietami obecnymi w restauracji; następnie rzucił kilka uwag, które miały dowodzić jego zainteresowań i znanstwa. Ale znowu drogo za to zapłacił. Kiedy o rudej damie siedzącej o dwa stoły dalej wyraził zdanie, że byłaby z pewnością świetną kochanką, Havel bez złej myśli zapytał go, czemu tak sądzi. Redaktor odpowiedział dość mętnie, kiedy zaś doktor zaczął wypytywać o jego doświadczenia z kobietami rudowłosymi, zaplątał się w jakichś niewiarygodnych kłamstwach i szybko umilkł.

Za to doktor Havel w obecności pełnych podziwu oczu redaktora czuł się miło i swobodnie. Zamówił do mięsa butelkę czerwonego wina i gorąco namawiał redaktora do picia.

Młodzieniec, ożywiony winem, uczynił następną próbę, by stać się godnym przyjaźni mistrza: zaczął opowiadać o dziewczynie, którą niedawno odkrył i o której względy zabiega już od paru tygodni z dużą nadzieją na pomyślny wynik. Jego wypowiedź nie była zbyt treściwa, nienaturalny zaś uśmiech, w który przybrał twarz, a który swoją zamierzoną dwuznacznością miał dopowiedzieć to, co nie zostało powiedziane słowami, był w stanie wyrazić jedynie z trudem przezwyciężaną niepewność. Havel wszystko to dobrze widział i zdjęty współczuciem wypytywał redaktora o najrozmaitsze właściwości fizyczne wspomnianej dziewczyny, żeby redaktor mógł jak najdłużej trzymać się miłego dlań tematu

i swobodniej się rozgadać. Jednakże i tym razem młodzieniec zawiódł: jego odpowiedzi były zdumiewająco niejasne; okazało się, że nie jest w stanie opisać z dostateczną precyzją ani ogólnej architektury ciała dziewczyny, ani poszczególnych detali, a tym bardziej jej myśli. Tak więc w końcu doktor Havel zaczął mówić sam i, upojony pogodną atmosferą wieczoru oraz winem, w dowcipnym monologu zasypał redaktora lawiną własnych wspomnień i pomysłów.

Redaktor popijał wino, słuchał i doznawał dwojakich uczuć: przede wszystkim był nieszczęśliwy, zdawał sobie sprawę z własnej pospolitości i głupoty, czuł się jak niepewny uczeń przed obliczem nieomylnego mistrza i wstydził się otworzyć usta; ale jednocześnie był również szczęśliwy: pochlebiali mu, że mistrz siedzi naprzeciw niego, że prowadzi z nim przyjacielską pogawędkę i dzieli się z nim najróżniejszymi dyskretnymi i cennymi spostrzeżeniami.

Gdy jednak perora Havla trwała już zbyt długo, młodzieniec zapragnął mimo wszystko znów zabrać głos, dorzucić swoje trzy grosze, dołączyć się, wykazać, że zdolny jest być dlań



partnerem; zaczął więc mówić znowu o swojej dziewczynie i po przyjacielsku poprosił Havla, by zechciał ją jutro obejrzeć; żeby mu powiedział, co o niej sądzi, stosując kryteria własnego doświadczenia; inaczej mówiąc, żeby dokonał (tak, przez kaprys użył tego słowa) kolaudacji.

Co mu strzeliło do głowy? Czy był to jedynie przypadkowy pomysł, zrodzony z wina i gorączkowego pragnienia, by coś powiedzieć?

Choćby jednak był to pomysł najbardziej nawet spontaniczny, redaktor miał tu na widoku co najmniej potrójną korzyść: poprzez spisek wspólnej i tajnej oceny (kolaudacja) między nim a mistrzem wytworzy się intymna więź, umocni się koleżeństwo, kumplostwo, o którym redaktor marzył; o ile mistrz wyrazi uznanie (a młodzieniec miał tę nadzieję, ponieważ był mocno pod urokiem wspomnianej dziewczyny), będzie to uznanie dla niego samego, dla jego oka i dobrego gustu, tak że w oczach mistrza przekształci się z ucznia w czeladnika, a również we własnym odczuciu nabierze większej wartości niż dotychczas; i wreszcie: dziewczyna także nabierze dla niego większej wartości niż dotychczas, a rozkosz, jaką czerpie z jej obecności, przemieni się z rozkoszy fikcyjnej w rozkosz rzeczywistą; (młodzieniec bowiem uświadamiał sobie od czasu do czasu, że świat, w którym żyje, jest dla niego błędnym labiryntem wartości, których cenę przeczuwa tylko bardzo niejasno, które przeto z wartości pozornych mogą stać się wartościami rzeczywistymi dopiero wówczas, kiedy zostaną uwierzytelnione).

**5** Kiedy doktor Havel zbudził się nazajutrz, poczuł, że po wczorajszej kolacji dokucza mu trochę woreczek żółciowy; a kiedy spojrzął na zegarek, stwierdził, że za pół godziny musi rozpocząć normalną procedurę zabiegów, że zatem będzie musiał się pośpieszyć, czego w życiu najbardziej nie lubił; a kiedy się cesał, ujrzał w lustrze twarz, która mu się nie podobała.

Dzień źle się zaczynał.

Nie zdążył nawet zjeść śniadania (to również uważał za zły znak, ponieważ przywiązywał wagę do regularnego trybu życia) i podążył do gmachu łaźni. Był tam długi korytarz z mnóstwem drzwi; do jednych zapukał i wyjrzała z nich ładna blondynka w białym kitlu; wytknęła mu ze złością, że się spóźnił, i kazała wejść. Doktor Havel zaczął rozbierać się w kabinie za parawanem, gdy po chwili usłyszał: „Niech się pan pośpieszy!” Głos masażystki był coraz bardziej niegrzeczny, obrażał Havla i prowokował do odwetu (a na nieszczęście doktor Havel z biegiem lat przywykł do stosowania jednego tylko systemu odwetu wobec kobiet). Zdjął zatem kalesony, wciągnął brzuch, wypiął pierś i zamierzał wyjść z kabiny; zniechęcony jednak niegodnymi wysiłkami, które śmieszyły go u innych, rozluźnił powoli mięśnie brzucha i z nonszalancją, jaką uważał za jedynie godną własnej osoby, pomaszzerował do wielkiej wanny i zanurzył się w ciepłej wodzie.

Masażystka, zupełnie nie zwracając uwagi na jego pierś

i brzuch, kręciła tymczasem kilkoma kurkami na dużej desce rozdzielczej, a kiedy Havel leżał już wyciągnięty na dnie wanny, złapała go za prawą nogę i pod wodą przytknęła do jego stopy wylot gumowego węża, z którego tryskał mocny strumień. Doktor Havel, który był laskotliwy, szarpał nogą, tak że masażystka musiała go skarcić.

Nie było z pewnością trudno wytrącić blondynkę z jej chłodnej arogancji jakimś dowcipem, powiedzonkiem, żartobliwym pytaniem, Havel jednak był na to zbyt zirytowany i dotknięty. Mówił sobie, że blondynkę należałoby ukarać i że nie zasługuje ona na to, by jej ułatwić sytuację. W chwili gdy przejeżdżała mu wężem po brzuchu, a on zasłaniał dłońmi przyrodzenie, żeby silny strumień nie wyrządził mu krzywdy, zapytał ją, co robi dziś wieczorem. Nie patrząc nawet na niego spytała, na co mu ta wiadomość. Wyjaśnił, że mieszka tu sam w jednoosobowym pokoju i że chciałby, by dziś wieczór do niego przyszła.

- Pomylił się pan w adresie - rzekła blondynka i kazała mu położyć się na brzuchu.

Tak więc leżał Havel na brzuchu na dnie wanny, zadzierając brodę do góry, żeby mógł oddychać. Czuł, jak mocny strumień masuje mu łydki, i był zadowolony, że w tak zręczny sposób zagadnął masażystkę. Doktor Havel bowiem od dawna karał oporne, aroganckie czy też rozpieszczone kobiety w ten sposób, że przyprowadzał je na swój tapczan chłodno, bez jednego czulego słowa, niemal w milczeniu, i że również lodowato je z niego wypuszczał. Dopiero po chwili przyszło mu na myśl, że zagadnął wprawdzie masażystkę z należytą oziębłością i bez jakichkolwiek duserów, ale na tapczan jej nie zaprowadził i nie zaprowadzi.

Zrozumiał, że dostał kosza i że jest to nowa obelga. Toteż był zadowolony, kiedy już znowu w kabinie wycierał się ręcznikiem.

Potem wybiegł z łaźni i pospieszył do gabloty wystawowej kina „Czas”; były tam wywieszane trzy reklamowe fotosy, a na jednym z nich jego żona, klęcząca w przerażeniu nad zwłokami. Doktor Havel przyglądał się tej delikatnej twarzy wykrzywionej grozą, i poczuł ogromną miłość i ogromną tęsknotę. Długo nie mógł się od tego zdjęcia oderwać. Wreszcie postanowił, że wstąpi do Franciszki.

**6** - Połącz mnie, proszę, z międzymiastową, muszę mówić ze swoją żoną - powiedział, kiedy wypuściła pacjenta i poprosiła go do gabinetu.

- Stało się coś?

- Tak - rzekł Havel. - Tęskno mi!

Franciszka popatrzyła na niego nieufnie, wykręciła centralę międzymiastową i podała numer, który podpowiedział jej Havel. Po czym odłożyła słuchawkę i rzekła: J

- Co? Ty tęsknisz?

- A dlaczego nie miałbym tęsknić? - zdenerwował się Havel. - Jesteś taka sama jak moja żona. Widzicie we mnie kogoś, kim dawno już nie jestem. Jestem pokorny, osierocony, smutny. Cięża mi lata. A muszę ci powiedzieć, że to nic przyjemnego.

- Powinieneś mieć dzieci - odparła lekarka. - Nie myślałbyś tyle o sobie. Mnie też już cięża lata, a nie myślę o tym. Kiedy widzę mego syna, jak z dziecka przemienia się w chłopca, cieszę się już na myśl, jak będzie wyglądał jako mężczyzna, i nie biadolę nad upływającym czasem. Wyobraź sobie, co mi wczoraj powiedział: po co są na świecie lekarze, skoro ludzie i tak wszyscy umrą? I co ty na to? Co byś mu odpowiedział?

Doktor Havel nie musiał na szczęście odpowiadać, ponieważ zadzwonił telefon. Podniósł słuchawkę, a kiedy usłyszał w niej głos żony, wybuchnął natychmiast potokiem słów: że jest mu smutno, że nie ma tu z kim rozmawiać, nie ma na kogo patrzeć, że sam tu nie wytrzyma.

W słuchawce rozbrzmiewał cienki głosik, z początku nieufny, zaskoczony, niemal zająkliwy, który dopiero pod na-porem słów męża troszeczkę roztajał.

- Przyjedź do mnie, proszę cię, przyjedź najprędzej, jak tylko możesz! - mówił Havel w słuchawkę i słyszał, jak żona odpowiada, że bardzo by chciała, ale że prawie codzie-nie ma przedstawienie.

- Prawie codziennie to nie codziennie - powiedział Havel i usłyszał, że żona ma jutro wolny dzień, ale nie wie, czy na jeden dzień warto.

- Jak możesz tak mówić? Czy nie wiesz, jakim bogactwem jest jeden dzień w tym krótkim życiu?

- To ty się naprawdę na mnie nie gniewasz? - spytał cienki głosik w słuchawce.

- Za co miałbym się gniewać? - rozgniewał się Havel.

- Za ten list. Ty masz bóle, a ja męczę cię takim głupim, zazdrosnym listem.

Doktor Havel zalał słuchawkę potokiem czułości, a jego żona oświadczyła (głosem już całkiem rozklejonym), że jutro przyjedzie.

- A ja i tak ci zazdroszczę - rzekła Franciszka, kiedy Havel odłożył słuchawkę. - Masz wszystko. Na każdym palcu okręconą dziewczynę, a na dodatek szczęśliwe małżeństwo.

Havel patrzył na swoją przyjaciółkę, która mówiła o zazdrości, ale przez samą choćby poczciwość zazdrościć prawdopodobnie w ogóle nie umiała, i zrobiło mu się jej żal. Wiedział bowiem, że radość, jaką dają dzieci, nie może zastąpić innych radości, nie mówiąc już o tym, że radość obciążona obowiązkiem zastąpienia innych radości szybko staje się radością zbyt znużoną.

Poszedł potem na obiad, po obiedzie spał, a kiedy się obudził, przypomniał sobie, że młody redaktor czeka na niego w kawiarni, żeby pokazać mu swoją dziewczynę. Ubrał się więc i wyszedł. Schodząc ze schodów sanatorium, ujrzał w westybulu koło szatni wysoką kobietę przypominającą pięknego, rasowego konia. Ach, bodajby się to nie stało; właśnie takie kobiety zawsze się Havlowi piekielnie podobały. Szatniarka podawała tej kobiecie płaszcz i Havel przyskoczył, by pomóc jej go włożyć. Kobieta podobna do konia niedbale podziękowała, Havel zaś spytał:

- Czy mógłbym coś jeszcze dla pani zrobić?

Uśmiechał się do niej, ona jednak odpowiedziała bez uśmiechu, że nie, i szybko wyszła z budynku.

Doktor Havel odczuł to jako policzek i w odnowionym stanie sieroctwa udał się do kawiarni.

**7** Redaktor siedział już dłuższą chwilę w boksie kawiarni obok swojego dziewczęcia (wybrał to miejsce, skąd widać było drzwi wejściowe, i zupełnie nie był w stanie skoncentrować się na rozmowie, która kiedy indziej płynęła między nimi wesoło i niestrudzenie. Po raz pierwszy usiłował dzisiaj patrzeć na to dziewczętko okiem bardziej krytycznym, i podczas gdy ona coś paplała (a na szczęście paplała bez przerwy, tak że wewnętrzny niepokój młodzieńca pozostał niezauważony), odkrył kilka drobnych wad w jej urodzie; bardzo go to zmartwiło, choć natychmiast zaczął przekonywać sam siebie, że te drobne wady czynią jej urodę właściwie bardziej interesującą i że to one właśnie sprawiają, iż cała jej istota budzi w nim czułość i poczucie bliskości.

Bo młodzieniec kochał tę dziewczynę.

Skoro jednak ją kochał, to dlaczego przystał na ten tak dla niej poniżający pomysł, by wraz z rozpustnym doktorem dokonać kolaudacji jej osoby? Ale jeśli nawet udzielimy mu jakoś rozgrzeszenia zakładając, że była to dla niego zwykła chłopięca zabawa, to jak wytłumaczyć sobie, że zwykłą zabawą tak był stremowany i przejęty?

To nie była zabawa. Młodzieniec rzeczywiście nie wiedział, jaka jest jego dziewczyna, nie był w stanie oszacować stopnia jej urody i wdzięku. Czyżby więc był tak naiwny i niedoświadczony, że nie odróżniał kobiety ładnej od brzydkiej?

Nic podobnego, młodzieniec nie był tak całkowicie niedoświadczony, z kilkoma kobietami miał już w życiu jakieś tam miłostki, tylko że był przy tym zawsze skoncentrowany o wiele bardziej na sobie niż na nich. Zwróćmy uwagę na taką choćby ciekawostkę: ten młody człowiek pamięta dokładnie, kiedy jak był ubrany w towarzystwie której kobiety, wie, że wtedy i wtedy miał za szerokie spodnie i męczyła go świadomość, że są nie takie, jak trzeba, wie, że kiedy indziej miał na sobie biały sweter, w którym czuł się jak elegancki sportsmen, ale nie ma pojęcia, jak kiedy były ubrane jego przyjaciółki.

Tak, to ciekawe: w czasie swoich przelotnych romansów przeprowadzał w lustrze długie i szczegółowe studia własnej osoby, podczas gdy swoje damskie vis à vis dostrzegał jedynie globalnie, ogólnie; dużo ważniejsze było dla niego, jak on sam wygląda w oczach partnerki, niż jak on ją widzi. Nie znaczy to, żeby nie zależało mu na tym, czy dziewczyna, z którą chodzi, jest ładna czy nie. Zależało mu. Ponieważ nie tylko on oglądany był oczyma

partnerki, ale oboje razem byli oglądani i oceniani oczyma innych (oczyma świata), a on przywiązywał wielką wagę do tego, by świat akceptował jego dziewczynę, wiedział bowiem, że sąd o niej jest zarazem sądem o jego wyborze, jego guście, jego poziomie, a zatem o nim samym. Ale właśnie dlatego, że zależało mu na zdaniu innych, nie polegał zbyt na własnych oczach, lecz jak dotąd wystarczało mu, że wsłuchiwał się w głos opinii publicznej i utożsamiał się z nią.

Cóż jednak znaczył głos opinii publicznej wobec głosu mistrza i znawcy?

Redaktor niecierpliwie patrzył ku wejściu, a kiedy wreszcie zobaczył postać Havla w oszklonych drzwiach, udał zaskoczonego i oznajmił dziewczynie, że przypadkowo wszedł tu właśnie pewien wybitny człowiek, z którym w najbliższych dniach zamierza przeprowadzić wywiad dla swego pisma. Wszedł Havlowi naprzeciw i przyprowadził go do stolika. Dziewczątka, któremu na chwilę przeszkodziła ceremonia prezentacji, bardzo szybko nawiązało nić wartkiej rozmowy i dalej paplało z ożywieniem.

Doktor Havel, dziesięć minut temu odtrącony przez kobietę podobną do rasowego konia, przeciągle wpatrywał się w szczebiocące dziewczątka i coraz głębiej pograżał się w swoim ponurym nastroju. Dziewczyna nie była piękną, ale była całkiem sympatyczna i nie ma wątpliwości co do tego, że doktor Havel (o którym mówiono, że jest jak śmierć, bo bierze wszystko), wzięłyby ją w każdej chwili, i to bardzo chętnie. Miała parę cech charakterystycznych dzięki ich szczególnej dwuznaczności estetycznej: u nasady jej nosa jak rozpylone kropelki złościły się piegi, co można było uważać za skazę na białej cerze, ale również i odwrotnie - za jej naturalną ozdobę: była bardzo drobna, co można było traktować jako niedostateczną idealność proporcji kobiecego ciała, ale także przeciwnie - jako podniecającą subtelność dziecka, które trwa nadal w dojrzałej kobiecie; bardzo dużo mówiła, co można było uznać za męczące gadulstwo, ale także i odwrotnie - za wygodną właściwość pozwalającą partnerowi pod sklepieniem jej słów oddawać się w każdej chwili niepostrzeżenie i nieuchwytnie własnym myślom.

Redaktor chyłkiem obserwował trwożnie twarz doktora, a kiedy wydało mu się, że jest niebezpiecznie (i niepomyślnie dla jego nadziei) zamyślny, przywołał kelnera i zamówił trzy koniaki. Dziewczątka zaprotestowało, oświadczyło, że nie będzie pić, potem zaś pozwoliło się długo przekonywać, że pić może i powinno, a doktor Havel uświadomił sobie ponuro, że ta dwuznaczna pod względem estetycznym istota, zdradzająca nieprzerwanym potokiem słów całkowitą nie-złożoność swego wnętrza, byłaby najprawdopodobniej jego trzecią dzisiaj porażką, gdyby pokusił się o jej względy, ponieważ on, doktor Havel, niegdyś potężny jak śmierć, nie jest już tym, kim był.

Kelner przyniósł koniaki, wszyscy troje podnieśli kieliszki, by się nimi trącić, a doktor Havel patrzył w błękitne dziewczęce oczy niczym w nieprzyjazne oczy kogoś, kto nie będzie do niego należał. A kiedy zrozumiał, że te oczy są w całym tego słowa znaczeniu wrogie, odplącił im również wrogością i ujrzał nagle przed sobą istotę pod względem estetycznym całkowicie jednoznaczną: wątłe dziewczątka, z twarzą upstrzoną piegami i nie do zniesienia gadatliwe.

Lecz choć ta przemiana ucieszyła Havla, podobnie jak cieszyły go wlepione w niego z trwożnym wyczekiwaniem oczy młodzieńca, była to radość zbyt nikła w porównaniu z bezbrzeżną goryczą, która go przepelniała. Pomyślał sobie, że nie powinien przeciągać tego spotkania, które nie daje mu zadowolenia, szybko więc zabrał głos, błysnął przed młodzieńcem i dziewczątkiem kilkoma zręcznymi powiedzonkami, wyraził radość, że mógł spędzić z nimi parę miłych chwil, oświadczył, że gdzieś się spieszy, i pożegnał się.

Kiedy był już w oszklonych drzwiach, młodzieniec plasnął się w czoło i oświadczył dziewczęciu, że całkiem zapomniał uzgodnić z doktorem sprawę wywiadu dla miesięcznika, wyskoczył z kawiarni i dopędził Havla już na ulicy.

- No i co pan powie? - zapytał.

Havel długo spoglądał w oczy młodzieńca, których wyraz pełen oddania i niecierpliwości ogrzewał mu serce.

Za to redaktora milczenie Havla przejmowało mrozem, tak że już z góry zaczął się wycofywać:

- Ja wiem, piękność to nie jest...

- Nie, piękność to nie jest - zgodził się Havel.

Redaktor opuścił głowę.

- Trochę za dużo mówi. Ale poza tym jest miła...

- Tak, to naprawdę miłe dziewczątko - rzekł Havel - ale miły może być i pies, i kanarek, i kacuszka drepcąca po podwórku. W życiu, drogi przyjacielu, nie chodzi o to, by zdobyć jak największą ilość kobiet, jest to bowiem sukces zbyt powierzchowny. Idzie raczej o to, żeby kultywować własne aspiracje, ponieważ w nich odzwierciedla się miara naszej własnej wartości. Niech pan pamięta, przyjacielu, że dobry rybak wrzuca drobne płotki z powrotem do wody.

Młodzieniec zaczął się tłumaczyć, twierdził, że sam miał poważne wątpliwości co do tej dziewczyny, o czym zresztą świadczy fakt, że prosił Havla o opinię.

- No nic - rzekł Havel. - Niech się pan tym nie przejmuje.

Młodzieniec jednak nadal tłumaczył się i usprawiedliwiał, wskazując na to, że jesienią w miejscowości uzdrowskiej trudno o piękne kobiety i człowiek zadowolona się tym, co jest.

- Pod tym względem się z panem nie zgadzam - zaproponował Havel. - Widziałem tu kilka niezwykle uroczych pań. Ale coś panu powiem. Istnieje pewnego rodzaju przyjemny wygląd zewnętrzny kobiety, który małomiasteczkowy gust przez pomyłkę bierze za urodę. A przy tym istnieje uroda prawdziwie erotyczna. Ale poznać ją na pierwszy rzut oka to nie bagatela. To sztuka. - Po tych słowach podał młodzieńcowi rękę i odszedł.

**8** Redaktor popadł w okropny stan: zrozumiał, że jest niepoprawnym głupcem, zagubionym w bezkresnej (tak, wydała mu się bezkresna i nieprzebyta) dżungli swojej młodości; uświadomił sobie, że zblamował się w oczach doktora Havla, i ponad wszelką wątpliwość zdał sobie sprawę, że jego dziewczyna jest nieciekawa, bezwartościowa i brzydka. Kiedy usiadł znowu koło niej w boksie kawiarni, wydawało mu się, że wszyscy goście przy sąsiednich stolikach wraz z dwoma biegającymi tam i z powrotem kelnerami wiedzą o tym i złośliwie się nad nim litują. Zawołał, że chce płacić, i wyjaśnił dziewczynie, że ma pilną robotę i musi już iść. Dziewczątka posmutniało, a młodzieńcowi serce ścisnęło się z żalu; chociaż wiedział, że jako dobry rybak wrzuci ją z powrotem do wody, to jednak w głębi duszy nadal (skrycie i ze wstydem) ją kochał.

Również i następny ranek nie wniósł światła do jego ponurego nastroju, a kiedy na placu uzdrowskiego zobaczył nadchodzącego doktora Havla z elegancką kobietą, poczuł zazdrość podobną prawie do nienawiści; dama była wręcz krzycząco piękna, a humor doktora Havla, już z daleka machającego doń ręką, aż krzycząco szampański, tak że redaktor poczuł się w jego blasku jeszcze uboższy.

- To jest redaktor tutejszego miesięcznika; zawarł ze mną znajomość jedynie po to, żeby móc poznać ciebie - przedstawił go doktor Havel owej piękności.

Kiedy młodzieniec zrozumiał, że ma przed sobą kobietę, którą zna ze srebrnego ekranu, spieszył się jeszcze bardziej. Havel namawiał go, żeby się z nimi przespacerował, a redaktor nie wiedząc, co powiedzieć, zaczął wyjaśniać swoją dawniejszą propozycję i uzupełnił ją nowym pomysłem: zrobiłby wywiad dla miesięcznika z obojgiem małżonków naraz.

- Ależ, przyjacielu - skarcił go Havel - rozmowy, które ze sobą prowadziliśmy, były bardzo przyjemne, a dzięki panu również zajmujące, niech mi pan jednak powie, po co

mielibyśmy je publikować w piśmie przeznaczonym dla wątrobiarzy i posiadaczy wrzodów na dwunastnicy.

- Wyobrażam sobie te wasze rozmowy! - uśmiechnęła się pani Havlowa.

- Rozmawialiśmy o kobietach - wyjaśnił Havel. - Jeśli chodzi o ten temat, znalazłem w panu redaktorze znakomitego partnera i dyskutanta, jasnego przyjaciela moich pochmurnych dni.

Pani Havlowa zwróciła się do młodzieńca:

- Nie zanudził pana?

Redaktor uszczęśliwiony był, że doktor nazwał go swoim jasnym przyjacielem, i do jego zazdrości zaczęło się znowu wkładać poczucie wdzięczności i oddania; oświadczył, że to raczej on zanudza doktora; zdaje sobie bowiem doskonale sprawę ze swego braku doświadczenia i z tego, że nie jest interesujący, ba - dodał nawet - z tego, że jest niczym.

- Ach, mój drogi - roześmiała się aktorka - wyobrażam sobie, jak strasznie musiałeś się przechwalać!

- To nieprawda - stanął w obronie Havla redaktor. - Bo pani nie wie, co to jest małe miasteczko, co to jest taki grajdołek, w którym mieszkam.

- Ależ tutaj jest prześlicznie - zaprotestowała aktorka.

- Tak, dla pani, bo pani wpadła tu tylko na krótko. Ale ja tu żyję i będę żył nadal. Ciągłe ten sam krąg ludzi, których znam już na pamięć. Ciągłe ci sami ludzie, którzy wszyscy myślą o tym samym, a myślą o rzeczach powierzchownych i głupich. Chcąc nie chcąc, muszę z nimi jakoś współżyć i nawet nie zdaję sobie sprawy z tego, że powoli się do nich przystosowuję. To straszne, że mógłbym stać się jednym z nich! To straszne widzieć świat ich krótkowzrocznymi oczyma!

Redaktor mówił ze wzrastającym uniesieniem, a aktorce zdawało się, że w jego słowach czuje podmuch wiecznego protestu młodości; to ją zafrapowało, porwało, i powiedziała:

- Nie wolno się panu przystosować! Nie wolno!

- Nie wolno mi - przytaknął młodzieniec. - Pan doktor otworzył mi wczoraj oczy. Za wszelką cenę muszę wyrwać się z błędnego koła tego otoczenia, z błędnego koła tej małości, tej przeciętności. Wyrwać się - powtórzył - wyrwać!

- Mówiliśmy o tym - wyjaśnił Havel żonie - że banalny gust prowincji stwarza fałszywy ideał piękna, który w zasadzie jest nieerotyczny, ba - antyerotyczny, podczas gdy prawdziwego, porywającego erotycznego uroku ten gust nie dostrzega. Przechodzą obok nas kobiety, które byłyby w stanie doprowadzić mężczyznę do najbardziej zawrotnych doznań zmysłowych, a nikt ich tu nie widzi.

- Tak jest - potwierdził młodzieniec.

- Nikt ich nie widzi - ciągnął doktor - ponieważ nie odpowiadają normom tutejszych krawców; wdzięk erotyczny bowiem objawia się raczej poprzez deformację niż przez prawidłowość, raczej przez jaskrawość niż przez dyskrecję, raczej poprzez oryginalność niż tuzinkową ładność.

- Tak - zgodził się młodzieniec.

- Znasz Franciszkę? - zwrócił się Havel do żony.

- Znam.

- I wiesz, ilu moich przyjaciół oddałoby cały majątek za jedną noc z nią spędzoną. Daję głowę, że w tym mieście nikt jej nawet nie zauważa. No, niech pan powie, redaktorze, zna pan przecież panią doktor, czy zwrócił pan kiedyś uwagę, jaka to niezwykła kobieta?

- Nie, rzeczywiście, nie! - odparł młodzieniec. - W ogóle nigdy nie przyszło mi do głowy spojrzeć na nią jako na kobietę!

- No tak, oczywiście - rzekł Havel. - Wydawała się panu za mało chuda. Brak u niej panu piegów i gadulstwa.

- Tak - przyznał młodzieniec zgnębiony - sam pan się wczoraj przekonał, jaki ze mnie bałwan.

- A zauważył pan kiedy, jak ona chodzi? - ciągnął Havel - Zauważył pan, że kiedy ona idzie, jej nogi po prostu mówią? Panie redaktorze, gdyby pan usłyszał, co te nogi opowiadają, to by się pan zarumienił, chociaż wiem, że z pana stary rozpustnik.

**9** - Robisz balonów z niewinnych ludzi - powiedziała do męża aktorka, kiedy pożegnali się z redaktorem.

- Wiesz przecież, że to u mnie oznaka dobrego humoru. A przysięgam ci, że mam go tu po raz pierwszy od chwili przyjazdu.

Tym razem doktor Havel nie kłamał; kiedy przed obiadem zobaczył zajeżdżający na przystanek autobus, kiedy ujrzał, że za szybą siedzi jego żona, a potem zobaczył, jak roześmiana staje na stopniu, poczuł się szczęśliwy, a ponieważ poprzednie dni zachowały w nim nietknięte zapasy wesołości, przez cały dzień okazywał radość w sposób niemal wariacki. Chodzili razem po deptaku, chrupali okrągłe słodkie opłatki, wpadli na chwilę do Franciszki, by wysłuchać świeżych informacji o nowych powiedzonkach jej syna, odbyli z redaktorem spacer, opisany w poprzednim rozdziale, i żartowali sobie z pacjentów przechadzających się dla zdrowia ulicami. Przy tej okazji doktor Havel zauważył, że niektórzy z przechodniów uparcie i długo wpatrywali się w aktorkę; kiedy się obejrzał, stwierdził, że stoją i patrzą za nimi.

- Jesteś zdemaskowana - rzekł. - Ludzie nie mają tutaj co robić i namiętnie chodzą do kina.

- Przeszkadza ci to? - spytała aktorka, która powszechną popularność, jaką dawał jej zawód, uważała za coś w rodzaju przewinienia, ponieważ - jak wszyscy zakochani

- marzyła o miłości cichej i ukrytej.

- Wprost przeciwnie - odparł Havel ze śmiechem. A potem długi czas bawił się dziecinnie w odgadywanie z góry, kto z przechodniów pozna aktorkę, a kto nie, i zakładał się z nią, ile osób pozna ją na następnej ulicy. A oglądali się za nią starsi panowie, wiejskie baby, dzieci, a także i tych kilka przystojnych kobiet, które w tym czasie pojawiły się w uzdrowisku.

Havel, który ostatnie dni przeżywał w stanie upokarzającej niewidzialności, czuł się zainteresowaniem przechodniów mile polectany i zapragnął, aby jak najwięcej promieni tego zainteresowania spłynęło również na niego; objął więc aktorkę wpół, nachylał się ku niej, szeptał jej do ucha różne mile i frywolne słówka, tak że i ona w rewanżu przytulała się do niego i wznosiła ku jego twarzy rozbawione oczy. W ogniu rozlicznych spojrzeń Havel czuł, jak odzyskuje utraconą widzialność, jak jego zamazane rysy znów stają się ostre i wyraźne, znów czuł dumną radość ze swego ciała, ze swoich ruchów, ze swego istnienia.

Kiedy tak, spleceni czułym uściskiem, szli z wolną główną ulicą koło wystaw sklepowych, w sklepie myśliwskim zobaczył Havel jasnowłosą masażystkę, która tak niegrzecznie go wczoraj potraktowała: stała w pustym sklepie i trąkotała ze sprzedawczynią.

- Chodź - powiedział do zdziwionej żony - jesteś najwspanialszą istotą na świecie, chcę cię czymś obdarować; wziął ją za rękę i wszedł do sklepu.

Obie roztrąkotane kobiety umilkły; masażystka obrzuciła długim spojrzeniem aktorkę, potem krótkim Havla, i znowu aktorkę, i znowu Havla; Havel konstatawał to z satysfakcją, nie zaszczycając jej jednak ani jednym spojrzeniem, i szybko obrzucił wzrokiem wystawione artykuły; były tam rogi, torby, śrutownice, lornetki, laski, koszyki dla psów.

- Pan sobie życzy? - spytała ekspedientka.

- Chwileczkę - rzekł Havel; w końcu zobaczył pod szybą lady czarne trąbki; wskazał na jedną z nich. Sprzedawczyni mu ją podała, Havel przytknął trąbkę do ust, zatrąbił, potem obejrzał trąbkę ze wszystkich stron i znowu cicho zatrąbił.

- Doskonała - pochwalił zwracając się do sprzedawczyni i położył przed nią pięć koron. Trąbkę podał żonie.

Aktorka dopatrzyła się w podarunku symbolu uwielbianej przez nią dziecinady małżonka, jego hultajstwa, jego poczucia absurdu i podziękowała mu ślicznym, zakochanym spojrzeniem. Ale Havlowi to nie wystarczyło.

- To ma być cała twoja wdzięczność za tak wspaniały dar? - szepnął.

Aktorka więc pocałowała go. Obie kobiety nie spuszczały z nich wzroku, nawet kiedy wychodzili już ze sklepu.

Potem znowu wałęsali się po ulicach i po parku, chrupali opłatki, trąbili na trąbce, siedzieli na ławce i robili zakłady, ilu przechodzących się obejrzy. Kiedy wieczorem wchodzili do restauracji, omal nie zderzyli się z kobietą podobną do rasowego konia. Popatrzyła na nich zaskoczona, długo na aktorkę, krótko na Havla, i znowu na aktorkę, a kiedy ponownie zwróciła wzrok na Havla, mimo woli mu się ukloniła. Havel odklonił się jej, po czym nachyliwszy się do ucha swej żony, zapytał szeptem, czy go kocha. Aktorka obrzuciła go zakochanym wzrokiem i pogładziła po twarzy.

Usiedli przy stoliku, zamówili jakieś skromne danie (aktorka bowiem skrupulatnie pilnowała diety męża), pili czerwone wino (bo tylko to jedno wolno było pić Havlowi) i na panią Havlową przyszła chwila czułości. Pochyliła się ku mężowi, ujęła go za rękę i oświadczyła, że jest to jeden z najpiękniejszych dni w jej życiu; wyznała, jak jej było smutno, kiedy wyjeżdżał na kurację; raz jeszcze przeproszała za swój zwariowany, zazdrosny list i dziękowała za to, że Havel do niej zadzwonił i zaprosił ją do siebie; powiedziała, że warto by jej było tu przyjechać, choćby go miała widzieć tylko przez minutę; rozwiodła się następnie nad tym, że życie z nim jest dla niej życiem w ustawicznym niepokoju i niepewności, jak gdyby mąż stale i wciąż jej się wymykał, ale że właśnie dlatego każdy dzień jest dla niej nowym przeżyciem, nowym zakochaniem, nowym podarunkiem.

Wreszcie odeszli razem do jednoosobowego pokoju Havla i radość aktorki wkrótce osiągnęła swój punkt kulminacyjny.

**10** W dwa dni później doktor Havel znów wybrał się na masaż zwany subakwalnym, i znów przyszedł nieco za późno, ponieważ, prawdę mówiąc, nigdy i nigdzie nie przychodził na czas. I znów była tam jasnowłosa masażystka, tylko że tym razem nie patrzyła na niego spode łba, lecz wprost przeciwnie - uśmiechała się i zwróciła się doń per panie doktorze, z czego Havel wywnioskował, że poszła do kancelarii przeczytać jego kartę kuracyjną albo też zasięgnęła o nim języka. Doktor Havel z zadowoleniem odnotował ten dowód zainteresowania i zaczął się rozbierać w kabinie za zasłoną. Kiedy masażystka zawołała, że wanna jest już pełna, wyszedł z dumnie wypiętym pępkiem i z rozkoszą wyciągnął się w wodzie.

Masażystka odkręciła kurek na desce rozdzielczej i zapytała, czy żona doktora przebywa jeszcze w uzdrowisku. Havel odpowiedział, że nie, masażystka zaś spytała, czy małżonka znów wystąpi w jakimś ciekawym filmie, Havel odparł, że tak, a masażystka uniosła jego prawą nogę. Kiedy strumień wody polectał go w podeszwę, masażystka uśmiechnęła się i zauważyła, że - jak widać - pan doktor ma bardzo wrażliwe ciało. Potem rozmawiali dalej i Havel oświadczył, że strasznie tu w uzdrowisku nudno. Masażystka uśmiechnęła się znacząco i odparła, że pan doktor z pewnością umie sobie urządzić życie tak, by mu się nie nudziło. Kiedy zaś pochyliła się nad nim głęboko, przejeżdżając mu wylotem gumowego węża po



piersiach, a Havel pochwalił jej biust, którego górną połowę dobrze widział leżąc w tej pozycji, masażystka odpowiedziała, że pan doktor na pewno widział już ładniejsze.

Z tego wszystkiego jasne się stało dla Havla, że krótka obecność jego żony odmieniła go całkowicie w oczach miłego, muskularnego dziewczęcia, że nabrał nagle powabu, uroku, i co więcej: że jego ciało niewątpliwie stanowi dla tej dziewczyny okazję, by wejść potajemnie w zażyłe stosunki ze znaną aktorką, by stać się równą słynnej kobiecie, za którą wszyscy się oglądają; Havel zrozumiał, że naraz wszystko stało się dla niego dostępne, wszystko jest z góry milcząco przyobiecane.

Tylko że tak to już zwykle bywa, iż kiedy człowieka przepelnia zadowolenie, lubi z pychą odrzucać okazje, które mu się nasuwają, by utwierdzić się w uczuciu błogiej sytości. Havlowi całkowicie wystarczało, że jasnowłosa dziewczyna utraciła swoją arogancką nieprzystępność, że ma słodki głos i pokorne oczy, że mu się tym samym wręcz ofiarowuje - i ani trochę jej nie pragnął.

Musiał się potem obrócić na brzuch, podnieść brodę i pozwolić, by od stóp do głów jeździł po nim silny strumień wody. Ta pozycja wydała mu się pozycją pobożną, wyrażającą pokorę i dziękczynienie: myślał o swojej żonie, o tym, jaka jest piękna, o tym, jak on ją kocha i jak ona kocha jego, i o tym, że to jest jego szczęśliwa gwiazda zyskująca mu przychyłność losu i muskularnych dziewcząt.

A kiedy masaż się skończył i doktor podniósł się w wannie, by z niej wyjść, zlane potem masażystka wydała mu się tak tryskająca zdrowiem i urodą, jej oczy zaś tak pełne pokornego oddania, że zapragnął złożyć ukłon w tę stronę, gdzie w oddali wyczuwał obecność swej żony. Miał wrażenie, że ciało masażystki stoi tu na wielkiej dłoni aktorki i że ta ręka podaje mu je jako miłosne posłanie, jako dar ofiarowany z miłości. I wydało mu się nagle grubiaństwem wobec własnej żony odrzucenie tego daru, odrzucenie tego tkliwego dowodu pamięci. Uśmiechnął się więc do spoconej dziewczyny i powiedział, że zarezerwował sobie dla niej dzisiejszy wieczór i że będzie na nią czekał o siódmej koło Gorącego Źródła. Dziewczyna wyraziła zgodę, a Havel owinął się dużym ręcznikiem.

Kiedy się ubrał i przycesał włosy, stwierdził, że jest w wyśmienitym humorze. Miał ochotę sobie pogadać, toteż wpadł do Franciszki, którą jego odwiedziny bardzo ucieszyły, jako że i ona była w szampańskim nastroju. Opowiadała piąte przez dziesiąte różne różności, ale stale powracała do tematu, który poruszyli przy ostatnim spotkaniu, mówiła o swoim wieku i w niejasno sformułowanych zdaniach zaznaczała, że człowiek nie powinien kapitulować w obliczu swego wieku, że lata nie zawsze są zawadą i że to cudowne uczucie, kiedy się człowiek przekona, że spokojnie może się zmierzyć z tymi młodszymi.

- A dzieci też nie są wszystkim - sprecyzowała bliżej swoją myśl - wiesz dobrze, jak je kocham, ale są na świecie również inne rzeczy.

Wypowiedzi Franciszki ani na chwilę nie wykraczały poza ramy nieokreślonej abstrakcji i komuś niewtajemniczonemu z pewnością wydałyby się zwykłą paplaniną. Havel jednak nie był człowiekiem niewtajemniczonym i widoczny był dla niego sens, który krył się za ową paplaniną. Stwierdził, że jego własne szczęście jest jedynie ogniwem w całym łańcuchu szczęścia, a że miał serce pełne życzliwości, jego znakomity nastrój jeszcze się spotęgował.

**11** Tak, doktor Havel trafnie się domyślał: redaktor odszukał lekarkę jeszcze tegoż samego dnia, kiedy mu ją mistrz zarekomendował. Już po kilku zdaniach odkrył w sobie zadziwiająco odwagę i oświadczył jej, że mu się podoba i chciałby się z nią spotkać. Lekarka lękliwie bąkała coś o tym, że jest od niego starsza, że ma dzieci. To nappełniło redaktora pewnością siebie i zalał lekarkę potokiem słów: twierdził, że ma ona w sobie ukryte piękno, które znaczy więcej niż banalna uroda, chwalił jej sposób chodzenia i oświadczył, że kiedy idzie, jej nogi po prostu mówią.

W dwa dni później, tego samego wieczoru, gdy doktor Havel ochoczo zmierzał do Gorącego Źródła, gdzie już z daleka dostrzegł muskularną blondynkę, redaktor przechadzał się nerwowo po swojej ciasnej mansardzie; był niemal pewien sukcesu, ale tym bardziej lękał się jakiegoś błędu czy przypadku, który mógłby go tego sukcesu pozbawić; co chwila otwierał drzwi, by wyrzucić na schody, wreszcie ją zobaczył.

Staranność, z jaką pani Franciszka była ubrana i umalowana, oddaliła ją nieco od codziennego obrazu kobiety w białych spodniach i białym kitlu; roztrzęsionemu młodzieńcowi wydało się, że jej erotyczny powab, dotąd jedynie przeczuwany, stoi tu przed nim niemal bezwstydnie obnażony, i ogarnęła go pełna respektu nieśmiałość. By ją przewyciężyć, już w otwartych drzwiach chwycił lekarkę w ramiona i zaczął ją zapamiętale całować. Przestraszyła ją ta gwałtowność i poprosiła młodzieńca, by pozwolił jej usiąść. Puścił ją, ale natychmiast usiadł u jej stóp i zaczął całować jej pończochy na kolanach. Położyła rękę na jego włosach i usiłowała delikatnie go odepchnąć.

Posłuchajmy, co do niego mówiła. Najpierw powtórzyła parę razy: „musi pan być greczny, musi pan być greczny, proszę mi obiecać, że będzie pan greczny”. Kiedy zaś młodzieniec mamrocząc „tak, tak, będę greczny”, przesuwając jednocześnie ustami po szorstkiej tkaninie, mówiła „nie, nie, tak nie można, tak nie...”, a kiedy posunął się jeszcze wyżej, zaczęła nagle mówić mu ty i oświadczyła: „jesteś dzikus, och, jaki dzikus!”

To oświadczenie rozstrzygnęło o wszystkim. Młodzieniec nie natrafił na żaden opór. Był upojony, upojony samym sobą, upojony błyskawicznością swego sukcesu, upojony doktorem Havlem, którego geniusz udzielił mu się i był obecny w nim samym, upojony nagością kobiety, która leżała pod nim złączona z nim w miłosnym uścisku. Chciał być mistrzem, chciał być wirtuozem, chciał się okazać zmysłowy i drapieżny. Unosił się lekko nad lekarką, ogarniał dzikim wzrokiem jej leżące ciało i mamrotał:

- Jakaś ty piękna, jakaś ty cudowna, cudowna...

Lekarka zasłoniła brzuch obiema rękami i rzekła:

- Nie kpij ze mnie...

- Co ty wygadujesz, ja nie kpię, jesteś cudowna!

- Nie patrz na mnie. - Przyciągnęła go do siebie, by nie mógł jej widzieć. - Ja urodziłam dwoje dzieci, wiesz?

- Dwoje dzieci? - nie rozumiał młodzieniec.

- Poznać to po mnie, nie przyglądaj mi się.

Trochę przyhamowało to początkowy rozpęd młodzieńca i z trudnością usiłował się wprowadzić z powrotem w stan należytego uniesienia; żeby łatwiej mu to poszło, starał się ulatującą upojność rzeczywistości podtrzymać słowami i szeptał lekarce do ucha, że to cudowne, że jest z nim tutaj naga, zupełnie naga.

- Jesteś miły, strasznie miły - mówiła lekarka.

Młodzieniec nadal powtarzał słowa o jej nagości i pytał, czy i ją podnieca to, że jest z nim tutaj naga.

- Dzieciak z ciebie - rzekła lekarka. - Tak, to podniecające. - Ale po krótkiej chwili dodała, że tyłu już lekarzy widziało ją nagą, że nawet nie zdaje już sobie z tego sprawy.

- Więcej lekarzy niż kochanków - zaśmiała się i zaczęła opowiadać o swoich ciężkich porodach. - Ale warto było - rzekła w końcu. - Mam dwoje ślicznych dzieci. Ślicznych, ślicznych!

Z trudem odzyskane uniesienie znów zaczęło wyparowywać z redaktora, doznał nawet uczucia, że siedzą w kawiarni i gawędzą sobie z lekarką przy filiżance kawy; zirytowało go to, zaczął ją znowu pieścić zachłannie i drapieżnie i jeszcze raz spróbował przyciągnąć jej myśli ku obrazom bardziej zmysłowym.

- Kiedy ostatnim razem do ciebie przyszedłem, czy wiedziałaś, że będziemy się kochać?

- A ty?

- Chciałem tego - rzekł redaktor. - strasznie tego chciałem. - W słowo „chciałem” włożył bezgraniczną namiętność.

- Jesteś taki sam jak mój syn - śmiała mu się lekarka do ucha. - On też wszystkiego by chciał. Zawsze go się pytam: „A zegarka z wodotryskiem byś nie chciał”?

Tak to przebiegał ich akt miłosny; pani Franciszka wygadała się za wszystkie czasy.

Kiedy potem siedzieli obok siebie na tapczanie, nadzy i wyczerpani, lekarka gładząc redaktora po włosach powiedziała:

- Masz łupież, tak samo jak on.

- Kto?

- Mój syn.

- Bez przerwy myślisz o synu - rzekł redaktor z nieśmiałym wyrzutem.

- Wiadomo - odparła z dumą - to synek mamy, ukochany synek mamy.

Potem wstała i zaczęła się ubierać. I nagle w tym kawalerskim pokoiku doznała uczucia, że jest młodą, zupełnie młodą dziewczyną, i poczuła się szaleńczo szczęśliwa. Kiedy odchodziła, ucałowała redaktora, a oczy miała wilgotne z wdzięczności.

**12** Po pięknej nocy nastał dla Havla piękny dzień. Po X ęd śniadaniu zamienił kilka wymownych słów z kobietą podobną do rasowego konia, a o dziesiątej, kiedy wrócił z zabiegów, czekał na niego w pokoju pełen miłości list od żony. Potem poszedł na spacer po deptaku w tłumie kuracjuszy; trzymał przy ustach porcelanowy kubek i promieniał pogodą ducha. Kobiety, które dawniej miały go nie zwracając nań uwagi, wlepiły teraz w niego wzrok, więc leciutko im się kłaniał. Ujrawszy redaktora skinął na niego wesoło.

- Byłem dzisiaj przed obiadem u naszej lekarki i sądząc z pewnych oznak, które nie mogą ujść oku dobrego psychologa, wydaje mi się, że odniósł pan sukces!

Młodzieniec niczego nie pragnął bardziej niż zwierzyć się swemu mistrzowi, jednakże własna przygoda z poprzedniego wieczoru napawała go wątpliwościami; nie był pewien, czy rzeczywiście był to wieczór tak urzekający, jak być powinien, toteż nie wiedział, czy dokładne i rzetelne sprawozdanie podniosłoby go w oczach Havla, czy też by go poniżyło; wahał się, co ma mu wyznać, a co nie.

Kiedy jednak zobaczył teraz twarz Havla jaśniejącą wesołością i bezwstydem, nie mógł odpowiedzieć mu inaczej niż tym samym tonem, wesołym i bezwstydnym, i w pełnych zachwyty słowach zaczął wychwalać kobietę, którą mu Havel polecił. Mówił o tym, jak mu się spodobała, kiedy po raz pierwszy spojrział na nią nieprowincjonalnymi oczyma, o tym, jak łatwo zgodziła się przyjść do niego, i o tym, z jak błyskawiczną szybkością ją posiadał.

Jednakże, w miarę jak doktor Havel zadawał mu różne pytania podstawowe i pomocnicze, by wydobyć wszystkie odcienie omawianej sprawy, młodzieniec w swych wypowiedziach zbliżał się mimo woli coraz bardziej do prawdy i w końcu napomknął, że aczkolwiek był ze wszystkiego ogromnie zadowolony, to jednak wprowadzała go w pewne zakłopotanie konwersacja, jaką lekarka wiodła z nim w łóżku.

Doktora Havla bardzo to zainteresowało, a kiedy wreszcie skłonił redaktora, by mu dokładnie ów dialog powtórzył, przerywał jego opowiadanie entuzjastycznymi okrzykami:

- To kapitalne! No, niebywałe! Wieczna mamusia! Przyjacielu, tego panu zazdroścuję!

W tym momencie przystanęła przed obydwoma panami kobieta podobna do rasowego konia. Doktor Havel skłonił się, a ona podała mu rękę.

- Proszę wybaczyć - rzekła - troszeczkę się spóźniłam.

- Nic nie szkodzi - odparł Havel. - Świetnie się bawimy z moim przyjacielem. Musi mi pani wybaczyć, że dokończymy jeszcze naszą rozmowę.

I nie puszczać ręki wysokiej damy zwrócił się do redaktora:

- To, co mi pan opowiadał, drogi przyjacielu, przeszło moje najśmielsze oczekiwania. Niech pan bowiem zrozumie, że zabawa własnego ciała zdana jedynie na swą niemotę jest ponuro monotonna, jedna kobieta upodabnia się wtedy do drugiej i wszystkie ulegają zapomnieniu. A przecież rzucamy się w uciechy miłosne przede wszystkim po to, by je zapamiętać! Aby ich punkty świetlne płonąca smugą połączyły naszą młodość ze starością! Aby utrzymywały naszą pamięć w wiecznym płomieniu. I niech pan wie, przyjacielu, że jedno jedyne wypowiedziane słowo jest w stanie oświetlić najpospolitszą nawet scenę tak, że się jej już zapomnieć nie da. Mówią o mnie, że jestem kolekcjonerem słów. Niech mi pan wierzy, wczorajszego wieczoru nigdy pan nie zapomni, dlatego też niech pan będzie szczęśliwy.

Po czym skinął głową młodzieńcowi i trzymając za rękę wysoką niewiastę podobną do konia, zaczął się z nią wolno oddalać deptakiem uzdrowiska.

# Edward i Bóg



**1** Historię Edwarda najdogodniej będzie nam rozpocząć w wiejskim domku jego starszego brata. Brat leżał na tapczanie i mówił do Edwarda:

- Najlepiej zwróć się do tej baby. To wprawdzie Świnia, ale ja wierzę, że nawet takie coś posiada sumienie. Właśnie dlatego, że kiedyś zrobiła mi świństwo, będzie teraz zadowolona, jeśli dasz jej okazję, by pomagając tobie, wymazała swoją dawną winę.

Brat Edwarda był wciąż taki sam: pocziwiec i leń. Tak samo zapewne rozwał się w swojej studenckiej mansardzie, kiedy wiele lat temu (Edward był wtedy jeszcze chłopaczkiem) przewalkonił i przechrapał dzień śmierci Stalina; następnego dnia, nic nie przeczuwając, przyszedł na wydział i zobaczył swoją koleżankę, studentkę Czechaczkównę, ostentacyjnie skamieniałą na środku westybulu, niczym posąg boleści; trzy razy obszedł ją naokoło, po czym zaczął się strasznie śmiać.

Urażona dziewczyna uznała śmiech kolegi za prowokację polityczną i brat musiał opuścić uniwersytet i pójść do pracy na wsi, gdzie od tego czasu sprawił sobie dom, psa, żonę, dwoje dzieci, a nawet domek weekendowy.

W tym właśnie domku leżał teraz na tapczanie i przemawiał do Edwarda:

- Mówiliśmy o niej karzący bicz klasy robotniczej. Ale tym w końcu nie musisz się przejmować. Dzisiaj to jest podstarzała babka, a zawsze leciała na młodych chłopców, tak że na pewno chętnie ci pomoże.

Edward był wtedy bardzo młody. Ukończył właśnie studia pedagogiczne (te, których nie ukończył jego brat) i szukał posady.

Posłuszny radom brata, następnego dnia zapukał do drzwi dyrektorskiej kancelarii. Po chwili ujrzał wysoką, kościstą niewiastę z tłustymi, czarnymi jak u Cyganki włosami, czarnymi oczyma i czarnym meszkiem pod nosem. Jej brzydota uwolniła go od tremy, o którą przy jego młodym wieku wciąż jeszcze przyprawiała go kobieca uroda, tak że udało mu się mówić swobodnie, z dużym wdziękiem, a nawet galanterią. Dyrektorce wyraźnie spodobał się ton jego wypowiedzi i parę razy oświadczyła z bijącą w oczy egzaltacją:

- Potrzeba nam tutaj młodych ludzi.  
Obiecała, że załatwi jego sprawę.

**2** Tak więc został Edward nauczycielem w małym czeskim miasteczku. Nie cieszył się tym ani nie martwił. Zawsze starał się rozróżnić, co poważne, a co niepoważne, a swoją nauczycielską karierę zaszeregował do kategorii rzeczy niepoważnych. Nie żeby praca nauczycielska była niepoważna jako taka czy też jako źródło środków utrzymania (w tym sensie, przeciwnie, zależało mu na niej, ponieważ wiedział, że w żaden inny sposób tych środków nie zdobędzie), ale uważał ją za niepoważną ze względu na swój charakter. Nie wybrał sobie tego zawodu. Wybrało mu go zapotrzebowanie społeczne, opinia wydziału kadr, świadectwo szkoły średniej, egzaminy wstępne. Połączony mechanizm wszystkich tych sił przerzucił go w końcu (tak jak dźwиг przerzuca worek na ciężarówkę) z gimnazjum na wydział pedagogiczny. Szedł tam niechętnie (ten wydział był w jakiś zabobonny sposób napiętnowany niepowodzeniem brata), w końcu jednakże uległ. Zrozumiał bowiem, że praca będzie w jego życiu rzeczą jedynie przypadkową. Że będzie do niego przylepiona jak sztuczna broda, która budzi śmiech.

Jeśli jednak obowiązek jest czymś niepoważnym (budzącym śmiech), to na odwrót, poważne jest to, co jest nieobowiązujące: wkrótce znalazł sobie Edward w nowym miejscu pobytu młodą dziewczynę, która wydawała mu się prześliczna, i zaczął poświęcać jej czas z powagą niemal autentyczną. Na imię miała Alicja i była, jak ku swemu żalowi przekonał się w czasie pierwszych spotkań, pełna rezerwy i bardzo cnotliwa.

Wiele razy podczas wieczornych przechadzek usiłował otoczyć ramieniem jej plecy tak, by od tyłu dotknąć skraju prawej piersi, ale za każdym razem chwytala go za rękę i odsuwała ją. Pewnego dnia, gdy znowu powtórzył tę próbę, a ona (znowu) odsunęła jego rękę, przystanęła i spytała:

- Czy ty wierzysz w Boga?

Swoim czułym uchem Edward dosłyszał w tym pytaniu ukryty nacisk i natychmiast zapomniał o piersi.

- Wierzysz? - powtórzyła swe pytanie Alicja, a Edward nie miał odwagi odpowiedzieć. Nie miejmy mu za złe tego lęku przed szczerością; na nowym miejscu czuł się samotny, a Alicja zanadto mu się podobała, żeby z powodu jednej jedynej odpowiedzi miał ją do siebie zrazić.

- A ty? - zapytał, żeby zyskać na czasie.

- Ja tak - odparła Alicja i znowu zaczęła nalegać, żeby odpowiedział.

Nigdy jeszcze do tej pory nie przyszło mu do głowy, żeby wierzyć w Boga. Ale zrozumiał, że nie wolno mu się do tego przyznać, ba, wprost przeciwnie, że powinien teraz skorzystać z okazji i z wiary w Boga zmajstrować sobie drewnianego konia, w którego wnętrzu mógłby, wedle antycznego przykładu, wśliznąć się niepostrzeżenie do duszy dziewczyny. Tylko że Edward nie potrafił ot tak, po prostu odpowiedzieć Alicji: tak, wierzę w Boga; nie był ani trochę cyniczny i wstyd mu było kłamać; brutalna prostolinijność kłamstwa napelniała go odrazą; jeśli zaś kłamstwo było już nieodzowne, chciał nawet kłamiąc pozostać jak najbliższy prawdy. Dlatego też tonem niesłychanie zadumanym odparł:

- Sam nie wiem, Alicjo, co ci mam na to powiedzieć. Oczywiście, wierzę w Boga. Ale...

- Zamilkł na chwilę, Alicja zaś podniosła na niego zdziwione spojrzenie. - Ale chciałbym być z tobą całkiem szczery. Czy mogę być z tobą szczery?

- Musisz być szczery - rzekła Alicja. - Inaczej to, że chodzimy z sobą, nie miałoby sensu.

- Naprawdę?

- Naprawdę - potwierdziła Alicja.

- Czasami ogarniają mnie wątpliwości - rzekł Edward cichym głosem. - Czasami wątpię w to, czy On naprawdę istnieje.

- Jak możesz w to wątpić! - krzyknęła niemal Alicja.

Edward milczał, ale po chwili zastanowienia przypomniała mu się znana myśl:

- Kiedy widzę tyle zła wokół siebie, często zadaję sobie pytanie, czy to możliwe, by istniał Bóg, który na to wszystko pozwala.

Zabrzmiało to tak smętnie, że Alicja chwyciła go za rękę.

- Tak, świat rzeczywiście jest pełen zła... Wiem o tym aż za dobrze. Ale właśnie dlatego musisz wierzyć w Boga. Bez Niego wszystkie te cierpienia byłyby daremne. Nic by nie miało sensu. Nie mogłabym wtedy w ogóle żyć.

- Może masz rację - rzekł Edward w zadumie, a w niedzielę poszedł z nią do kościoła. Umoczył palec w kropielnicy i przeżegnał się. Potem była msza, wszyscy śpiewali i on wraz z innymi śpiewał pobożną pieśń, której melodia była mu znana, ale słowa nie znane. Zamiast właściwych słów dobierał więc tylko różne samogłoski i włączał swój głos o ułamek sekundy później niż inni, ponieważ i melodię znał słabo. Za to w chwili, gdy był już pewny trafności wziętego tonu, pozwalał swemu głosowi rozbrzmiewać pełną siłą, tak że po raz pierwszy w życiu uświadomił sobie, iż ma piękny bas. Potem wszyscy zaczęli odmawiać Ojcze Nasz, a niektóre starsze niewiasty klękały na ziemi. Nie mógł się oprzeć wewnętrznemu przymusowi i również ukląkł na kamiennej posadzce. Potężnymi wymachami ramienia zęgnął się znakiem krzyża i doznawał przy tym fantastycznego uczucia, że może robić coś, czego nigdy w życiu nie robił, czego nie może robić ani w klasie, ani na ulicy, ani nigdzie. Czuł się cudownie wolny.

Kiedy wszystko się skończyło, Alicja spojrzała na niego rozplomienionym wzrokiem.

- Czy możesz jeszcze powiedzieć, że w coś wątpisz?

- Nie - odrzekł Edward.

A Alicja dodała:

- Chciałabym cię nauczyć kochać Go, tak jak ja Go kocham.

Stali na szerokich schodach wiodących do kościoła, a dusza Edwarda pełna była śmiechu. Na nieszczęście w tej właśnie chwili przechodziła obok dyrektorka i zobaczyła ich.

**3** Niedobrze się stało. Musimy bowiem przypomnieć (tym, którym być może wymyka się historyczne tło tego zdarzenia), że kościół wprawdzie nie był wówczas zakazany, niemniej jednak niezbyt bezpiecznie było do niego chodzić.

Nie tak znowu trudno to zrozumieć. Ci, którzy wywalczyli zwycięstwo tak zwanej rewolucji, kultywują w sobie wielką dumę, która nazywa się: stać po właściwej stronie barykady. Kiedy od tego czasu minęło już dziesięć, dwanaście lat (jak to ma miejsce w opisanym wypadku), linia barykady zaczyna się rozpląwać, a wraz z nią również i ta właściwa strona. Nic dziwnego, że dawni entuzjaści rewolucji czują się oszukani i pośpiesznie zaczynają szukać barykady zastępczej; dzięki religii mogą (jako ateści przeciwko wierzącym) stać znowu w pełni chwały po właściwej stronie i w ten sposób zachować tak dla nich cenny patos wyższości, do którego przywykli.

Ale prawdę mówiąc i dla tych drugich owa zastępcza barykada była rzeczą wygodną i nie będzie to chyba z naszej strony przedwczesny pośpiech, jeśli zdradzimy, że do tych drugich właśnie należała Alicja. Tak jak dyrektorka chciała stać po właściwej stronie, tak samo Alicja chciała stać po stronie przeciwnej. W dniach rewolucji bowiem upaństwowiono sklep jej ojca i Alicja nienawidziła tych, którzy się do tego przyczynili. Ale jak miała dać wyraz swojej nienawiści? Wziąć nóż i pomścić ojca? To nie jest w Czechach w zwyczaju. Alicja miała lepszy sposób, by zmanifestować swoją przeciwność. Zaczęła wierzyć w Boga.

Tak to Bóg przychodził z pomocą obydwu stronom i Jego to zasługa, że Edward znalazł się teraz wzięty w dwa ognie.

Kiedy w poniedziałek rano w pokoju nauczycielskim podeszła do niego dyrektorka, poczuł się bardzo niepewnie. Nie mógł bowiem odwołać się do przyjacielskiej atmosfery ich pierwszej rozmowy, ponieważ od tego czasu (czy to na skutek swojej niezdolności do kłamstwa, czy swojej nonszalancji) nigdy nie kontynuował z nią dwornych konwersacji. Dyrektorka mogła zatem pełnym prawem zwrócić się do niego z ostentacyjnie chłodnym uśmiechem:

- Myśmy się wczoraj widzieli, prawda?

- Tak, widzieliśmy się - rzekł Edward.

- Nie rozumiem - ciągnęła dalej dyrektorka - jak młody człowiek może chodzić do kościoła.

Edward skonsternowany wzruszył ramionami, dyrektorka zaś pokręciła głową.

- Młody człowiek...

- Poszedłem obejrzeć barokowe wnętrze świątyni - próbował usprawiedliwić się Edward.

- Ach tak - rzekła dyrektorka z ironią. - Nie wiedziałam, że pan ma takie artystyczne zainteresowania.

Ta rozmowa nie była przyjemna dla Edwarda. I przypomniało mu się, jak to jego brat obszedł trzy razy naokoło swoją uniwersytecką koleżankę i jak strasznie się przy tym śmiał. Wydało mu się, że historia rodzinna się powtarza, i chwycił go strach.

W sobotę przeprosił przez telefon Alicję, że nie pójdzie nazajutrz do kościoła, bo jest przeziębiony.

- Jesteś jakoś szalenie wrażliwy - wytknęła mu to Alicja w poniedziałek, a Edward odniósł wrażenie, że jej słowa brzmią bezlitośnie. Zaczął jej więc opowiadać (zagadkowo i mętnie, ponieważ do swego strachu i prawdziwych jego przyczyn wstydził się przyznać), o krzywdzie, jaka mu się dzieje w szkole, i o groźnej dyrektorce, która prześladowuje go bez powodu. Chciał zmusić Alicję do litości i tkliwego współczucia, ale ona rzekła:

- A moja szefowa jest całkiem fajna. - Iz chichotem zaczęła opowiadać jakieś dyrdymałki ze swojego miejsca pracy. Edward słuchał jej wesołego szczebiotu i robił się coraz smutniejszy.

**4** Panie i panowie, to były tygodnie udręki! Edward piekielnie pożądał Alicji. Jej ciało rozniecało w nim płomienie i właśnie to ciało było dla niego absolutnie nieosiągalne. Dręcząca była też sceneria, w której odbywały się spotkania: albo przez godzinę lub dwie wałęsali się po ciemnych ulicach, albo też szli do kina: stereotypowość i znikome możliwości erotyczne obu tych wariantów (innych nie było) podszeptowały Edwardowi, że być może uzyskałby bardziej konkretne awanse ze strony Alicji, gdyby mógł się z nią spotkać w innych warunkach.

Zaproponował jej raz z dziecięcą prostotą, że mogliby na sobotę i niedzielę pojechać na wieś do jego brata, który ma letni domek w lesistej dolinie nad rzeką. Z zapalem wyliczał dziewczynie niewinne uroki natury, Alicja jednak (we wszystkich innych sprawach naiwna i łatwowierna) sprytnie go przejrzała i kategorycznie odrzuciła propozycję. To nie tylko Alicja bowiem była tą, która mu się sprzeciwiała. Był to sam (wiecznie czujny i podejrzliwy) Bóg Alicji.

Ten Bóg ulepiony był z jednej, jedynej idei (innych życzeń ani myśli nie posiadał): zabraniał miłości pozamałżeńskiej. Był to więc dosyć zabawny Bóg, ale nie śmiejmy się dlatego z Alicji. Z dziesięciorga przykazań, które przekazał Mojżesz ludzkości, dziewięć pozostawało w jej duszy niezagrożonych, ponieważ Alicja nie miała chęci ani zabijać, ani nie czcić ojca, ani pożądać żony bliźniego swego; jedno jedyne przykazanie odczuwała jako



nieoczywiste, a zatem jako istotną trudność i zadanie do spełnienia: było to słynne szóste przykazanie: nie cudzołóż. Jeżeli chciała swoją wiarę wprowadzić jakoś W czyn, udowodnić i zademonstrować, musiała trzymać się tego właśnie jednego przykazania, przez co z mglistego, niejasnego, abstrakcyjnego Boga uczyniła sobie Boga całkiem określonego, zrozumiałego i konkretnego: Boga Niespółkowania.

Proszę państwa, gdzie właściwie zaczyna się rozpusta? Każda kobieta określa tę granicę według kryteriów całkowicie niezbadanych. Alicja dosyć chętnie pozwalała, by ją Edward całował, a po wielu, wielu próbach z jego strony zgadzała się nawet, by ją gładził po piersiach, jednakże pośrodku swego ciała, mniej więcej na wysokości pępka, nakreśliła surową i absolutnie bezkompromisową linię, poniżej której rozciągał się teren świętych zakazów, teren Mojżeszowego sprzeciwu i gniewu Pana.

Edward zaczął czytać Biblię i studiować podstawową literaturę teologiczną; postanowił potykać się z Alicją jej własną bronią.

- Alusiu - powiedział któregoś dnia - jeśli kochamy Boga, nic nie jest dla nas zakazane. Jeśli czegoś pragniemy, dzieje się to z Jego przyzwoleniem. Chrystus nie pragnął niczego innego, jak tylko tego, byśmy się wszyscy kierowali miłością.

- Tak - odparła Alicja - ale inną, niż ty masz na myśli.

- Miłość jest tylko jedna - rzekł Edward.

- To by ci dogadzało - powiedziała Alicja - tylko że Bóg ustanowił pewne przykazania, i według nich musimy postępować.

- Tak, Bóg starozakonny - rzekł Edward - ale nie Bóg chrześcijan.

- Jak to? Przecież Bóg jest tylko jeden - zaprotestowała Alicja.

- Tak, ale trochę inaczej pojmowali Go starozakonni Żydzi, a trochę inaczej my. Przed narodzeniem Chrystusa człowiek musiał przede wszystkim przestrzegać pewnego określonego systemu boskich nakazów i praw. Jaki był wewnątrz, to nie miało większego znaczenia. Chrystus jednakże uważał te różne zakazy i nakazy za sprawę zewnętrzną. Dla Niego najważniejsze było, jaki jest człowiek w swoim wnętrzu. Jeśli człowiek będzie kierował się swoją płomienną i wierzącą duszą, wszystko, co uczyni, będzie dobre i spodoba się Bogu. Dlatego przecież święty Paweł powiedział: dla czystego wszystko czyste.

- Tylko czy akurat ty jesteś ten czysty - powiedziała Alicja.

- A święty Augustyn - ciągnął Edward - powiedział: Miłuj Boga i czyn, co ci się spodoba. Rozumiesz to, Alicjo? Miłuj Boga i czyn, co ci się spodoba!

- Tylko że to, co się podoba tobie, nigdy nie spodoba się mnie - odparła Alicja i Edward zrozumiał, że jego teologiczny atak tym razem całkowicie zawiódł, toteż oświadczył:

- Ty mnie nie kochasz.

- Kocham - rzekła Alicja straszliwie rzeczowo. - I dlatego nie chciej, żebyśmy robili coś, czego nam robić nie wolno.

Jak już powiedzieliśmy, były to tygodnie udręki. A udręka Edwarda była tym większa, że jego pożądanie nie było bynajmniej jedynie tęsknotą ciała za ciałem, na odwrót: im ostrzejszą odprawę dawało mu ciało Alicji, tym bardziej stawał się stęskniony i zbolaty i tym bardziej pragnął również jej serca, jednakże ani jej ciało, ani serce nie chciały o tym wiedzieć, obydwie były jednakowo chłodne, jednakowo zamknięte w sobie, zadowolone i samowystarczalne.

Najbardziej drażniła Edwarda w Alicji ta właśnie niewzruszona wstrzeźliwość w okazywaniu uczuć. Choć poza tym był to młodzieniec dosyć trzeźwy, zaczął marzyć o jakimś ekstrawaganckim czynie, którym by Alicję w jej niewzruszoności poruszył. A ponieważ zbyt ryzykowne było prowokowanie jej ekstrawagancjami bluźnierczymi czy cynicznymi (ku którym skłaniała go jego natura), musiał wybrać ekstrawagancje właśnie odwrotne (a tym samym o wiele uciążliwsze), które wypływałyby z przekonań samej Alicji, ale stopniować je tak, aby się czuła nimi zawstydzona. Wyrażając się jaśniej: Edward zaczął przesadzać ze

swoją pobożnością. Nie opuszczał już żadnej niedzielnej mszy w kościele (pragnienie zdobycia Alicji było większe niż strach przed nieprzyjemnościami) i zachowywał się tam z egzaltowaną pokorą: klękał przy każdej okazji, podczas gdy Alicja modliła się obok niego i żegnała stojąc, ponieważ bała się o pończochy.

Pewnego dnia wytknął jej religijną letniość. Przypomnił jej słowa Jezusa: „Nie każdy, kto mówi mi Panie, Panie, wejdzie do Królestwa Niebieskiego.” Zarzucił jej, że jej wiara jest formalna, zewnętrzna, płytka. Wytknął jej wygodnictwo. Wytknął jej zbytne zadowolenie z samej siebie. Wytknął jej, że poza sobą nikogo nie widzi.

Kiedy tak perorował (Alicja nie była przygotowana na jego atak i broniła się słabo), ujrzał nagle naprzeciw siebie krzyż, stary, zaniedbany żelazny krzyż z zardzewiałym blaszanym Chrystusem, stojący na rogu ulicy. Demonstracyjnie wysunął rękę spod ramienia Alicji, zatrzymał się i (na znak protestu wobec jej obojętnego serca i na znak swojej nowej ofensywy) przeżegnał się z buntowniczą ostentacją. Nie mógł nawet sprawdzić, jakie wrażenie wywarło to na Alicji, ponieważ w tym momencie ujrzał po drugiej stronie ulicy woźną ze szkoły. Przyglądała mu się. Edward zrozumiał, że jest zgubiony.

**5** Jego przeczucie sprawdziło się, kiedy w dwa dni później woźna zatrzymała go na korytarzu i donośnym głosem oznajmiła, że nazajutrz o godzinie dwunastej Edward ma się stawić w gabinecie dyrektorki.

- Musimy z wami pomówić, towarzyszu.

Na Edwarda padł strach. Wieczorem spotkał się z Alicją, żeby jak zwykle godzinę czy dwie pospacerować po ulicach, ale nie kontynuował już przejawów swojej religijnej gorliwości. Był przygnębiony i pragnął zwierzyć się Alicji z tego, co go spotkało; nie odważył się jednak na to, ponieważ wiedział, że dla ocalenia nie lubianej (lecz niezbędnej) posady gotów jest jutro zdradzić Pana Boga bez wahania. O nieszczęsnym wezwaniu nie wspomniął więc ani słowem, tak że nie otrzymał żadnego pocieszenia. Następnego dnia wchodził do dyrektorskiego gabinetu z poczuciem absolutnej samotności wewnętrznej. W pokoju czekało na niego czterech sędziów: dyrektorka, woźna, jeden z kolegów Edwarda (malutki, w okularach) i jakiś nieznajomy pan (siwowłoso), do którego obecni zwracali się per towarzyszu inspektorze. Dyrektorka kazała Edwardowi usiąść, po czym oświadczyła mu, że został tu wezwany na czysto przyjacielską i nieoficjalną rozmowę, ponieważ wszyscy tu obecni zaniepokojeni są jego zachowaniem w życiu pozaszkolnym. Przy tych słowach spojrziała na inspektora, a ten potakująco skinął głową; następnie skierowała wzrok na nauczyciela w okularach, który przez cały czas uważnie się w nią wpatrywał i ledwo uchwycił jej spojrzenie, natychmiast rozpoczął odpowiednią orację; mówił o tym, że chcemy wychowywać młodzież zdrową i wolną od przesądów i cała odpowiedzialność za nią spada na nas, ponieważ my (nauczyciele) służymy jej za wzór; dlatego właśnie nie możemy w murach naszej szkoły tolerować dewotów; długo rozwijał tę myśl, a w końcu określił praktyki Edwarda jako hańbę dla całej szkoły.

Jeszcze kilka minut temu Edward był przekonany, że zaprze się swego Boga, którego niedawno sobie sprawił, i przyzna się, że chodzenie do kościoła i publiczne żeganie się znakiem krzyża było z jego strony jedynie błazenadą. Teraz jednak, oko w oko z konkretną sytuacją, poczuł, że nie może tego zrobić; nie może przecież tym czworgu ludziom, tak poważnym i szczerze przejętym, powiedzieć, że przejmują się jedynie jakimś nieporozumieniem, jakimś głupstwem; zrozumiał, że tym samym zdrwiłby mimo woli z ich powagi; zdawał sobie również sprawę, że wszyscy oczekują teraz od niego jedynie wykrętu i wymówki i z góry gotowi są je odrzucić; zrozumiał (natychmiast, na długie zastanawianie się nie było czasu), że najważniejsze w tej chwili jest to, by trzymać się jak najbliżej prawdy, mówiąc dokładniej, jak najbliżej pojęcia, jakie sobie na jego temat wyrobili, jeśli ma mu się

udać to pojęcie do pewnego stopnia skorygować; musi również do pewnego stopnia wyjść im naprzeciw.

Toteż powiedział:

- Towarzysze, czy mogę być szczerzy?

- Oczywiście - rzekła dyrektorka. - Po to tu przecież jesteście.

- A nie będziecie się gniewać?

- Mówcie.

- Dobrze, więc przyznam się wam - rzekł Edward. - Ja naprawdę wierzę w Boga.

Popatrzył na swoich sędziów i wydało mu się, że wszyscy odetchnęli z ulgą.

Napadła na niego tylko woźna:

- W dzisiejszych czasach, towarzyszu? W dzisiejszych czasach?

- Wiedziałem - ciągnął Edward - że będziecie się gniewać, kiedy powiem wam prawdę.

Ale ja nie umiem kłamać. Nie żądajcie ode mnie, żebym was okłamywał.

Odezwała się z kolei dyrektorka (łagodnie):

- Nikt nie chce, żebyście kłamali. To dobrze, że mówicie prawdę. Powiedzcie mi tylko, jak możecie wierzyć w Boga wy, młody człowiek!

- Dzisiaj, kiedy latamy na księżyc - denerwował się nauczyciel.

- To nie moja wina - rzekł Edward. - Ja nie chcę w Niego wierzyć. Naprawdę. Nie chcę.

- Jak to, nie chcecie, kiedy wierzycie? - wmieszał się do rozmowy (nadmierzając łagodnym tonem) siwowłosy pan.

- Nie chcę wierzyć, ale wierzę - cicho powtórzył Edward swoje wyznanie.

- Ależ w tym jest sprzeczność! - zaśmiał się nauczyciel.

- Towarzysze, jest tak, jak mówię - oświadczył Edward. - Wiem doskonale, że wiara w Boga odciąga nas od rzeczywistości. Co by się stało z socjalizmem, gdyby wszyscy wierzyli, że świat jest w ręku Boga? Nikt by nic nie robił, każdy liczyłby tylko na Boga.

- No właśnie - zgodziła się dyrektorka.

- Jeszcze nikt nigdy nie dowiódł, że Bóg istnieje - dorzucił nauczyciel w okularach.

- Historia ludzkości - ciągnął Edward - różni się od jej prehistorii tym, że ludzie sami wzięli w ręce swój los i Bóg nie jest im potrzebny.

- Wiara w Boga prowadzi do fatalizmu - rzekła dyrektorka.

- Wiara w Boga była dobra w średniowieczu - dodał Edward, potem coś powiedział nauczyciel, coś powiedział Edward, coś znowu inspektor, a wszystkie wypowiedzi harmonijnie się uzupełniały, aż w końcu nauczyciel-okularnik wybuchnął i przerwał Edwardowi:

- Więc dlaczego się przeżegnałeś na ulicy, skoro to wszystko wiesz?

Edward obrzucił go bezgranicznie smutnym spojrzeniem, po czym rzekł:

- Ponieważ wierzę w Boga.

- Ależ w tym jest sprzeczność - powtórzył radośnie nauczyciel.

- Tak - przyznał Edward. - Jest to sprzeczność między nauką i wiarą. Nauka to jedna sprawa, a wiara druga. Uznaję, że wiara w Boga prowadzi do ciemnoty. Uznaję, że lepiej by było, gdyby nie istniał. Ale co z tego, kiedy tutaj, w środku... - wskazał palcem na serce - czuję, że On istnieje. Proszę towarzyszy, mówię wam, jak jest, to chyba lepiej, że się wam przyznaję, bo ja nie chcę być hipokrytą, chcę, żebyście wiedzieli, jaki jestem naprawdę - i skłonił głowę.

Rozum nauczyciela był nie większy niż jego ciało; nie wiedział, że najsurowszy nawet rewolucjonista uważa przemoc jedynie za zło konieczne, podczas gdy właściwym dobrem rewolucji jest dla niego reedukacja. On sam, który nawrócił się na komunizm z dnia na dzień, nie cieszył się zbytnim szacunkiem dyrektorki i nie przeczuwał, że w tej chwili Edward, który oddał się do dyspozycji swoim sędziom jako kapryśny, ale wdzięczny obiekt do reedukacji, ma tysiąc razy większą wartość niż on. A że tego nie przeczuwał, brutalnie zaatakował teraz

Edwarda i oświadczył, że ludzie, którzy nie potrafią rozstać się ze średniowieczną wiarą, należą do średniowiecza i dzisiejszą szkołę muszą opuścić.

Dyrektorka pozwoliła mu skończyć, po czym wyraziła swój własny pogląd:

- Nie lubię, kiedy ścina się głowy. Towarzysz był z nami szczerzy i powiedział wszystko tak, jak jest. Musimy umieć to uszanować. - Po czym zwróciła się do Edwarda: - Towarzysze mają jednak rację twierdząc, że dewoci nie mogą wychowywać naszej młodzieży. Powiedzcie więc sami, co proponujecie?

- Nie wiem, towarzysze - rzekł Edward żałośnie.

- Ja uważam tak - odezwał się inspektor. - Walka między starym i nowym toczy się nie tylko pomiędzy klasami społecznymi, ale i w każdym poszczególnym człowieku. Taka walka toczy się również w towarzyszu. Jego rozum o tym wie, ale serce ciągnie go wstecz. Musicie pomóc towarzyszowi w tej walce, aby jego rozum zwyciężył.

Dyrektorka pokiwała głową, po czym oświadczyła:

- Ja się tym zajmę.

**6** Najbardziej bezpośrednie niebezpieczeństwo Edward zatem od siebie odwrócił; los jego nauczycielskiej egzystencji znalazł się wyłącznie w ręku dyrektorki, co skonstatował z całkowitym zadowoleniem: przypomniała mu się bowiem dawna uwaga brata, że dyrektorka zawsze leciała na młodych chłopców, i z całym niezrównoważeniem swej młodzieńczej pewności siebie (to speszonej, to znów egzaltowanej) postanowił wygrać w ten sposób, że wkradnie się w łaski swej władczyni jako mężczyzna.

Kiedy, zgodnie z umową, któregoś z następnych dni złożył wizytę w jej gabinecie, spróbował przybrać lekki ton i korzystał z każdej okazji, by przemyścić do rozmowy jakąś intymniejszą uwagę, subtelny komplement lub z dyskretną dwuznacznością zaakcentować swoją szczególną sytuację mężczyzny znajdującego się w rękach kobiety. Lecz nie było mu dane narzucić ton rozmowie. Dyrektorka rozmawiała z nim życzliwie, ale ze zdecydowaną rezerwą; wypytywała go, co czyta, sama wymieniła następnie kilka książek i zaleciła mu ich lekturę, ponieważ najwyraźniej chciała zapoczątkować długofalową pracę nad ukształtowaniem umysłu Edwarda. Ich krótkie spotkanie skończyło się tym, że zaprosiła go do siebie do domu.

Dzięki powściągliwości dyrektorki pewność siebie Edwarda znowu oklapła, tak że do jej kawalerki wchodził pokornie, bez zamiaru podbicia jej swoim męskim urokiem. Posadziła go w fotelu i przybrała ton bardzo przyjacielski; spytała go, na co ma ochotę: na kawę? Powiedział, że nie. Więc może na alkohol? Poczul się niemalże zakłopotany.

- Jeśli ma pani koniak... - Ale natychmiast się przeląkł, czy nie pozwolił sobie na zbyt dużą śmiałość.

Dyrektorka jednak powiedziała życzliwie:

- Nie, koniaku nie mam, jedynie trochę wina - po czym przyniosła opróżnioną do połowy butelkę, której zawartość wystarczyła akurat, by napełnić zaledwie dwa kieliszki.

Następnie oświadczyła, że Edwardowi nie wolno patrzeć na nią jak na jakąś inkwizytorkę: każdy ma przecież prawo wyznawać w swoim życiu to, co uważa za słuszne. Oczywiście inna sprawa (dodała natychmiast), czy nadaje się wtedy, czy też nie nadaje, na nauczyciela; dlatego właśnie musieli wezwać (aczkolwiek niechętnie) Edwarda i porozmawiać z nim, i byli (w każdym razie ona i inspektor) bardzo zadowoleni, że mówił z nimi tak otwarcie i niczego się nie wypierał. Mówiła jakoby potem z inspektorem o Edwardzie jeszcze bardzo długo i postanowili, że za pół roku wezwą go znowu na rozmowę; do tego czasu dyrektorka ma swoim wpływem pomóc w jego rozwoju. I tu znowu podkreśliła, że chce mu ofiarować jedynie przyjacielską pomoc, że nie jest żadnym inkwizytorem czy policjantem.

Wspomniała następnie nauczyciela, który tak gwałtownie oburzył się na Edwarda, i rzekła:

- On sam ma nieczyste sumienie, a chciałby innych posyłać na stos. Tak samo woźna wszędzie rozpowiada, że był pan arogancki i z uporem trwał pan przy swoim. Nie sposób jej wyperswadować, że nie powinno się pana wyrzucać ze szkoły. Ja oczywiście się z nią nie zgadzam, ale znowu tak bardzo dziwić się jej pan nie może. Ja też nie byłabym zadowolona, gdyby moje dzieci uczył ktoś, kto się publicznie żegna na ulicy.

Tak oto za jednym zamachem unaoczniała dyrektorka Edwardowi zarówno kuszące możliwości swego miłosierdzia, jak i groźne możliwości swoich surowych zasad, po czym, żeby dowieść, że ich spotkanie jest w gruncie rzeczy spotkaniem przyjacielskim, zboczyła na inne tematy; mówiła o książkach, podprowadziła Edwarda do biblioteczki, rozplywała się nad Duszą Zaczarowaną Rollanda i gniewała się na niego, że tego nie czytał. Potem zapytała, jak mu się wiedzie w szkole, a po jego konwencjonalnej odpowiedzi sama się rozgadała: powiedziała, że wdzięczna jest losowi za swój zawód, że lubi pracę w szkole, ponieważ przez to, że wychowuje dzieci, jest w nieustannym i konkretnym kontakcie z przyszłością, i że jedynie przyszłość może w końcu usprawiedliwić całe to cierpienie, którego (tak, to musimy przyznać) tyle jest naokoło.

- Gdybym nie wierzyła, że żyję dla czegoś więcej niż tylko moje własne życie, nie mogłabym chyba w ogóle żyć.

Te słowa zabrzmiały naraz bardzo prawdziwie i nie było wiadomo, czy dyrektorka chce rozpocząć nimi własną spowiedź, czy też oczekiwaną polemikę ideologiczną o sensie życia; Edward zdecydował się przyjąć to raczej jako wyraz poufałości, toteż cichym, dyskretnym głosem zapytał:

- A pani życie prywatne?

- Moje życie? - powtórzyła.

Na jej twarzy pojawił się gorzki uśmiech i Edwardowi w tej chwili zrobiło się jej prawie żal. Szpetota tej kobiety była wręcz wzruszająca: czarne włosy ocieniały długą kościstą twarz, a czarny meszek pod nosem wyraźnie przypominał wąsy. Edward wyobraził sobie nagle cały smutek jej życia; przyglądał się jej cygańskim rysom zdradzającym temperament, i brzydocie zdradzającej niemożność zaspokojenia tego temperamentu; wyobrażał sobie, jak namiętnie przeobrażała się w żywy posąg boleści z powodu śmierci Stalina, jak zapamiętała wysiadywała na setkach tysięcy zebrań, jak zawzięcie wojowała przeciwko biednemu Jezuskowi, i zrozumiał, że wszystko to były tylko żalosne zastępcze koryta jej tęsknoty, która nie mogła znaleźć ujścia tam, gdzie chciała. Edward był młody i jego zdolność współczucia była jeszcze nie zużyta. Patrzył na dyrektorkę ze zrozumieniem. Ona jednak, jak gdyby zawstydzona się chwili swego mimowolnego milczenia, nadała teraz swojemu głosowi żywszą intonację i ciągnęła dalej:

- To zupełnie nieważne, Edwardzie. Człowiek nie żyje przecież tylko dla siebie. Żyje zawsze dla czegoś. - Zajrzała mu głębiej w oczy. - Rzecz jednak w tym, dla czego. Dla czegoś realnego, czy dla czegoś, co sobie tylko wymyślił. Bóg to piękny wymysł, Edwardzie, ale przyszłość ludzkości to rzeczywistość. I dla niej żyłam, jej poświęciłam wszystko.

Również i te słowa wypowiedziała z taką pasją wewnętrzną, że Edward nie przestawał odczuwać dla niej owego głęboko ludzkiego zrozumienia, które przed chwilą nagle się w nim zbudziło; zrobiło mu się głupio, że kłamie tu drugiemu człowiekowi (bliźni bliźniemu) prosto w oczy, i wydało mu się, że poufna teraz chwila ich rozmowy daje mu sposobność, by odrzucił wreszcie niegodną (a w końcu również uciążliwą) maskę człowieka wierzącego.

- Ależ ja się z panią całkowicie zgadzam - zapewnił ją skwapliwie - ja również daję pierwszeństwo rzeczywistości. Niech pani nie bierze tej mojej religijności tak bardzo na serio.

Natychmiast jednak zrozumiał, że człowiek nigdy nie powinien ulegać zwariowanym porywom uczuć. Dyrektorka popatrzyła na niego zdziwiona, po czym zdecydowanie chłodno powiedziała:

- Niech pan nie udaje. Podobał mi się pan dlatego, że był pan szczery. A teraz robi pan z siebie coś, czym pan nie jest.

Nie, Edwardowi nie było sądzone uwolnić się od kostiumu pobożności, który raz na siebie przywdział; szybko się z tym pogodził i usiłował naprawić złe wrażenie.

- Ależ nie, ja nie zamierzałem się wykręcać. Oczywiście wierzę w Boga, tego nigdy bym się nie wypierał. Chciałem tylko powiedzieć, że tak samo wierzę w przyszłość ludzkości, w postęp i tak dalej. Gdybym w to nie wierzył, po co byłaby cała moja praca w szkole, po co rodziłyby się dzieci, po co w ogóle byśmy żyli? Ale ja właśnie myślałem, że to również wola boża, by ludzkość szła ciągle naprzód, ku lepszemu. Myślałem, że człowiek może jednocześnie wierzyć i w Boga, i w komunizm, że to się da pogodzić.

- Nie - uśmiechnęła się dyrektorka z wyrazem macierzyńskiego autorytetu - te dwie rzeczy pogodzić się nie dadzą.

- Wiem - odparł ze smutkiem Edward. - Niech się pani na mnie nie gniewa.

- Ja się nie gniewam. Jest pan młody i z uporem trwa pan przy tym, w co pan wierzy. Nikt nie rozumie pana lepiej ode mnie. Przecież ja też byłam młoda tak jak pan. Wiem, co to jest młodość. A u pana ta młodość jest ogromnie sympatyczna. Bardzo mi się pan podoba.

Nareszcie to nadeszło. Nie wcześniej i nie później, lecz właśnie teraz, dokładnie w stosownym momencie (który nie Edward wyznaczył, lecz w którym odgrywa, można powiedzieć, jedynie rolę narzędzia losu).

Kiedy dyrektorka powiedziała, że on się jej podoba, odparł niezbyt wyraźnie:

- Pani mnie także.

- Naprawdę?

- Naprawdę.

- Ależ, mój drogi, ja, stara kobieta... - protestowała dyrektorka.

- To nieprawda - powiedział Edward.

- Ależ tak.

- Wcale nie jest pani stara, to nonsens - musiał powiedzieć bardzo rezolutnie.

- Tak pan myśli?

- Przypadkowo bardzo mi się pani podoba.

- Niech pan nie kłamie. Nie wolno panu kłamać.

- Nie kłamię. Pani jest bardzo ładna.

- Ładna? - dyrektorka udawała, że nie wierzy.

- Tak, ładna - powtórzył Edward, a ponieważ bał się bijącej w oczy niewiarygodności swego twierdzenia, spróbował je natychmiast uzasadnić: - Ma pani takie czarne włosy. Ja to strasznie lubię.

- Lubi pan brunetki? - spytała dyrektorka.

- Strasznie.

- To dlaczego nie pokazał się pan u mnie przez cały ten czas, od kiedy jest pan w szkole? Miałam wrażenie, że mnie pan unika.

- Wstydzilem się - rzekł Edward. - Wszyscy by mówili, że się pani podlizuję. Nikt by nie uwierzył, że przychodzę do pani tylko dlatego, że mi się pani podoba.

- Ale teraz się pan wstydzic nie musi - rzekła dyrektorka. - Teraz zostało przecież uchwalone, że musi się pan ze mną od czasu do czasu spotykać.

Utkwiła w jego oczach spojrzenie swoich wielkich piwnych źrenic (trzeba przyznać, że same w sobie były bardzo piękne), a na pożegnanie leciutko pogładziła jego rękę, tak że ten postrzeleniec wychodził od niej z upojnym uczuciem zwycięzcy.

7 Edward był pewien, że cała ta przykra sprawa została rozstrzygnięta na jego korzyść, i następnego niedzieli z arogancką beztrząsą poszedł z Alicją do kościoła; i nie tylko to, szedł tam znowu absolutnie pewny siebie, albowiem (choć wywołuje to u was uśmiech politowania) przebieg wizyty u dyrektorki oceniał we wspomnieniach jako jaskrawy dowód swego nieodpartego męskiego uroku.

Zresztą tej właśnie niedzieli zauważył w kościele, że Alicja jest jakaś inna; ledwo się spotkali, wsunęła mu rękę pod ramię i cały czas w kościele tak go trzymała; o ile kiedy indziej zachowywała się skromnie i powściągliwie, to tym razem rozglądała się po całym kościele i z uśmiechem skinęła głową chyba dziesięciu znajomym.

To było niezwykle i Edward nic nie rozumiał.

Kiedy w dwa dni później spacerowali o zmierzchu ulicami, Edward skonstatował ze zdumieniem, że jej pocałunki, dawniej tak nieprzyjemnie rzeczowe, stały się bardziej wilgotne, czulsze, gorętsze. Gdy przystanął z nią na chwilę pod latarnią, stwierdził, że patrzy na niego dwoje zakochanych oczu.

- Żebyś wiedział, ja ciebie kocham - powiedziała ni stąd, ni zowąd Alicja i natychmiast zakryła mu usta dłonią.

- Nie, nie, nic mi nie mów, ja się wstydzę, nie chcę nic słyszeć.

Znowu przeszli kawałek i znowu przystanęli, Alicja zaś powiedziała:

- Teraz już wszystko rozumiem. Rozumiem już, dlaczego mi zarzucałeś, że jestem w swojej wierze zbyt wygodna.

Edward jednak nic nie pojmował, toteż i nic nie mówił; kiedy uszli jeszcze kawałek, Alicja rzekła:

- Ale ty nic mi nie powiedziałeś. Dlaczego nic mi nie powiedziałeś?

- A co ci miałem mówić?

- No tak, to właśnie cały ty - westchnęła Alicja w cichym zachwycie. - Inni by się przechwalali, a ty milczysz. Ale właśnie za to cię kocham.

Edward zaczął się domyślać, o co chodzi, mimo to jednak zapytał:

- O czym ty mówisz?

- O tym, co cię spotkało.

- A kto ci powiedział?

- Mój Boże! Wszyscy o tym wiedzą. Wzywali cię, grozili, a ty wyśmiałeś im się prosto w twarz. Niczego nie odwołałeś. Wszyscy cię podziwiają.

- Ale ja nikomu przecież o tym nie mówiłem.

- Nie bądź naiwny. Takie rzeczy się rozchodzą. Przecież to nie bagatelka. Czy znajdziesz dzisiaj kogoś, kto miałby choć trochę odwagi?

Edward wiedział, że w małym mieście każde wydarzenie szybko przemienia się w legendę, nie przypuszczał jednak, że również jego własne, pozbawione wartości przygody, których wagi nigdy nie przeceniał, mają w sobie taką legendo-twórczą siłę, nie zdawał sobie dostatecznie sprawy, jak bardzo dogodził swoim krajanom, którzy, jak wiadomo, uwielbiają męczenników, bo ci kojąco utwierdzają ich w lojalnej bezczynności, dając im pewność, że życie podsuwa tylko jedną alternatywę: zostać straconym lub być posłusznym. Nikt nie wątpił, że Edward zostanie stracony, i wszyscy z podziwem i zadowoleniem przekazywali to dalej, aż teraz, za pośrednictwem Alicji, Edward sam zetknął się z fascynującą wizją własnego ukrzyżowania. Przyjął to z zimną krwią i powiedział:

- Ależ to, że nic nie odwołałem, było przecież oczywiste. Każdy by przecież tak postąpił.

- Każdy?! - zawołała Alicja. - Popatrz naokoło, jak wszyscy postępują! Jacy są tchórzliwi! Własnej matki by się wyparli!

Edward milczał i Alicja milczała. Szli trzymając się za ręce. Po chwili Alicja powiedziała szeptem:

- Zrobiłabym dla ciebie wszystko.

Od nikogo dotychczas nie słyszał jeszcze Edward takich słów, te słowa to był nieoczekiwany dar. Edward wiedział oczywiście, że jest to dar niezasłużony, ale pomyślał sobie, że skoro los odmawia mu darów zasłużonych, ma pełne prawo zatrzymać sobie te niezasłużone, toteż rzekł:

- Dla mnie już nikt nic zrobić nie może.

- Jak to? - szepnęła Alicja.

- Wyrzucą mnie ze szkoły, a ci, co dzisiaj mówią o mnie jako o bohaterze, palcem dla mnie nie kiwną. Jedno jest tylko pewne: że zostanę zupełnie sam.

- Nie zostaniesz - pokręciła głową Alicja.

- Zostanę - rzekł Edward.

- Nie zostaniesz! - krzyknęła niemal Alicja.

- Wszyscy się mnie wyrzekli.

- Ja nigdy się ciebie nie wyrzeknę.

- Wyrzekniesz - rzekł Edward ze smutkiem.

- Nie wyrzeknę - zapewniła Alicja.

- Nie, Alicjo - powiedział Edward. - Ty mnie nie kochasz. Nigdy mnie nie kochałaś.

- To nieprawda - szepnęła Alicja, a Edward z zadowoleniem stwierdził, że ma mokre oczy.

- Nie kochasz, Alicjo, to się czuje. Zawsze byłaś w stosunku do mnie zupełnie chłodna. Tak nie zachowuje się kobieta, która kocha. Wiem o tym doskonale. A teraz odczuwasz dla mnie współczucie, bo wiesz, że chcą mnie zniszczyć. Ale nie kochasz mnie, a ja nie chcę, żebyś to sobie wmawiała.

Szli dalej, milczeli i trzymali się za ręce. Alicja cicho popłakiwała, ale nagle zatrzymała się i szlochając rzekła:

- To nieprawda, nie wolno ci tak myśleć. To nieprawda.

- Prawda - rzekł Edward, a kiedy Alicja nie przestawała płakać, zaproponował jej, by w sobotę pojechali na wieś. W ślicznej dolinie nad rzeką jest domek jego brata, gdzie będą mogli być sami.

Alicja miała twarz mokrą od łez i nic nie mówiąc kiwnęła głową.

**8** To było we wtorek, a kiedy w czwartek Edward został znowu zaproszony do domu dyrektorki, kroczył tam wesół i pewny siebie, nie wątpił bowiem ani przez chwilę, że czar jego osoby definitywnie rozproszy kościelną aferę w zwykły obłoczek dymu, w zwykłe nic.

Ale tak to już w życiu bywa: człowiek sądzi, że gra rolę w określonej sztuce, a nie przeczuwa, że na scenie niepostrzeżenie wymieniono tymczasem dekoracje i on, niczego nie podejrzewając, bierze udział w całkiem innym przedstawieniu.

Znów siedział w fotelu naprzeciw dyrektorki; między nimi stał stolik, a na nim butelka koniaku w asyście dwóch kieliszków. I właśnie owa butelka była tą nową dekoracją, która bystremu mężczyźnie o trzeźwym umyśle natychmiast pozwoliłaby się zorientować, że afera kościelna absolutnie nie jest już tym, o co chodzi.

Ale niewinny Edward do tego stopnia upojony był samym sobą, że z początku zupełnie sobie tego nie uzmysłowił. Podtrzymywał całkiem wesółą wstępną konwersację (ogólnikową, o nieokreślonej treści), wypił podsunięty mu kieliszek i, zupełnie tego nie ukrywając, nudził się. Po pół godzinie czy godzinie dyrektorka przeszła niepostrzeżenie na tematy bardziej osobiste: zaczęła mówić o sobie, a jej słowa miały wyczarować przed Edwardem postać tej, za którą chciała uchodzić: rozumna kobieta w średnim wieku, niezbyt szczęśliwa, a jednak dumnie pogodzona ze swoim losem, kobieta, która niczego nie żałuje, a nawet chwali sobie, że nie jest zamężna, w ten tylko sposób bowiem może w pełni delektować się dojrzałym



smakiem swojej samodzielności i radością, której dostarcza jej piękne mieszkanie, gdzie dobrze się czuje i gdzie chyba Edwardowi również nie jest nieprzyjemnie.

- Nie, bardzo mi tu dobrze - odparł Edward, a powiedział to z pewnym przygnębieniem, bo właśnie w tej chwili przestało mu być dobrze. Butelka koniaku (o którą nieprzezornie zapytał podczas pierwszej wizyty, a która teraz z tak groźnym pośpiechem zjawiała się na stole), cztery ściany garsoniery (tworzące przestrzeń jak gdyby coraz ciasniejszą, jak gdyby coraz bardziej zamkniętą), monolog dyrektorki (koncentrujący się na tematach coraz bardziej osobistych), jej spojrzenie (niebezpiecznie w nim utkwione), wszystko to sprawiło, że zmiana przedstawienia zaczęła w końcu docierać do jego świadomości; zrozumiał, że znalazł się w sytuacji, której dalszy rozwój został nieodwołalnie z góry przesądzony; uświadomił sobie, że jego egzystencja w szkole nie jest zagrożona przez niechęć dyrektorki do niego, ale wręcz przeciwnie: przez jego fizyczną niechęć do chudej kobiety, która ma meszek pod nosem i zachęca go, żeby pił. Z przerażenia ścisnęło mu się gardło.

Usłuchał dyrektorki i wypił, ale jego przerażenie było teraz tak silne, że alkohol w ogóle na niego nie działał. Za to dyrektorka po paru kieliszkach była absolutnie wyższa ponad zwykłą powściągliwość, a jej słowa nabierały egzaltacji niemal groźnej:

- Jednego panu zazdroszczę - mówiła. - Że taki jest pan młody. Pan nie może wiedzieć, co to rozczarowanie, co to zawód. Pan widzi jeszcze świat pełen nadziei i piękna.

Pochyliła się poprzez stolik ku Edwardowi i w tęsknym milczeniu (z nieruchomym, kurczowym uśmiechem) wlepiła w niego straszliwie wielkie oczy, podczas gdy on myślał sobie, że jeśli nie uda mu się choć trochę upić, ten wieczór skończy się dla niego jedną wielką kompromitacją; nalał więc sobie koniaku do kieliszka i szybko go wychylił.

Dyrektorka zaś mówiła dalej:

- Ale ja chcę go takim widzieć! Tak jak pan! - Potem podniosła się z fotela, wypięła pierś i rzekła: - Nie jestem odpychająca! Prawda, że nie? - Obeszła stolik i złapała Edwarda za rękę. - Prawda, że nie?

- Nie - rzekł Edward.

- Niech pan wstanie, zatańczymy - rzekła, puściła rękę Edwarda, skoczyła do radia i tak długo kręciła gałką, aż znalazła jakąś muzykę taneczną. Po czym z uśmiechem stanęła przed Edwardem.

Wstał, złapał dyrektorkę w pól i zaczął sunąć z nią po pokoju w rytm muzyki. Chwilami czule kładła mu głowę na ramieniu, po czym szybko ją podnosiła, by zajrzeć mu w o-czy, po chwili zaś półgłosem zaczęła nucić melodię, którą grało radio.

Edward czuł się tak nieswojo, że kilkakrotnie przerywał taniec, by się napić. Niczego nie pragnął bardziej, niż żeby skończyć to przykre, wlokące się bez końca dreptanie, ale jednocześnie niczego bardziej się nie lękał, ponieważ kłopotliwość sytuacji, która by potem nastąpiła, wydawała mu się jeszcze trudniejsza do zniesienia. Tak więc dalej sunął z podśpiewującą damą po ciasnym pokoju, a przy tym bez przerwy (i z przestrachem) śledził w sobie upragnione działanie alkoholu. Kiedy mu się w końcu wydało, że myśl ma już trochę alkoholem zamroczoną, mocniej przycisnął prawą ręką dyrektorkę do siebie, a lewą dłoń położył na jej piersi.

Tak, uczynił dokładnie to, co przez cały wieczór napelniało go przerażeniem; dałby nie wiadomo co, żeby nie musiał tego zrobić, a jeśli zrobił, to wiercie, tylko dlatego, że zrobić to naprawdę musiał; sytuacja, w której znalazł się od razu na początku tego wieczoru, była bowiem tak autorytatywna, że można było wprawdzie jej rozwój przyhamować, ale nie sposób go było zatrzymać, toteż kładąc dłoń na piersi dyrektorki, Edward poddał się jedynie absolutnie nieuchronnej konieczności.

Następstwa tego gestu jednak przeszły wszelkie oczekiwania. Jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, dyrektorka zaczęła wic się w jego ramionach, a następnie kosmatą górną wargę przytknęła do jego ust. Pociągnęła go na tapczan i wijąc się dziko i głośno

wzdychając ugryzła go w usta, a nawet w czubek języka, co Edwarda bardzo zabolalo. Po czym wywinęła się z jego objęć, powiedziała: - Zaczekaj! - i wybiegła do łazienki.

Edward polizał sobie palec i stwierdził, że język mu trochę krwawi. Ugryzienie tak go zabolalo, że z trudem uzyskane zamroczenie alkoholem minęło i gardło znowu ścisnęło mu się z przerażenia, gdy pomyślał o tym, co go czeka. Z łazienki slychać bylo potężny szum wody i pluskanie. Wziął do ręki butelkę koniaku, przytknął do ust i łyknął duży haust.

Ale już oto w drzwiach ukazała się dyrektorka w przezroczystej stylonowej nocnej koszuli (na piersiach suto przybranej koronkami) i powoli ruszyła w stronę Edwarda. Objęła go. Potem cofnęła się o krok i rzekła z wyrzutem:

- Dlaczego jesteś ubrany?

Edward zdjął marynarkę i patrząc na dyrektorkę (wpatrywała się w niego wielkimi oczyma) nie był w stanie myśleć o niczym innym, jak tylko o tym, że jego ciało najprawdopodobniej będzie sabotować wysiłki woli. Chcąc więc pobudzić jakoś swoje ciało, rzekł niepewnym głosem:

- Niech się pani całkiem rozbierze.

Gwałtownym ruchem, pełnym zachwytu i uległości, zrzuciła z siebie stylon i obnażyła chudą, białą postać, w której centrum, smętnie osierocony, sterczał czarny gąszcz. Zbliżyła się do Edwarda powoli, a on z grozą przekonywał się o tym, o czym już i tak wiedział: jego ciało było całkowicie sparaliżowane przerażeniem.

Ja wiem, panowie, że z biegiem lat przywykliście do sporadycznego nieposłuszeństwa własnego ciała i że już nie wyprowadza was to bynajmniej z równowagi. Ale zrozumcie, Edward był wówczas młody! Sabotaż ciała za każdym razem wprawiał go w nieprawdopodobną panikę i uważał go za nieodwracalną hańbę, obojętne, czy świadkiem tego była twarz piękna, czy tak ohydna i komiczna jak twarz dyrektorki. A ona była już o krok od niego, Edward zaś wystraszony, nie wiedząc, co począć, zawołał naraz, sam nie wiedząc kiedy (był to raczej owoc natchnienia niż przebiegłości):

- Nie, nie, na litość boską, nie! To grzech! To byłby grzech! - i uskoczył.

Dyrektorka nadal zbliżyła się do niego i mamrotała zduszonym głosem:

- Jaki tam grzech! Żaden grzech nie istnieje!

Edward cofał się za okrągły stolik, przy którym przed chwilą siedzieli.

- Nie, nie, tego mi nie wolno! Nie wolno mi!

Dyrektorka odepchnęła fotel, który zagradzał jej drogę, i w dalszym ciągu sunęła w ślad za Edwardem, nie spuszczać z niego wielkich czarnych oczu.

- Żaden grzech nie istnieje! Nie ma grzechu!

Edward obszedł stolik, ale za nim był już tylko tapczan; dyrektorka była zaledwie o krok od niego. Teraz nie miał już gdzie uciec i chyba sama rozpacz podszeptała mu nagle, by w tym beznadziejnym momencie krzyknął rozkazująco:

- Uklęknij!

Spojrzała na niego nie rozumiejąc, ale gdy znowu powtórzył mocnym (choć zdesperowanym) głosem: Uklęknij!, w uniesieniu padła przed nim na kolana i objęła go za nogi.

- Zabierz te ręce! - wrzasnęła. - Złóż dłonie!

Znowu popatrzyła na niego nierozumiejącym wzrokiem.

- Złóż dłonie! Słyszałaś?

Złożyła dłonie.

- Módl się! - rozkazała.

Miała złożone ręce, pokornie wznosiła ku niemu wzrok.

- Módl się, żeby Bóg nam wybaczył! - krzyknął.

Miała złożone dłonie, patrzyła na niego wielkimi oczami, i Edward nie tylko zyskał na czasie, ale spoglądając na nią z góry zaczął wyzbywać się dręczącego uczucia, że jest tylko zwykłą zdobyczą, i powoli nabierał pewności siebie. Cofnął się, by móc ją całą ogarnąć wzrokiem, i znowu rozkazał:

- Módl się!

Kiedy wciąż milczała, krzyknął:

- I to na głos!

I rzeczywiście: klęcząca, chuda, naga niewiasta zaczęła odmawiać słowa modlitwy: Ojciec Nasz, któryś jest w niebie, święć się imię Twoje, przyjdź królestwo Twoje...

Wymawiając te słowa wznosiła ku niemu wzrok, jakby to on sam był Panem Bogiem. Obserwował ją ze wzrastającą rozkoszą: miał przed sobą klęczącą dyrektorkę, z której szydził jej podwładny, miał przed sobą nagą rewolucjonistkę, z której szydziła modlitwa; miał przed sobą modlącą się kobietę, z której szydziła jej nagość.

Ten potrójny obraz pohańbienia upoił go i naraz stało się coś nieoczekiwanego: jego ciało odwołało swój bierny opór; Edward był podniecony!

W chwili gdy dyrektorka recytowała „i nie wódz nas na pokuszenie”, zrzucił z siebie całe ubranie. Kiedy powiedziała „amen”, gwałtownie podniósł ją z klęczek i powłókł na tapczan.

**9** To więc było w czwartek, a w sobotę Edward wyjechał z Alicją na wieś do brata. Brat przywitał ich życzliwie i pożyczył im klucz od pobliskiego domku.

Kochankowie odeszli i przez całe popołudnie włóczyli się po lasach i łąkach. Całowali się, a ręce Edwarda z zadowoleniem stwierdziły, że magiczna linia, przeciągnięta na wysokości pępka i oddzielająca strefę niewinności od strefy rozpusty, straciła ważność. W pierwszej chwili chciał potwierdzić słowami tak długo oczekiwane wydarzenie, ale przeląkł się i zrozumiał, że musi milczeć.

Rozumował, jak się wydaje, całkiem poprawnie: niespodziewany zwrot w zachowaniu Alicji nastąpił niezależnie od jego wielotygodniowych perswazji, niezależnie od jego argumentacji, niezależnie od jakiegokolwiek logicznej racji, na odwrót: opierał się wyłącznie na wiadomości o męczeństwie Edwarda, a więc na pomyłce, a nawet z tej pomyłki wyprowadzony został zupełnie nielogicznie; bo zastanówmy się: dlaczego męczeńska wierność Edwarda wobec wiary miałyby mieć ten skutek, że Alicja sama będzie teraz przykazaniu boskiemu niewierna? Skoro Edward nie zdradził Boga w obliczu komisji śledczej, dlaczego ona teraz miałaby zdradzić Go w obliczu Edwarda?

W tej sytuacji każda głośno wypowiedziana uwaga mogłaby mimo woli ujawnić Alicji alogiczność jej stanowiska. Edward rozsądnie więc milczał, co zresztą wcale nie rzucało się w oczy, ponieważ sama Alicja mówiła bez przerwy, była wesoła i nic nie świadczyło o tym, żeby zwrot, który dokonał się w jej duszy, był dramatyczny lub bolesny.

Kiedy się ściemniło, wrócili do domku, zapalili światło, posłali łóżko, pocałowali się, po czym Alicja poprosiła Edwarda, by przekręcił kontakt. Ale przez okno nadal przenikała poświata gwiazd, tak że na prośbę Alicji Edward musiał zamknąć również okiennice. W całkowitej ciemności Alicja zrzuciła ubranie i oddała mu się.

Przez tyle tygodni cieszył się Edward myślą o tej chwili, i o dziwo, teraz, kiedy nadeszła, absolutnie nie miał uczucia, żeby była tak doniosła, jakby o tym świadczyła długotrwałość oczekiwania; wydała mu się tak dalece łatwa i oczywista, że w czasie aktu miłosego był niemal roztargniony i na próżno odpędzał myśli, które snuły mu się po głowie: przypominały mu się owe długie jałowe tygodnie, kiedy Alicja dręczyła go swym chłodem, przypominały mu się wszystkie te kłopoty w szkole, które miał przez nią, i w rezultacie zamiast wdzięczności za to, że mu się oddaje, zaczął odczuwać jakąś mściwość i gniew. Irytowało go,

że tak lekko i beztrąsko zdradza teraz swojego Boga Niespółkowania, którego dawniej z takim fanatyzmem wielbiła; irytowało go, że nic jej nie jest w stanie wyprowadzić z jej zrównoważenia, żadna tęsknota, żadne wydarzenie, żaden przełom: irytowało go, że wszystko przeżywa bez jakichkolwiek oporów wewnętrznych, tak łatwo i z taką pewnością siebie. A kiedy ta irytacja opanowała go z całą siłą, zaczął pieścić ją dziko i z wściekłością, by wydobyć z niej jakiś głos, jęk, słowo, krzyk, ale nie udało mu się to. Dziewczynka była cicha i, mimo wszystkich wysiłków z jego strony, ich akt miłosny skończył się również cicho i niedramatycznie.

Przytuliła głowę do jego piersi i szybko zasnęła, podczas gdy Edward długo nie mógł zasnąć i uświadamiał sobie, że nie odczuwa żadnej radości. Usiłował wyobrazić sobie Alicję (nie jej fizyczny wygląd, ale, o ile to możliwe, całkowity obraz jej osoby) i nagle przyszło mu na myśl, że widzi ją rozmazaną.

Zatrzymajmy się przy tym słowie. Alicja, taka, jak ją dotąd widział Edward, była przy całej swojej naiwności osobowością silną i wyraźną; ujmująca prostota jej spojrzenia zdawała się odpowiadać prostocie jej wiary, a prosty, nieskomplikowany los wydawał się motywacją jej poglądów. Aż do tej pory Edward widział Alicję jako postać jednolitą, z jednej bryły; mógł z niej kpić, mógł ją przeklinać, mógł ją podstępnie osaczać, ale musiał ją (mimo woli) szanować.

Teraz jednak niezamierzona pułapka fałszywej informacji rozbiła jednolitą bryłę jej osobowości i Edwardowi wydało się, że jej poglądy były właściwie czymś przyczepionym do jej losu, a jej los jedynie czymś przyczepionym do jej ciała, ujrzał ją jako przypadkowy związek ciała, myśli i kolei życia, związek nieorganiczny, kapryśny i nietrwały. Wyobrażał sobie Alicję (oddychała głęboko na jego ramieniu) i widział osobno jej ciało, a osobno jej myśli; to ciało podobało mu się, te myśli wydawały się śmieszne, a jedno i drugie razem nie tworzyło żadnej osobowości. Widział ją jako linię rozlaną na miękkiej bibule: bez konturów, bez kształtu.

To ciało podobało mu się naprawdę. Kiedy Alicja rano wstała, zmusił ją, by pozostała naga, a ona, choć jeszcze wczoraj upierała się stanowczo przy zamkniętych okiennicach, bo przeszkadzała jej blada poświata gwiazd, teraz całkowicie zapomniała o swojej wstydlivości. Edward przypatrywał się jej (podskakiwała wesoło, szukając paczki herbaty i herbatników na śniadanie), a kiedy na niego po chwili spojrzała, zauważyła, że jest zamyślony. Spytała, co mu jest. Edward oświadczył, że po śniadaniu musi wpaść do brata.

Brat wypytywał go, jak mu się wiedzie w szkole, a Edward odparł, że całkiem nieźle.

- Ta Czechaczkówna to Świnia - rzekł brat - ale dawno już jej przebaczyłem. Przebaczyłem jej, albowiem nie wiedziała, co czyni. Chciała mnie skrzywdzić, a tymczasem pomogła mi urządzić sobie przyjemne życie. Jako rolnik zarabiam więcej, a kontakt z przyrodą chroni mnie przed sceptycyzmem, któremu ulegają mieszkańcy miast.

- I mnie ta baba przyniosła właściwie trochę szczęścia - rzekł w zadumie Edward i opowiedział bratu, jak to zakochał się w Alicji, jak udawał wierzącego, jak go sądzili, jak Czechaczkówna chciała go reedukować, a Alicja oddała mu się w końcu jako męczennikowi. Tylko o tym, jak zmusił dyrektorę, by odmawiała Ojczy Nasz, nie zdążył już wspomnieć, ponieważ w oczach brata wyczytał dezaprobatę. Umilkł, a brat powiedział:

- Mam może pewne wady, ale jednej nie. Nigdy nic nie udawałem i każdemu prosto w oczy mówiłem, co myślę.

Edward kochał brata i jego potępienie zabolowało go; usiłował się tłumaczyć i doszło między nimi do kłótni. W końcu Edward powiedział:

- Wiem, że jesteś człowiekiem prostolinijnym i że to jest twoja zasada. Ale postaw sobie jedno pytanie: Po co właściwie mówić prawdę? I dlaczego właściwie prawdomówność uważamy za cnotę? Wyobraź sobie, że spotkasz wariata, który będzie twierdził, że jest rybą i że my wszyscy jesteśmy rybami. Czy będziesz się z nim spierał? Czy rozbierzesz się i

pokażesz mu, że nie masz pletw? Czy powiesz mu prosto w oczy, co o tym myślisz? No powiedz!

Brat milczał, a Edward ciągnął dalej:

- Gdybyś mu powiedział tylko i wyłącznie nagą prawdę, tylko to, co rzeczywiście o nim sądzisz, podjąłbyś poważną dyskusję z wariatem i sam zamieniłbyś się w wariata. Tak samo jest i ze światem, który nas otacza. Gdybyś mu uparcie mówił prawdę w oczy, znaczyłoby to, że traktujesz go poważnie. A traktować poważnie coś tak niepoważnego, to znaczy być samemu niepoważnym. Ja, bracie, muszę kłamać, jeśli nie chcę traktować poważnie wariatów i stać się samemu jednym z nich.

**10** Było niedzielne popołudnie i dwoje kochanków wracało do miasta; byli sami w przedziale (dziewczynka już znowu wesoło szczebiotała), a Edward przypomniał sobie, jak to się niedawno cieszył, że w Alicji, która nie jest dla niego obowiązkiem, znajdzie życiową powagę, której mu jego obowiązki nigdy nie dostarczą, i z żalem uświadomił sobie (pociąg idyllicznie stukał na złączach szyn), że miłosna przygoda, którą przeżył z Alicją, nie jest nic warta, że utkana jest z przypadków i pomyłek, pozbawiona wszelkiej powagi i sensu; słyszał słowa Alicji, widział jej gesty (ściskała mu rękę) i przyszło mu do głowy, że są to znaki pozbawione znaczenia, monety bez pokrycia, ciężarki z papieru, że nie może przywiązywać do nich większej wagi niż Bóg do modlitwy nagiej dyrektorki, i wydało mu się naraz, że właściwie wszyscy ludzie, z którymi styka się w nowym miejscu pracy, są tylko liniami rozlanymi na bibule, że są to istoty o wymiennych poglądach, istoty bez trwałych zasad, ale co gorsze, co o wiele gorsze (przychodziło mu dalej na myśl), on sam był tylko cieniem wszystkich tych ludzi-cieni, albowiem cały swój rozum wysilał jedynie na to, by się do nich dostosować i naśladować ich, a choć dostosowywał się do nich nie na serio, śmiejąc się z tego w duchu, choć usiłował potajemnie z nich sztydzić (i w ten sposób to swoje dostosowanie usprawiedliwić), niczego to w całej sprawie nie zmieniało, ponieważ również i złośliwe naśladownictwo zostaje naśladownictwem, i cień, który sztydzi, zostaje cieniem, uległym i zależnym, nędznym cieniem i niczym więcej.

To było hańbiące, straszliwie hańbiące. Pociąg idyllicznie stukał na złączach szyn (dziewczynka szczebiotała), a Edward zapytał:

- Alicjo, jesteś szczęśliwa?

- Aha - rzekła Alicja.

- A ja jestem zrozpaczony.

- Czego się wygłupiasz?

- Nie powinniśmy byli tego robić. To nie powinno się było stać - rzekł Edward.

- Co ci strzeliło do głowy? Przecież sam tego chciałeś!

- Tak, chciałem - rzekł Edward. - Ale to był mój największy błąd, którego Bóg nigdy mi nie wybaczy. To był grzech, Alicjo.

- Edward, co ci się stało? - spokojnie rzekła dziewczynka. - Sam przecież ciągle mówiłeś, że Bóg pragnie przede wszystkim miłości!

Gdy Edward usłyszał, jak Alicja ex post przyswaja sobie z całym spokojem jego teologiczny sofizmat, który niedawno tak bez powodzenia zastosował jako oręż w swojej walce, ogarnęła go furia:

- Mówiłem to, żeby cię wypróbować. Przekonałem się teraz, jaka umiesz być wierna Bogu! A kto potrafi zdradzić Boga, ten sto razy łatwiej potrafi zdradzić człowieka!

Wciąż jeszcze znajdowała Alicja zręczne repliki, ale lepiej by było, gdyby ich nie znajdowała, ponieważ podsycala nimi tylko mściwą wściekłość Edwarda. Edward mówił bez przerwy, mówił tak długo (użył w końcu słowa ohyda i wstręt fizyczny), aż wreszcie wydobył z tej łagodnej twarzyczki łzy, szloch i skargę.

- Żegnam - powiedział na dworcu i zostawił Alicję płaczącą. Dopiero w domu, po kilku godzinach, kiedy przeszedł mu ten dziwny gniew, w całej rozciągłości dotarło do niego, co zrobił; przypomniał sobie jej ciało, które nagie biegło przed nim w podskokach dzisiejszego ranka, a kiedy uprzytomnił sobie, że to piękne ciało odchodzi od niego, bo sam je dobrowolnie odepchnął, zwymyślał się w duchu od idiotów i miał ochotę sam sobie dać po gębie.

Ale tego, co się stało, nie można już było naprawić.

Zresztą gwoli prawdzie trzeba przyznać, że chociaż wizja odchodzącego pięknego ciała sprawiała Edwardowi pewien ból, pogodził się z tą stratą stosunkowo szybko. Jeśli do niedawna dręczył go i przyprawiał o smutek brak miłości fizycznej, był to jedynie chwilowy niedostatek człowieka świeżo przybyłego na obcy teren. Tego niedostatku już Edward nie cierpiał. Raz na tydzień odwiedzał dyrektorkę (przyzwyczajenie uwolniło jego ciało od początkowego przerażenia) i był zdecydowany odwiedzać ją, dopóki jego sytuacja w szkole nie wyjaśni się całkowicie. Prócz tego z rosnącym powodzeniem starał się podrywać również niektóre inne kobiety i dziewczęta. W rezultacie jednego i drugiego o wiele bardziej zaczął cenić sobie chwile, kiedy był sam, i zasmakował w samotnych spacerach, które niekiedy łączył (zwróćcie na to, proszę, po raz ostatni jeszcze uwagę) z pójściem do kościoła.

Nie, nie obawiajcie się, Edward nie zaczął wierzyć w Boga. Mojego opowiadania nie zamierzam ukoronować efektem tak jaskrawie paradoksalnym. Lecz Edward, choć ma niemal pewność, że Bóg nie istnieje, to jednak z uporem i nostalgią usiłuje Go sobie wyobrazić.

Bóg to opoka sama w sobie, podczas gdy Edward nigdy (a od historii z dyrektorką i Alicją upłynęło już parę latek) nie znalazł nic, o co można by się oprzeć, ani w swoich miłościach, ani w swojej pracy nauczycielskiej, ani w swoich myślach. Jest zbyt bystry, by uznać, że widzi coś podstawowego w rzeczach niepodstawowych, ale zbyt słaby, aby do tego, co podstawowe, skrycie nie tęsknić.

Ach, panowie i panie, smutne jest życie człowieka, jeśli nic i nikogo nie może traktować na serio!

Toteż Edward tęskni do Boga, albowiem jedynie Bóg wolny jest od rozpraszającego obowiązku objawiania się, i może tylko być; albowiem jedynie On tworzy (On sam, jedyny i nie istniejący) istotną opozycję wobec tego nieistotnego (lecz tym bardziej istniejącego) świata.

Tak więc Edward siada sobie czasem w kościele i zadumany wznosi wzrok pod kopułę. Pożegnajmy się z nim w takiej właśnie chwili: jest popołudnie, kościół jest pusty i cichy. Edward siedzi w drewnianej ławce i dręczy go żal, że Boga nie ma. I w tej właśnie chwili ów żal jest tak wielki, że z jego otchłani wyłania się rzeczywiste, żywe oblicze Boga. Spójrzcie tylko! Tak! Edward się uśmiecha! Uśmiecha się, a jego uśmiech jest szczęśliwy...

Zachowajcie go, proszę, w swej pamięci z tym właśnie uśmiechem.